

Niedźwiecki Zygmunt

EROTYKI

tom 1

Zwierzenia.

Po saloniku, urządzonym starannie i nie bez pewnych pretensyj krawczyni, potrzebującej ujmować sobie klientelę dowodami smaku i zamożności, nie bez kokieteryi kobiety trzydziestokilkoletniej, wyglądającej bardzo młodo, oraz wdowy, stęsknionej za mężem — przechadzała się pani Walentyna w toalecie do wyjścia.

Odkąd Placyd oświadczył się o jej rękę i został przyjęty, dwa razy świeższa, ruchliwsza i bardziej ożywiona niż kiedykolwiek, promieniała zadowoleniem. Barwiło ono jej twarz rumieńcem a z oczu tryskało iskrami odrodzonej, tryumfującej zalotności. Niknęła też przy nich lekka chmurka na jej czole, podobna do oznak owego nieokreślonego niepokoju, jaki zwykł towarzyszyć stanowczym i ważnym chwilom w życiu.

Wtem twarz wyczekującej zajaśniała wyrazem nagłego, radosnego ożywienia. Skinąwszy głową w stronę okna, przy którym stała od chwili, opuściła je szybko, spojrziała w przechodzie w lustro i odetchnąwszy głęboko, z wargami w pół już rozwarłem i do odezwania się, zatrzymała się na środku pokoju, twarzą ku drzwiom.

W parę chwil ukazał się na progu Placyd, poprzedzony skrzypiącym echem kroków. Przedstawiał się bardzo korzystnie w swym nowiutkim garniturze, wyświeżony, wygolony, z kokieteryjnie ułożonemi wąsami i muszką w cieniu dolnej wargi, na uśmiechniętej, pełnej twarzy dobrze zachowanego czterdziesto letniego kawalera, który czuje jeszcze potrzebę małżeństwa.

W chwili, kiedy przystając u drzwi, składał szarmancki ukłon, pani Walentyna serdecznym ruchem wyciągnęła ku niemu rękę i ozwała się wesoło:

— Ależ doczekać się pana nie można! Myślałam już, że się pan rozmyślił i nic nie będzie z zapowiedzi...

„s Co znowu! — zaprotestował. — To mnie raczej lękać się należało, aby mi słowa nie zwrócono.

— Komu też to udawać? — z uśmiechem przerwała kobieta, czując już na swej ręce ciepłdotknięcie mięsistych jego warg, któremi przedłużał to powitanie znajomych, dobrych znajomych od lat kilku, którzy sobie ufają, lubią się i są pewni, że będzie im razem dobrze. ^Przystępowali oni do tego spóźnionego trochę związku dobrowolnie, chętnie, a na pół żartobliwie, jak ludzie znający życie i przebaczący mu jego złe strony, po dobre zaś sięgający z uśmiechem. Nie pierwszej młodości, co prawda, nie byli jednak jeszcze starzy. Placyd, urzędnik miejski, miał ładną pensję, ona zaś pokaźny dochód z krawieczyzny, uprawianej ® powodzeniem na czele kilkunastu dziewcząt, jfetórych języki, oczy, serca i uzbrojone igłą palce, w zarówno szybkim były ruchu. Prócz tego Placyd ujmował sobie wdówkę trzeźwym poglądem na świat oraz pobłażliwością, właściwą ludziom dobrego zdrowia, serca i humoru — ona zaś dziwnie przystawała do wszystkich jego zamiłowań swoim cokolwiek nerwowym temperamentem gadatliwej śmieszki, której z oczu patrzyła szczerą obietnicą wielu ciepłych uczuć.

■ Oderwawszy nakoniec usta od ręki kobiety, odparł z niejaką powagą na jej żartobliwe py tanie:

— Obawy moje wcale nie są udane, i właśnie miałem panią prosić w tym względzie o chwilkę posłuchania, zanim udamy się na probostwo.

Wpatrzyła się w niego zdziwiona.

— Koniecznie przedtem?

— Koniecznie.

Ręce ich rozeszły się — kobieta zaś pokręciła głową, żartobliwie udaną podejrzliwością pokrywając niepokój.

— To mi coś pachnie grzechami kawaler- skimi — rzekła, i pogroziwszy mu palcem, który się oparł na kształtnym nosku, usiadła wśród tego giestu, Placyd naprzeciw niej.

Zdejmując rękawiczki, błysnął w uśmiechu zdrowymi zębami i z tym wesołym pozorem zmieszania człowieka dojrzałego, niezbyt skłonnego do zakłopotanych minek, bąknął z pod wąsa:

— W samej rzeczy — idzie tu o coś podobnego.

Uspokoila się.

— Słucham, ciekawam bardzo.

— Ale obiecuje mi pani wyrozumiałość?

— A czy będzie o nią tak trudno?

— Noże nie... ale...

— * —

Ł— No więc? — nalegała rozciekawiona, poprawiając się na foteliku niecierpliwie.

■Pogładził wąsa, spojrział na nią z pod brwi bystro i obejrzawszy się na drzwi od pracowni, skąd dolatywał klekot maszyn do szycia i śmiechy szwaczek—jednym tchem oświadczył z cicha, ^poważnie:

— Mam syna. I I śledził na jej twarzy wywarte wrażenie. b Rozśmiała się głośno, z leciuchnym ale miłym rumieńcem, pochylając się w tył i głowę ■adzierając do góry. r — Ach! dlaczego ukrywał pan to dotąd?.. Nic w tem przecież nie ma znowu tak... złego I. £ Uchwycił ją za obie ręce. H— Więc pani mi przebacza? I — Syna?., zupełnie, tajemnicę... mniej — mówiła rozweselona, patrząc nań nieco inaczej niżeli przed chwilą. Poważniej zaś dodała: m — I uznaję to, że pan o nim nie zapomniłeś. To uczciwie.

|,— Ale bo ja — pochłaniając jej słowa, kontynuował Placyd, który nie uważał sprawy za *rtatwioną — pragnąłbym dać mu moje nazwisko,

a skoro pani je nosić zechce, dać mu w pani matkę...

— Mój Boże! to przecież całkiem naturalne... Czyż mogłabym wzbraniać się choćby na chwilę?... — mówiła z laskiem szczerem zdziwieniem, tak stanowczo, poważnie i z takim zapalem jednocześnie, jak gdyby nie widziała się bynajmniej zaskoczona lemem niespodzianem wyznaniem, jakby miała wobec tego rodzaju rzeczy przetrwione a najbardziej postępowe poglądy-

Ucieszyło go to, ale jednocześnie i zmięszało, sądził bowiem, że będzie ją musiał dopiero przekonywać i przygotował sobie nawet pewien zasób argumentów, do których wypowiedzenia język go teraz świerbiał. Zamiast tego uradowany bełkotał:

— To ładnie, bardzo ładnie z pani strony — i wstrząsał jej rękę, ona zaś mówiła:

— Któżby postąpił na mojem miejscu inaczej? Obowiązki rodzicielskie mają pierwszeństwo przed innymi, bez względu na... Cóż zresztą biedne dziecię winno w podobnych wypadkach!

Tak... tak... — wtórował Placyd, pota

kując głową, coraz goręcej — cóż winno?! rozumie się. Z ust mi to pani wyjęłaś. Jest to jedyne uczciwe zapatrywanie. Przepraszam panią, jeżeli niepokoiłem się choćby przez chwilę, znając panią tak dobrze... O! pani ma serce!..

I wypowiedziawszy to z wielkiem wzruszeniem, wywołanem przez wyznanie tak poważnej natury, ucieszony jego przyjęciem, serdecznie ucałował jej rękę.

Teraz ona zaczęła się dopytywać o dziecię i najdrobniejsze dotyczące go szczegóły, ciepło, z prawdziwym zajęciem, jak kobieta z sercem, jak przyszła matka, dobra matka.

Placyd zaś, rozrzewniony, opowiadał szeroko o swym chłopcu, który licząc ósmy rok życia, zaczynał już gromadzić pierwsze, tak wyraziste wrażenia dzieciństwa, i któremu należały się koniecznie wrażenia rodzicielskiego domu, bezpośrednia piecza ojca, matki, ze względu na jego przyszłość. Tymczasem był skazany na poniewierkę wśród obcych ludzi.

Pokazał jej drżącemi rękoma fotografię malca, którą pochwyciła rozciekawiona, on zaś śledził niespokojnie wyraz jej twarzy.

Chłopczyk podobał jej się bardzo. Zapytała,

jak mu na imię, jakie ma włosy, oczy, oraz czy może fotografię zatrzymać. Chciała go czemprędzej zobaczyć u siebie, przygarnąć.

A Placyd, obiecując z zapałem przyprowadzić go zaraz jutro, przepełniony wdzięcznością za tyle okazanego zajęcia i sympatii, nie mógł się dość nadziękować i ścisnął bez końca rękę kobiety, uniesiony wylewem uczuć, dotąd skrywanych, wypowiedzianych dziś po raz pierwszy, pojętych i odwzajemnionych.

— Czemże ja się pani odwdzięczę, wypłacę — szeptał. — Mów pani... zażądaj... proszę cię o to, daj mi sposobność odwdzięczyć ci...

Przyjmowała rosnące objawy jego uznania i podziękowań jak najskromniej, zakłopotana, prawie zawstydzona.

Naraz, po ostatnich jego słowach, poruszyła się żywo, jakby w nagłej decyzji. Uchwyciła go za rękę i z twarzą zaognioną wstydem, gorączkowo, spiesźnie, zaczęła szeptać głosem drżącym od niepokoju i troski:

— A więc — słuchaj pan... Dawno miałam panu wyznać, dziś zaś postanowiłam to zrobić ostatecznie, nieodwołalnie, bądź jak bądź... chociaż nie wiedziałam, jak to uczynię i do ostatniej chwili nie śmiałam, szukając daremnie sposobu... Dla kobiety to stokroć przykrzejsze...

Ale dłużej milczeć niepodobna, nie wolno... ' Zresztą po tem, co pan mówiłeś, skoro pańskie poglądy tak się zgadzają z mojami... pan mnie B; zrozumie, jako ojciec... i wybaczysz mi także, jak ja panu... Uczyńmy to dla siebie wzajemnie... I ja... i ja... mam dziecię...

To rzekłszy, z obawą, z wielką obawą, i która jej dech zaparła, przysunięta doń w tem, poufnym zwierzeniu, czekała na odpowiedź, śledząc niespokojnie wyraz jego twarzy, zmieniający się stopniowo, w miarę jak go wtajemniczała w ten tak niespodziewany stan rzeczy.

— Po nieboszczyku mężu? — zapytał poważnie.

Spuściła powieki i cofając swe dłonie od jego ręki, wyrzekła cicho, z wysiłkiem:

— Mąż mój umarł przed dziewięciu laty... a Ludwisia kończy dopiero... dopiero piąty rok w listopadzie.

Milczała chwilę, z wlepionym weń błagalnym spojrzeniem, którego uniknęła i zamyślony, X' gryząc wąsy, wpatrzył się w dywan na po-

dłódze. Wreszcie ponowiła zaniepokojona i wzruszona :

Ja wiem, co pan myślisz. To było dla pana zbyt niespodziane... Pan sądziłeś, że biorąc za żonę kobietę owdowiałą od lat tylu... bierzesz uczciwą... A teraz nagle wszystkie te lata stają się dla pana dwuznaczne, podejrzone... Ale ja panu przysięgam, że się mylisz... Przysięgam panu, że byłam uczciwą... A to... to był tylko przypadek, nieszczęście, zbieg nieprzewidywanych okoliczności, którego ofiarą padłam... po którym... O i gdybyś pan wiedział, ile mnie to kosztowało rozpacz i wstydu... Byłabym sobie może co złego zrobiła, gdyby nie dziecko... Zresztą, osądź pan sam, i dziś jeszcze mogłabym to przecież zataić, jeżelibym tylko oszukać pana chciała. Ale i ja pragnęłam dla mego dziecięcia ojca... nazwiska... Cóż ono winno, gdyby nawet na mnie samej wina ciążyła—choć nie byłam złą, nie byłam płochą.

I wy buchnęła płaczem wielkiego zmartwienia i wstydu, zakrywając twarz rękoma.

Jego pozyskał ten żal nieklamany — zaczął ją szczerze pocieszać i uspokajać.

r — Ależ... przestań pani! po co się zaraz tak unosić... Przez myśl mi nie przeszło obrażać panią jakimiś podejrzeniami... Ścisłe rzecz biorąc, to nawet lepiej. Czułbym się zawsze wobec pani winnym, dłużnikiem, a tak... oboje wnosimy do spółki małżeńskiej to samo. Jak najlepiej się złożyło doprawdy: dziewczynka i chłopiec, czegoż chcieć więcej! Będę ją bardzo kochał — odpłacisz to mojemu malcowi. Prawda?., przecież to nasze dzieci... A czy nie mógłbym jej zobaczyć?

Wzruszona pobiegła żywo do komody po gbtografię, opowiadając tymczasem, że Ludwisia chowa się u babki, która ją bardzo kocha, że już składa litery i okazuje niezwykły talent do ^robótek, czego dowodem podstawka pod lampę na stoliku obok pieca. Mówiąc to i wiele innych rzeczy, przerzucała w górnej szufladzie komody pudełka, zawiniątka, fatałaszkę, aż wreszcie odszukała pożądany przedmiot, aby go podać Placydowi.

— Śliczną, śliczniutką mamy córeczkę — rzekł, wzięwszy do rąk kartonik za szkłem w pluszowej ramce — prawdziwy aniołek! —

i ucałował małą główkę na wizerunku — czemu przypatrywała się z iskrzącymi radością oczyma.

— Podobna do mamusi — dodał poufalszym tonem przyszłego męża i przygarnawszy silnym ramieniem wzruszoną kobietę, która broniła się trochę jego natarczywości, ucałował ją również rześścicie w sam środek rumianego policzka, na którym łyzy oschły a zwykły, tak miły uśmiech zawitał.

Nie puszczać jej z objąć, z ustami przy jej twarzy, szepnął dyskretnie:

— A ojciec?..

— Nie żyje — odparła cicho ze spuszczonej oczyma.

— Słowo?

— Pokażę dowody.

W chwili, kiedy na znak zaufania składał pocałunek, odwzajemniła jego pytanie zcicha:

— A... matka?

— Tak jakby jej nie było—odrzekł uspakajająco. — Wyszła za mąż od lat sześciu, nawet nie wiem gdzie się obraca.

— Więc teraz... możemy już iść do proboszcza?..

— 12 —

—————MM—fc—»

1 Wybuchnął śmiechem, a ona zawtórowała

mu..-

t m .

W - 1 to jak najprędzej - zawołał - aby mu nie przyszło na myśl, że wahaliśmy się choćby przez chwilę.

i

— 1S —

Posag.

Zaledwie przekroczyłem próg, od lustra, w którym odbijała się wdziwiająca kapeluszk wioseńna kobietka, zabrzmiał głos:

— Nic z tego! nic z tego! wychodzę.

Wziąłem to za żart oczywiście, za chęć podroczenia się z dobrym znajomym, nic więcej. Pewny, że zastawszy drzwi mieszkania otworem, znajdę w nim otwarte ramiona, poszedłem pocałować Felę w szyjkę, w te miękkie, wijące się kosmyczki jasnych włosów po za uszama, które - re mi tak czarują główki niektórych blondynek.

Ale, z rękoma wzniesionymi w górę, ku brzegom kapelusza, z oczyma w zwierciadle, oświadczyła mi bez ogródki, że dzisiaj — niestety — czeka mnie zawód.

Ponieważ nie lubię przekomarzać tam, gdzie mnie dotychczas psuto najgorętszym zawsze przyjęciem, gdzie jest zwyczaj wreszcie dysponować, nie tałem więc mego niezadowolenia.

Wówczas uciekła się do przymileri i przybierając najefektowniejsze swoje minki, poprosiła o wyrozumiałość — dziś tylko, ten jeden raz, nigdy więcej!

Ale dlaczego?..

Wahała się z odpowiedzią. Widząc jednak, że oczekuję jej niezachwianie, zdecydowała się wyznać w sekrecie: wybiera się z narzeczonym za interesami...

Jakżem się szczerze rozśmiała!..

— Z którym do licha?.. — zawołałem — masz ich przecie ty!..

Uraziła się. Nagle oblekając w powagę swój buziak swywolny, przystąpiła do mnie i jako dowód niezbity, podała mi pierścionek z palca zdjęty, prawdziwy zaręczynowy pierścionek, z datą wewnątrz!..

Obejrzałem, pokręciłem głową i zwróciłem go jej. Dzieją się przecież i takie rzeczy.

— No, no... Więc to na seryo? Nigdy mi o tem nie wspominałaś dotąd.

— Mówiło się zawsze o głupstwach...

Prawda! i to o jakich!.. Nie przypuszcza

— 1S —

łem jednak, aby tu można było o czemś innym rozmawiać.

— I kiedyż to nastąpi? — pytam.

— Od dziś za rok, mniej więcej.

— Dopiero?

— Nie mam jeszcze wszystkich pieniędzy.

— Jakich pieniędzy?

— Posagu!.. — odrzekła, z żartobliwą uroczystością akcentując to słowo.

— Skądże go weźmiesz?

Z ruchem brodą ku mnie i filuternym mrugnięciem powiek wycedziła przez zęby, uśmiechnięta:

— Od was!

— Ale fe!..

— O! zbieram już dwa lata!

— I jeszcze zbierać zamýślasz rok cały?!

— Takeśmy się umówili.

— Z kim?

— No z nim, z moim przyszłym.

— Jak to?.., więc on wie?!..

— No rozumie się. Wie wszystko. Podziw otwarł mi oczy — i dla niej, dla tej płoczej dziewczyny, z którą tak szalenie można się było bawić, jak gdyby celem jej były same

Jedynie szaleństwa, a która po za tem tak seryo myślała o przyszłości — i dla tego hultaja, co w podobny sposób zdobywał posażną żonę.

Zacząłem ją wypytywać rozciekawiony, usiedliśmy.

Był to kelner — stary znajomy z lat dziecinnych jeszcze, z jednego podwórza, potem wielbiciel, może pierwszy kochanek, obecnie narzeczony, za rok mąż. Patrząc w życie trzeźwo, obmyślili zawczasu, jak je sobie urządzą. Zamiarem ich było otworzyć kawiarnię, ponieważ on zna się na „interesie" i ma szczęście do gości, ona zaś... no i ona także na brak powodzenia skarżyć się nie ma powodu. Lokal już upatrzony (ale to jeszcze sekret), obliczone dochody, wydatki, wszystko ułożone, przewidziane, każdy dzień przynosi coś dla przyszłości, każdy czyni szczęście bliższemu.

— Rok! rok tylko!.., i będę nakoniec uczciwą kobietą—z wybuchem radosnej tęsknoty zakończyła opowiadanie Fela, akcentując to urągające wszelkiej logice „nakoniec" w sposób, który mnie wprowadził w zdumienie.

" N- Ale aby nią zostać, potrzeba pracować rok jeszcze — poddałem. Zafrasowana westchnęła:

a

— Ach, tak! rok całyt.. — i pocałowała mnie.

Naraz odsunęła się odemnie i skierowała ucho w stronę drzwi, szepnęła: Idzie.

Zrozumiałem o kim mowa. Jakieś zawstydzenie, obce mi w podobnych miejscach, jakiś niespodziewany poryw delikatności zwrócił mnie z krzesła ku drzwiom, drugim drzwiom oczywiście, w tego rodzaju lokalach znajdującym się z reguły.

Zdziwiona zapytała, co chcę czynić.

— Pójdę już — odparłem, szukając oczyma kapelusza i nie znajdując go nigdzie.

— Czemu?

— Aby mnie tu nie zastał.

— Cóż to szkodzi?

— Byłoby mu to może nieprzyjemnie — co? albo tobie...

— Co znowu! Owszem, zobaczy, że się z byle kim nie wdaję.

Zostałem. Musiałem zostać — byłem bez kapelusza !

W tejże chwili drzwi się otworzyły i — o urocza niespodzianko! -- pocziwa, dobrodusznna twarz garsona, znajomego mi z kawiarni, w której, bywam niekiedy, ukazała się przed nami, pogodna twarz dobrego chłopca, za którą lubią go powszechnie.

Z godną zazdrości swobodą, z uśmiechem nie znikającym, raczej spotęgowanym na mój widok, posunął się ku nam i ucałował rękę swej narzeczonej, mnie zaś złożył jeden z tych gładkich ukłonów, których z obowiązku swego zawodu składał dziennie po parę tysięcy.

Wielce uradowany, że mnie tu znajduje, zapytywał o zdrowie, dziwił się, że tak dawno nie byłem w kawiarni, i podobnie jak tam, przy bufecie, zacierając ręce. tylko trochę śmieiej, bo się tu czuł bardziej u siebie, zaczął mi świadczyć honory, jakimi dobry gospodarz otacza mile widzianych a na szczególne względy za- sługujących gości.

Fela tymczasem, lubiąca się zawsze w formach, co dodawało jej nawet uroku, uznała za stosowne, pomimo że już byłem powiadomiony, przedstawić go słowami:

— Mój narzeczony.

Było w tem coś solennego, co i mnie się udzieliło.

Rozgawędziwszy się o rzeczach potocznych, zaczęli teraz zwracać na mnie wciągające w rozmowę, pełne sympatii spojrzenia. Zwolna nadało to atmosferze cechę tak przyjacielską, że zaniepokoiłem się nie żartem, by narzeczony, wzięwszy mnie pod ramię, nie zechciał podprowadzić do kanapy, albo nie poczęstował papierosem. Zrobiłem tedy ruch, wyrażający chęć odejścia, i obejrzałem się za kapeluszem.

Gdzie się u licha podział?., nie widać go nigdzie...

Zauważyli mój kłopot i ona rzekła:

— Czy się nie zatoczył pod kanapę?

Narzeczony natychmiast wsunął głowę pod mebel.

— Może spadł za który z foteli?

Nie, i tam go nie ma.

Poczęło się zatem zbiorowe szukanie, odsuwanie sprzętów, zagłądanie kolejne po za każdy przedmiot i w te same kąty.

Nie ma! Jak kamień w wodę wpadł.

Naraz ozwał się okrzyk radości! On go odnalazł!..

Kapelusz leżał na oknie, zasłonięty roletą,

którą, wszedłszy tu, własnoręcznie spuściłem, tak sobie, od niechcienia, bo lubię półcień. | Spojrzałem na niego nieznacznie, czy nie [dostrzegę przykrego wrażenia.

Bynajmniej! Własnym rękawem wygładzał włos na moim kapeluszu i z najswobodniejszym w świecie uśmiechem oświadczył, iż podobne wypadki z kapeluszami zdarzają się często. , Musiałem uścisnąć wyciągniętą ku mnie dłoń gospodyni i obojgu, bo i on słuchał, powiedzieć: „do widzenia". Wtedy z pełnym gracyi nachyleniem podał mi laskę, poczem pospieszył naprzód drzwi mi otworzyć i ukłonem zgięty, w chwili, gdy przekraczałem próg, ciepło, bez udania, wyszepnął pożegnalne: c — Polecam się.

W zaszarganych uniformach, w butach z ostrogami i czarnych, do pół szarą skórą wyszytych spodniach kawaleryjskich, zbryzganych błotem, z pałaszem między kolanami każdy, siedziało czterech młodych oficerów dokoła marmurowego stolika cukierni, popijając z małych filiżanek czarną, zlekka dymiącą, aromatyczną kawę.

Było to popołudniu, w powrocie z forsownych ćwiczeń, których wybitne epizody, klnąc głupocie podwładnych i wyszydając pedantów przelożonych, opowiadano po kolei urwanymi zwrotami rozumiejących każde swe słowo fachowców, aby sobie wynagrodzić choć w części kilka godzin ciężkiego trudu na siodle.

do pabinetu. w którym zresztą nie

upstrzonym dużymi kasztanowatemi płatami na grzbiecie i uszach,

Przybyły powitał kolegów ukłonem wojskowym, nie zdejmując czapki, następnie podał każdemu rękę i z widocznym pośpiechem rzekł do jedyne go między nimi porucznika:

¹"Karolu, proszę cię, zajmij się moim Faunem dzisiaj, u Poczekajno... nie wiem, czy mogę... — odrzekł zagadniony z nieznacznym uśmiechem. — Dziś piątek? co? — a to zgoda, zostaw go.

Ścisnęli sobie ręce, porucznik zaś, rozśmiewszy się, palcem przyjacielowi pogroził i rzekł na pożegnanie: • — Tylko się też szanuj, mój kochany!... Parsknęli obaj szczerym śmiechem młodych, tęgich chłopców i przybysz, z ręką podniesioną do daszka i z słowem „seryus!" na ustach zniknął, ścigany wzrokiem psa, którego wilgotne nozdrza drgały nerwowo. Przytrzymywany jednak ręką porucznika za obrózę, nie starał mu się wyrwać, przeciwnie, zaraz po wyjściu tamtego zaczął się łąsić swemu nowemu panu.

się i gładził wąż, jakby myśląc w dalszym ciągu o tern drobnem zajściu.

— Kobieta. Omnicza oddaje mi zawsze psa, ilekroć ma u siebie kobietę.

— Jaki? dlaczego? — zapytali tamci.

— Zabawna rzecz — odparł porucznik. — Jestto ciekawy okaz psa, trzeba wam wiedzieć: psa mającego dwóch panów, zarazem psa — kobieciarza... Nie żartuję wcale — Faun ma dziwny pociąg do kobiet, niezmiernie łatwo z niemi zawiera znajomość i potem je nią prześladowuje. Nie rozumiecie mnie?

...Rzecz się ma tak. Faun widywał u Omnicza często kobiety — kobiety, które się u siebie całuje, ale których się na ulicy nie zna — nie dlatego jednak, by nie zasługiwały na ukłon, lecz że znajomość ma charakter incognito.

...Wyobraźcie jednak sobie, że osoba taka, idąc z mężem, bratem, narzeczonym, wszystko jedno wreszcie z kim, z mężczyzną czy też z kobietą, dość że z kimś niewtajemniczonym w niektóre jej stosunki — zostaje na ulicy nagle napadniętą przez psa, towarzyszącego młodemu, przystojnemu a niby obcemu jej wojskowemu, psa, który nie wiedząc o tem, jak fatalną popeł

nia zdradę, demaskuje oznakami ścisłej, zażyłej przyjaźni tę, którą tylekroć widział otaczaną dowodami najwyższej czułości przez swego pana. Faun zaś był pod tym względem niepoprawny i z czystym sumieniem kompromitował publicznie kobiety, dla których jego pan obowiązany był i pragnął zachować wszelkie względy.

... Pojmujecie teraz, co za nieznośne położenie.

...Stawiało to Omnicza nieraz w bardzo kłopotliwej kolizyi — i w końcu, nie mogąc psa oduczyć niedyskrecyi, a nie chcąc się go pozbyć, przyjął mnie za współwłaściciela, to znaczy: ile razy Faun mu przeszkadza, oddaje go mnie, ile razy u mnie jest zbyt czułym, wraca do Omnicza. Ponieważ zaś obok tego obaj używamy go do polowania, służy więc dwom panom, obu, należy mu oddać słuszną, niezgorzej.

Podczas kiedy słuchacze przypatrywali się osobliwemu zwierzęciu, pies tymczasem, nie mogąc usiedzieć w miejscu, przestępował z nogi na nogę niecierpliwie i cicho przez zęby sko- wyczał.

— Leżeć Faun! — skarcił go właściciel,

a pies, podwinawszy ogon, wsunął się pod krzesło, położył i oparł mordę na łapach, skulony.

— Mimo to mieliśmy z Omniczem z powodu Fauna śmieszne zdarzenie, które nas nawet poróżniło na czas jakiś, a które wam opowiem.

...Pewnego dnia otrzymałem od Omnicza klucz od jego mieszkania i bilecik, aby zajrzeć do zamkniętego psa, ponieważ sam, niespodziewanie zaproszony, odjechał gdzieś w okolicę na całą dobę.

...Był to wieczór. Poszedłem tam zaraz, rzuciłem Faunowi kawałek kupionej po drodze wędliny, dałem mu wody, a zobaczywszy na biurku parę nieznanymi mi, świeżych książek, ponieważ miałem czas wolny, włożyłem na siebie szlafrok nieobecnego gospodarza, jego fez, i pogrążony w fotelu plecami ku drzwiom, zacząłem czytać przy świetle lampy.

...Naraz drzwi się otwierają, klucz: trzask, trzask — w zamku, wielki szum sukni kobiecych i coś pełnego, ciepłego, jak wichrem rzucone, spada mi na kolana, z słowami radości:

— Poszedł! poszedł na cały wieczór! — przyczem odbieram całusa... ale to całusa!... którego, chociaż zrozumiałem, że był nie dla mnie, nie zaniedbałem jednak natychmiast z równym ogniem odwzajemnić.

...:Hultaj ten Omnicz! paradne miewa znajomości !

...Ale zaledwie skończył się nasz pocałunek, ona oddaliła swoją twarz od mojej, przez mgnienie oka patrzyła zdumiona, a potem zsunawszy się nagle i szybko z mych kolan, stanęła jak wryta, nie znajdując wyrazów tłómaczenia, które zresztą było zbyteczne. Okrywający jej ramiona szal opadł z niej i odsłonił kształtną figurkę w gustownym szlafrocisku, jakiego nie noszą służące, ani te, które niemi być przestały. Ponad nim płonął zmieszaniem buziak, stworzony do śmiechu i pocałunków, a nie tej, jaką był obleczony, minki przerażenia — w ogóle osóбка co się zowie interesująca.

...Była tak widocznie wstrząśniętą, tak szczerze zrozpaczoną tym niesłychanym wypadkiem, tą pomyłką fatalną, że w pierwszej chwili uniosłem się litością i pomimo, że rad byłem w głębi duszy jej nieszczęściu (w obliczu młodej i pięknej kobiety trudno nie być samolubem), do licha! — pomyślałem — człowiek honorowy

— 27 —

nie przejmuję listów pod cudzym pisanych adresem.

...Podałem jej szal jak najuprzejmiej i aby uspokoić wszelkie jej obawy, rzekłem:

— Szanuję zawsze cudze tajemnice. Moje pani oddalić się ztąd bez obawy.

...Wysłuchiła tego ze spuszczonei oczyma, nieruchoma, cała w pąsach, nie wiedząc, co odpowiedzieć, nie mogąc tchu zebrać...

...A Faun, zawsze ten sam l... nie odwołując zawarcia znajomości, tak się jej zaczął łasić, tak ją szarpać za frendzle szala, że aż go musiałem odpędzić.

...Nareszcie szepnęła zdławionym głosem, spiesźnie:

— Dziękuję panu - i postąpiła ku drzwiom, w których już jej ręką przekreślony klucz, nieznacznie, przez dyskrecję, odkręciłem.

„Lecz naraz, ujawszy już za klamkę, podsunęła ku drzwiom ucho i zatrzymała się. Nie otwierała ich. Kiedym się zaś do niej zbliżył z miną pytającą, wyrzekła cicho, przełknięta:

— Tam ktoś jest..

...Poprosiłem, aby mi pozwoliła wyjrzeć i odchyliwszy drzwi, zobaczyłem rzecz fatalną.

...Trzy kobiety w brudnych, zakasanych spódnicach, uzbrojone w ryżowe szczotki na długich kijach, dźwigając kubły wody, z której buchała para, i pęki szarych ścierek, przy blasku małej lampki zabierały się do mycia podłóg korytarza.

...Powiedziałem jej, jak rzeczy stoją. ^{it}...Spytała zadyszana:

— Z której strony zaczynają:

...Wyjrzałem znów i rzekłem:

— Zdaje się, że z tamtej.

— O Boże! właśnie tamtędy muszę przechodzić...

...Nie byłem w stanie zapanować nad ciekawością.

— Więc pani... nie w stronę schodów?...

...Nie patrząc na mnie, odparła cicho, cała drżąca, po krótkim wahaniu, jakby widziała się zmuszoną do szczerości:

— Nie...

...Mieszkała zatem tu, w tym domu, na tem samym piętrze.

...Zorientowałem się szybko, znając rozkład lokali, bo Omnicz mieszkał tam od dłuższego czasu. Sąsiadka — dwa pokoje od tyłu — męża

wszyscy znacie, ale go nie wymienię, przez wdzięczność dla obojga.

...Staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu: ona, nie wiedząca, co począć — jakże biedaczce serce tłuc się musiało tam, w głębi jej powabnego biustu! — ja, nie wiedzący, co doradzić.

...Nie rada mi też, szczerze mówiąc, była w głowie.

— Może się oddała... Niech pani raczy spocząć, przeczekać — rzekłem z obowiązku gospodarza i mężczyzny.

...Posłuchała szybko, bez wahania, jak gdyby uznając, że ja tu jestem panem w tej chwili — i usiadła skromnie na podanym krzeselku, otulona po szyję w swój ciemny, wełnisty szal, podwijając nogi pod krzesło, jak gdyby jak najmniej miejsca chciała zajmować.

...Wyjrzałem znowu za próg, ale straciłem, a raczej zyskałem... nie, dobrze mówię, straciłem — dla niej i — wszelką nadzieję.

„W moich oczach bryzgnęła z pluskiem na podłogę fala grzanej wody. Wiedźmy z obnażonymi, czerwonymi rękoma zaczęły ją rozwlekać po deskach szczotkami. Rozpoczęło się mycie

podłogi szerokiego, długiego korytarza, które mogło trwać z całym szeregiem splukiwań i wycierań godzinę, półtorej, nawet dwie, bo pomywaczki urozmaicały sobie pracę rozmową, która wraz z głuszącym ich podniesione głosy zgrzytem ryżowych szczotek tylko na przedłużenie roboty wpłynąć mogła. i — Zaczęły myć — uwiadomiłem kobietę i zamknąłem drzwi, pytając się w duchu, od czegooby tu zacząć, ażeby skończyć w sposób pożądanym.

„Przez chwilę milczeliśmy oboje pod wpływem tyle myśli nasuwającej pewności, że jesteśmy z sobą uwięzieni na kilka godzin wieczoru i sam na sam.

...Potem ona, oceniwszy zapewne wszystko, czego się w tem położeniu mogła spodziewać czy obawiać, odezwała się gorączkowo, z lękiem i nieustępującym zawstyżeniem:

— Czy nie możnaby ich oddalić na chwilę?

—Pod jakim pozorem? —jak najśłodziej odrzekłem, pożerając ją wzrokiem. — Zresztą jedną dałoby się, lecz wszystkie trzy?

...Łzy zakręciły się jej w oczach, przygryzła wargi, zaczęła płakać.

...Biedaczka! żal mi jej było. Czemuż nie zemdląła zaraz w pierwszej chwili. Byłoby jej to nie oszczędziło następstw niezwykłego zbiegu okoliczności, ale obojgu nam uprościłoby nasze role. Ocuciwszy się w mych objęciach, łatwiej pogodzićby się mogła z swoim losem... To nawet używane.

...Zacząłem ją zapewniać, że nie potrzebuje się niczego obawiać, i — najostrożniej, bez zbytku nalegań, aby się nie złapać — oświadczyłem, iż jeśli sobie życzy, oddalę się, zostawiając ją samą.

...Podniosła na mnie oczy i spuściła je. Namyslała się zapewne, czy odrzucenia propozycji nie wezmę za zachętę — ale wiedziałem dobrze, że nie każe mi odejść, nie zmieniliby to bowiem zaszłego faktu, a byłoby obrażającym dowodem braku zaufania do mnie.

— Nie mogę... nie mogę na to pozwolić, aby pan z mego powodu.*. — odrzekła z przymusem.

...Siedziała naprzeciw mnie, nie patrząc na mnie, ale wiedząc z pewnością, że ją pochłania oczyma.

..Milczeliśmy. Żadne nie wiedziało, co mówić. Nie było to miejsce ni sposobność ani do rozmowy o pogodzie ani do żadnej innej — z wyjątkiem dwóch, najdrażliwszych, które ją przerażały a mnie nęciły, to jest o bieżącej sytuacji lub o... miłości.

„Naraz wybuchnęła ponownym płaczem, tak że pospieszyć musiałem ku niej z prośbą: Rb—? Ale niechże się pani nie martwi niepotrzebnie...

■^•Wyszeptała nadzwyczaj żałośnie:

— Co pan sobie o mnie pomyśli?

...Nie mogła się odezwać w pożądanym dla mnie sposób!

^Zacząłem ją zapewniać o moim całkowitym szacunku, więcej nawet niżeli szacunku. Nie mogąc uprosić słowami, by zaniechała płaczu, pocałowałem ją w rączkę, odszukaną pod szalem, potem w drugą, która znalazła się jakoś w pobliżu, a potem zacząłem opisywać, jak jestem szczęśliwy, że podobne nieporozumienie, ambarasujące co prawda, zbliżyło mnie do tak cudownej kobiety. Od niej tylko bowiem samej zależy, abym tę chwilę niezwykłą do najrozkoszniejszych w życiu zaliczył! I tak dalej...

...Nakoniec — pojmujecie... bo czyliż nawet KrotjM.

— 33 —

mogły rzeczy inny wziąć obrót, skoro oboje byliśmy w szlafrokach?..

...Ta potrzebująca mnie sobie zobowiązać kobietka dała mi się zwolna przekonać, że skoro tu przyszła po pocałunki (po cóżby innego?..) i pieszczoty, nie ma powodu odrzucać ich dlatego jedynie, że przez inne usta, aniżeli się spodziewała, będą jej podane, tem bardziej, gdy ustami temi kieruje uwielbienie najwyższe, i gdy... mąż wyszedł na cały wieczór !..

...Nabrała wreszcie do mnie zaufania i wyznała, że ją w błąd wprowadził brzęk mego pałacza, sądziła bowiem, że to Omnicz powraca do siebie — (zdaje się, że podobne sygnały były między nimi w użyciu). — No a potem jego fez na mej głowie, jego szlafrok... Co za dziwny traf!... Kręciła nawet główką. Ale dałem jej słowo, że między mną a nim nie było żadnej zmywy, że to, co zaszło, przez żadnego z nas obu, przez żadne z nas trojga zarówno przewidzianem nie było.

...Korytarz dawno już był wymyty, a nam ani w głowie było zwracać na to uwagę.

...Tylko ten Faun nieznośny!.. Ciągłe się do nas mieszał — a nawet w najmniej stosownych chwilach poczynął tak zajadle szczekać, że mnie to do pasy przywodziło. Czy jemu się zdawało że ja ją zabijam, czy co?..

...Nie wspominałem nic o tej przygodzie Omniczowi, wiedząc jak jest zazdrosny. Bo ja — wiecie — ja koledze nie odmówię niczego, wszystko wybaczę — ale on! kiedy idzie o kobietę: drugi Otello!.. Umówiliśmy się więc z jego uroczą sąsiadeczką zachować w najściślej tajemnicy przed nim ów wieczór i nieodłączne jego powtórzenia.

...Na nieszczęście zdradził nas — o! ten wisus — Faun!

...Nie znał on sąsiadki Omnicza, póki była jego kochanką, bo wydalano go zawsze z mieszkania—ale zapoznał się z nią, odkąd stała się moją, ponieważ patrzył na wszystko.

...Następstwem tego było, że zaczepiona przez Fauna w obecności męża zarumieniła się, mąż w przystępie nadnaturalnego jasnowidzenia zaniepokojony tem, zaczął dochodzić, do kogo pies należy, i zrobił jej scenę, ona zrobiła scenę Omniczowi, Omnicz nie poczuwając się

do winy, zwąchał jak rzeczy stoją, i zrobił scenę mnie, i posprzeczałyśmy się.

...Co za szaleństwo, moi drodzy! dwóch takich przyjaciół jak my, gniewać się o kobietę!.. Czy kto słyszał?!

... A jednak tak było. Przestaliśmy do siebie mówić, witać się, a nawet kiedy jeden drugiego spotkał na ulicy, skręcał w bok lub wstępował gdziekolwiek. Pies oczywiście został przy Omni- czu. Trwało to z miesiąc.

... Wiecież, kto nas pogodził?

..Znowu on: Faun.

..Przypadkiem znaleźliśmy się raz w jakimś ogrodzie, podczas koncertu, przy dwóch sąsiadujących stolikach. Pies mnie poznał i skacząc z radości, zaczął się łasić. — Cóż bo zwierzę mogły obchodzić ludzkie niesnaski!.. I póty przebiegał odemnie do Omnicza i znowu do ranie, aż rozśmieszeni, przejrzawszy całe dzieciństwo naszej waśni — podaliśmy sobie ręce.

— Faun! pójdz tu... Tu!.. Zobaczo ośle jakiś, czy tam czasem pani Całujka nie idzie, tylko prędko!

Na te słowa wyżeł zerwał się szybko z pod nóg porucznika i wyskoczywszy na stół, przy oknie stojący, oparł na nim przednie łapy i wyglądał przez chwilę ciekawie na ulicę, jak gdyby wypatrywał istotnie po za szybami wskazaną osobę.

Trzej oficerowie parsknęli śmiechem—a porucznik objaśnił, śmiejąc się także:

— Tej sztuczki wyuczył go Omnicz. Prawda, że odpowiada ona zupełnie charakterowi Fauna?..

Poczem przywoławszy psa, zaczął go ręką pieścić.

Kłopot.

Wciągnięty przez pana młodego w najodleglejszy zakątek apartamentu prezesostwa, do-
kład już nie docierały ani dźwięki orkiestry z tanecznej sali, ani gwar balu, wrącego najwyż-
szym szaleńcem o tej porze nad ranem — mały figlarny brunecik z niecierpliwością czekał na
wyjaśnienie.

Nakoniec ten piękny, wysoki, trzydziestoletni szatyn, którego szczęście, zazdrość
budzące we wszystkich, obchodzono dzisiaj tak hucznie, z niepojętym w takiej chwili
wyrazem niezadowolenia a nawet zgryzoty w twarzy — zaczął:

— A więc posłuchaj mnie a zrozumiesz moją zaszępiłą minę, zrozumiesz, dlaczego
wbrew twemu mniemaniu nie pragnę się was wcale pozbyć, dlaczego bym chciał przeciwnie,
ażebym ten zgłęb i ta ciżba trwały jak najdłużej... abyście wy... abym ja...

Urwał nagle, jak człowiek wyprowadzony z cierpliwości, powstał z kanapki, na której
obaj usiedli, przymknął drzwi od sąsiedniego pokoju i powróciwszy, wzburzony, ponowił z
większym naciskiem:

— Jestem najniezszczęśliwszym z ludzi — posłuchaj tylko.

Pamiętasz zaręczyny moje przed pół rokiem ? Widziałeś wówczas dwoje ludzi, pijanych
szczęściem, jakim ich napelniła zamiana pierścionków.

Wówczas to, pod wpływem tego upojenia postanowiłem sobie, ponieważ termin ślubu
był już umówiony, że... od dnia tego... należę do mej narzeczonej, do niej jednej... że odtąd
przestają dla mnie istnieć inne kobiety, jako takie... że... czyż nie rozumiesz jeszcze?... że
pierwszy nasz uścisk jako męża i żony będzie mym pierwszym uściskiem od chwili zaręczyn.

Przyrzekłem to sobie szczerze, uroczyście, czułem bowiem potrzebę i obowiązek tego
przyrzeczenia, zarówno dla mej miłości, jak dla naszego przyszłego szczęścia. Miodowy
miesiąc

obok swej strony idealnej, którą kazi zbyt świeże wspomnienie pieszczot innej kobiety, ma także swoją stronę fizyczną, ta zaś wymaga, aby nie rzucać się w szal jego wezbrany prosto z objęć innych, choćby dlatego tylko, że mogłoby się nie sprostac chwili...

Wszak prawda?

Trzymałem tedy na wodzy moje nałogi. Przychodziło mi to z początku z pewną satysfakcją, potem z niejakim przymusem, nawet z przykrością, nareszcie z męką — ale wytrzymałem do końca, opierając się wszelkim tentacyom.

Co za tentacyom!... Jak nauczyły mnie one pojmować próby Antoniego pustelnika?!...

Dochodziło do tego, że rozmawiając z klientkami w mem biurze o najzawilszych i najpoważniejszych sprawach, giżyłem się w język, aby im nie zaproponować schadzki miłosnej. Pomimo perswazyi zdrowego rozsądku bowiem i względów natury zawodowej nie mogłem się oprzeć tej myśli. To też w końcu zmuszony byłem dla własnego spokoju i dla honoru biura w wszelkich sprawach z młodszymi kobietami zastępować się moim dependentem.

Poprostu sam widok kobiety, widok kobiecej

sukni, jej szum przyprawiał mnie o zawrót głowy — cóż dopiero zamiana spojrzeń, ten tak zdaje się niewinny z pozoru zwyczaj oczkowania na ulicy, w przechodzie, z jednego chodnika na drugi. Dawniej mnie to bawiło — teraz sprawiało istne tortury.

Najwięcej jednak kłopotu miałem z moją sąsiadką.

Aktorka, kobieta arcylekkiego życia — brzęk naczyń, śmiechy kobiece i niekobiece rozlegają się u niej do późna w nocy — ale przepyszna istota! na którą niepodobnaby mi było w chwilach największej sytości spojrzeć bez dreszczu — teraz zaś, w miesiącach ścisłego postu, dostawałem formalnej febry na jej widok.

Nie wiem, czy ją znasz: Flora. Wysmukła, gibka, pełna zręczności i szyku brunetka o czarnych jak grzech oczach, któremi przepala cię do głębi — zupełnie w moim guście i gdyby nie ślub... dalibóg nie byłbym słuchał przez ścianę cudzych z nią śmiechów i trącań kieliszkami, ale sam byłbym się z nią śmiał do rozpuku i trącał do nieprzytomności.

Nie mogąc jednak pieścić tej czarującej kokietki a niezdolny jej omijać, bo na to zbyt

była ponętą a przytem wabiła mnie niewątpliwie — starałem się dokuczyć jej przynajmniej mym oporem, który i dla mnie niemało był dokuczliwym. Udawał się też jakotako na jawie jedynie — skoro tylko zasnąłem, byłem bezbronny i moja sąsiadka robiła wówczas ze mną, co jej się podobało... Dyablica 1...

Tak nadszedł wczorajszy wieczór.

Wróciłem do domu późno, przymuszony przez was, wbrew chęci, do tej pożegnalnej bibki — w następstwie podchmielony.

Przypadek — przekłety przypadek! — chciał, że równocześnie stanąłem u mych drzwi, gdy ona stawała u swoich w powrocie z teatru.

Rozumie się przywitaliśmy się, jako znajomi-

— Więc to jutro? — szepnęła, błyskając na mnie oczyma, ciemniejszymi niż zwykle, od podkreśleń, pozostałych z scenicznej charakte- ryzacji.

— Tak, jutro — odparłem, starając się wymknąć rękę z jej dłoni, ale napróżno.

— Jutro... — powtórzyła z leciuchną ironią, cała schowana w swoje długie, czarne okrycie, rodzaj aksamitnego worka, potrajającego bez- kształtnością swoją urok schowanych weń kształ-

tów^a — Od jutra będziesz pan już na zawsze nie do zdobycia!...

I poczęła wśród lekkiego kołysania głowy muskać delikatnie bladoróżowym podbródkiem biały, puszysty boa z roztrzepanego baranka, który opasywał jej szyję.

ⁱ Pewien siebie, odparłem od niechcenia, zarażając się jej cynizmem, który trafiał w smak memu podochoceniu:

— O! jestem nim już dzisiaj!

— Już dzisiaj?... Ależ dziś jesteś pan jeszcze kawalerem... Dziś wolno panu jeszcze wszystko!...

— Prócz tego, czego sobie sam zabraniam!...

¹ Parsknęła śmiechem.

— Więc pan sobie zabraniasz?... To wyborne I... I oddawna, jeżeli wolno wiedzieć?

— Odkąd panią poznałem.

['] — Czy to złośliwość?

— Nie — to hołd.

['] — A więc od pół roku, bo tak dawno sąsiadujemy. Pół roku I dla Boga — kawał czasu. Jeżeli to panu przyszło bez trudności, to... żal mi doprawdy pańskiej żony.

— Śmiało przypuszczenie, że mi to przyszło

bez trudności — i to w ustach pani, która je spotęgowałaś.

— A jednak wychodzisz pan zwycięsko. Podoba mi się to.

— Z powodu siły woli, jakiej dowodzi ?

— E, nie... Ale z powodu... z powodu zapasu uczuć, jaki musiał się zgromadzić w pańskim sercu przez tak długi czas. Muszą to być nieprzebrane skarby...

— W istocie — westchnąłem — i trudne do udźwignięcia.

— Gdyby pan sobie nieco ulżył?

— Z pomocą pani?

— Ach nie, ale przysłałabym panu moją Rózię; ładna dziewczyna i podobałeś jej się pan. Coż pan o tem myśli?

— Myślę, że nie będę miał Rózi na sumieniu.

— Od zarozumiałego zadzierania głowy jeden tylko krok do potknięcia się.

— Zapewniam panią, że się nie potknę.

Zmierzyła mnie jednym z swych najniebezpieczniejszych spojrzeń i, zbliżając ku mnie usta, szepnęła z umyślną afektacją:

— Nawet na progu mego mieszkania?

— Nawet — bo go nie przestąpię.

Oddaliłem twarz od jej ust, których ciepło w głowie mi mięszało, ona zaś wybuchnęła śmiechem.

i' — Więc pan mnie się boisz ? To pochlebne !...

e — Dla pani ?

— Nie — dla pana. Jakże lękliwą i kruchą jest pańska cnota?!

— Kruchą jest jak każda. Czy pani nie wie, że jest to najkruchsza rzecz na świecie... Ale lękliwą? — to znowu nie.

— Dowiedz pan tego.

\$ - Jak?...

— Przyjm pan u mnie dzisiaj kolację...

Wpatrzyliśmy się w siebie. Czulem, że przyjmując, narażę się niesłychanie.

— Wahasz się pan ?

— Ależ... na co? — zapytałem.

— Na co ? Najpierw na to, abym miała z kim zjeść kolację — potem na to, abyś pan nie zmarnował ostatniej w życiu dozwolonej sposobności sam na sam z kobietą lekkich obyczajów — a wreszcie na to, że jestem niezmiernie ciekawą zobaczyć zachowanie mężczyzny, który od pół roku dotykał co najwyżej palców kobiety dłonią lub ustami.

— Czyi iż nie widzi pani tego j už teraz i
— Rzeczywiście. Idzie mi jednak o cós więcej — o sposób ubiegania się o pocałunek, o uścisk kobiety w podobnym nastroju...
— Jakto? więc pani przypuszczasz
— Jestem tego pewną.
— Pani mnie zachęca ?...
— Ja pana zmuszę!... jeżeli zechcę naturalnie.
— Lecz po tem wyznaniu ja zaproszenia przyjąć nie mogę.
— Odrzucając je, przyznasz się pan do bezsilności.
— Ależ ja nie należę do siebie.
— Od jutra dopiero! Dziś należysz pan jeszcze do każdej, która pana zdobędzie. Chyba że się pan zdołasz oprzeć, w co niebardzo mi się chce znowu wierzyć, mimo pańskiej obrączki zaręczynowej.
— Tak ?... A więc przekonam panią, że kawaleczek złota, opasujący palec, więcej znaczy, niż najpiękniejsze z ramion, zarzucone na szyje.
— Jak moje ?
— Te właśnie miałem na myśli.
— Jest pan na dobrej drodze... Ale —
jeszcze jedno. Skoro pan przegrasz... nie miej do mnie żalu...
> — Zgoda. Lecz co pani mi przyrzeka w przeciwnym razie?
— W przeciwnym razie — ja się utopię. Sądzę, że nie dopuścisz pan do tej ostateczności.
Weszła śmiejąc się — ja za nią, z lekkimi skrupułami sumienia, które starałem się zgłuszyć rozumowaniem, że idę tam — po zwycięstwo, fcyj Aby mi dać czas ochłonać, czy też upić się do reszty, pozostawiła mnie w swym buduarze samego, pośród mebli niskich, rozłożystych, zmuszających przypierać niedbałe, wygodne, na pół leżące pozycye i marzyć.
Od sufitu spływał blask różowej lampy, zewsząd były silne, odurzające wonie perfum i przypominały w rozmaity sposób kobietę przybory jej stroju. Olbrzymia miednica na umywalni, otoczona rojem flakonów i słoików — nad nią lustro, w którym mimowoli szukało się resztek odbicia biustu, co tak często się przed niem obnażał, zlany wodą różaną. Przy łóżku z kotarami pantofelki małe, złote, o ostrych końcach. Łóżko wzorowo zasłane, podobne miną do starannie zapiętej sukni, na pięknym

biuście, która mimo swego przyzwoitego wyglądu pobudza, aby się myśla pod nią wciskać, rozpinąć ją, rozrzucić, zdzierać do nagiego ciała. Tu i ówdzie fotografie Flory, duże i małe, w kostymach i toaletach współczesnych, w pozach co jedna to smaczniejszych, każda z inną przyprawą. Na jednym foteliku wachlarz, na innym sznurówka, na dywanie puszek od pudru, opodal długa rękawiczka z palcami złożonymi do przysięgi, z której zdawała się drwić pustymi oczyma spoglądająca na ten gość uroczysty czarna jedwabna maska z koronką, zawieszona na mosiężnej klameczce okna. Na wszystkie strony kwiaty świeże i zeschnięte i po- napoczynane bombonierki z cukrami.

I jak uroczystość napełnia nas w uroczystych miejscach, tak ja nasiąkałem zwołną atmosferą pieszczot w tym przybytku pocałunków i uścisków — przedmioty bowiem i miejsca tchną zawsze tem, na co patrzyły.

Naraz zebrała mnie ochota uciec, taki złowróżbny opanował mnie niepokój, lecz w tejże chwili kotara u drzwi uchyliła się i odsłoniła główkę, uśmiechniętą i wyrzucającą z pomiędzy ząbków słowa?

- Chciałabym wejść.
- Pragnę tego samego.
- Kiedy nie mogę.
- Czemu?
- Jestem bosa.

A więc?

- Pantofelki moje tam stoją... niedaleko pana...
- Przenieś panią do nich.
- Cóż znowu. Daleko prościej przynieść je do mnie.
- Prościej ale nie tak przyjemnie. Wie pani co? wybierzmy środek. Niech pani zbliży się cokolwiek — a i one podejda ku pani.
- Ależ na co?

Abym je mógł sam włożyć na nóżki.

- Co? już panu w głowie podobne rzeczy? Nie myślałam, że to tak prędko pójdzie.
- Cóż w tem złego?
- Złego nic — ale to pana zgubi L Lecisz pan w płomień na oślepie.
- Przeciwnie — odrzekłem śmiejąc się — pragnę okazać pani, jak jestem ogniotrwały.
- A no próbuj pan.

Weszła w szlafroczy z jakiejś japońskiej,

Erotyki.

— 49 —

jasnej, szeleszczącej materii, skrojonej jak prosty płaszcz a przepasanej grubym sznurem — i wysunęła nieco z pod niego nóżkę w jedwabnej czarnej pończosze.

Założyłem jej pantofelki jeden po drugim, starając się panować nad sobą — bo te żywe, ciepłe, drgające stopy kusiły mnie jak jakieś małe i ładniutkie zwierzątka, aby je przytrzymać i pieścić: ztąd pewne roztargnienie. Skarciła mnie za niezręczność.

— Nie umiesz pan kobiet obuwać.

— Rozzuwam nierównie składniej.

— Nie wątpię.

Tupnęła nogami i ściągając węzeł sznura w pasie, zawołała:

— A teraz?

— Teraz?.. — zapytałem, obejmując ją wzrokiem i uczulem, że cierpnę, po pewnym spostrzeżeniu... Nie miała na sobie sznurówki...

— Teraz — broń się pan!

I napół usiadła, napół położyła się na szerokiej kanapce, o skrzyżowanych w dwie strony oparciach, które siedzące tu osoby zamykały jak w wąwozie.

Wąwóz ten stał się mera — Waterloo.

Czemuż budują podobne sprzęty? dlaczego ona była tak powabną? ja tak wrażliwym?!..

Ba! pół roku najściślejzego postu — a potem naraz wyborna kolacja, wyborne wino i tuż obok wyborna kobieta, do której zbliżywszy się zanadto, zapomina się o całym świecie i upada, jak meteor, co musi spaść na ziemię, skoro wkroczy w sferę jej przyciągania.

Wołało coś we mnie wprawdzie chwilami rozpaczliwie: Szaleńcze! co czynisz! na co się narażasz? —lecz ja głuchy byłem na to wołanie, jak głodny pies głuchym jest na obawę plag, skoro się znajdzie w pobliżu mięsa. Pięćdziesiąt razy go już obito za rabunek, wie, że i tym razem baty go nie miną —a mimoto zje, zje wszystko do ostatniej kosteczki, ponieważ baty są jeszcze za drzwiami, a przysmak tuż pod nosem...

Upadłem też, upadłem z całym rozmachem człowieka, który nadużył swej cierpliwości i zbyt zaufał w swe siły — ona zaś zatrzymała mnie w tym upadku z całym łakomstwem kobiety, uradowanej okazyą splełtania figła innej, z całym znawstwem kokoty, w której ręce dostał się specyał.

Bo byłem nim — wczoraj.

Nie jestem nim już — dzisiaj.

O godzinie dziesiątej rano opuściłem buduar Flory z sercem pustym jak klatka, z której ptak wyleciał — bez serca; z głową wysuszoną jak rodzynek — bez głowy. Opuszczałem jej mieszkanie, jak się opuszcza dom gry — z pustką w kieszeniach, które się wniosło pełniuteńkie.

Byłem tak wyczerpany, że nie stać mnie nawet było na powiedzenie sobie samemu, że popełniłem podłość — nie zaprzeczaj..;

Po kilku godzinach snu dopiero wyznałem to sobie szczerze, otwarcie, z wściekłością.

Bo popełniłem ją!..

Do tego stopnia ubóstwiać tak tego godne młode, pełne tkliwości, bez granic oddane mi dziewczę i w zamian za jej niewinność nie odwzajemnić się nawet falsyfikatem niewinności, sztuczną niewinnością paru miesięcy, którą oddałem prostej zalotnicy...

Ach, czy podobna postąpić sobie niego- dziwiej?! — Lecz czy podobna być nieszczęśliwszym ?

Pomyśl tylko, w jakim znajduję się położeniu. Całą wymowę mych uczuć, zbieraną skrzętem nie przez pół roku w tym celu, aby ją złożyć u stóp innej — wyszafowałem jak szaleniec wczoraj dla tej uwodzicielki, która ogołociła mnie ze wszystkiego, co miałem do powiedzenia, aż do ostatniego słówka, do ostatniego miłosnego szeptu — tak że dzisiaj nie mam już nic do wyznania lub bardzo mało, za mało na chwilę, w której powinno się być porywająco wymownym!..

Więc drzę w miarę zbliżania się tej chwili, drzę coraz bardziej, tak jak źle przygotowany student, który najlepiej czuje wszystkie braki swej wiedzy przed samym egzaminem.

Za chwilę rozejdziecie się — a ja — ach!..

Dlatego błagam cię, zaklinam! zachęcaj młodzież, dodawaj ochoty, zatrzymuj ich, zatrzymuj ich jak najdłużej... a wyświadczysz mi przysługę, dobrodziejstwo — zbawisz mnie! O nie śmiej się — ty nie jesteś w stanie wyobrazić sobie mojej sytuacji.

— Czyż naprawdę tak się roztrwonileś?

— To była orgia szalonych!.. Piekielna kobieta, nie doświadczyłem nigdy czegoś podobnego...

— W każdym razie dziwię ci się trochę^.

Wszak będziesz mógł żonę swą wynagrodzić później nieco... Ona nie może mieć przecież żadnych określonych wymagań... nie pozna się.

— Nie pozna się może dziś — ale oceni to jutro, za miesiąc, za rok, gdy sobie przypomni...

— ■ Ale co tam, bądź dobrej myśli. Pomyśl tylko, jak jest późno — jak ona będzie znużoną...

— Ach dobrze, zem sobie przypomniał. Proszę cię, tańcz też z moją żoną, mój drogi, jak najwięcej... To ją zmęczy... pojmujesz?

— Dlaczegoż sam z nią nie tańczysz?

— Z najprostszej przyczyny: ja się potrzebuję oszczędzać.

— Prawda.

— I jeszcze jedno: proszę cię o sekret, na dziś, o tem co słyszałeś.

— Tylko na dziś?

— Jutro Flora i tak roztrąbi swój tryumf.

— Jeżeli chcesz, mógłbym ją zobowiązać do dyskrecyi.

— Czyż ty ją znasz?

— Dotąd nie, ale... Wszak ona nie jest zbyt trudną przy zawieraniu znajomości?
Wybór.

Zmierzch padał, gdy stary Trawnik, koszykarz, człek w domu i rzemiośle zarówno energiczny, właściciel tego odosobnionego domku nad rzeką i ojciec obu tak dorodnych dziewcząt, z pękiem młodej wikliny na plecach a fajką dymiącą w gębie powracał z wybrzeża. W tej samej chwili, kiedy wkroczył do izby, żona przybierając obojętną minę, urwała nagle swary z zmieszaną bardzo starszą córką Salomeą, plotącą właśnie duży okrągły kosz o dwojgu uszach, tak zwaną duckę.

Lecz stary miał bystre oko i zmiarkował natychmiast, że dzieje się coś niezwykłego.

Natury wybuchliwej, gorącej, nienawykły do długich przemyślnych badań, rzuciwszy wiązkę złoto - zielonawych prętów na ziemię, odrazu wlepił swoje groźnie połyskujące ślepie w obie

kobiety i tak je przyparł do muru, że się ta brzydka, ta najbrzydsza rzecz w świecie, dziś dopiero, przez matkę odkryta, w całości teraz i przed ojcem wydała.

Salusia była w ciąży.

Okropny zamęt powstał w domu. Trawnik wyciągnął dziewczkę z pomiędzy kupy pręcia i wyrwawszy jej z rąk splatany kosz, począł ją kijem okładać, aż wyła z bólu, wzywając na pomoc wszelkie znane sobie świętości. Ledwie starej powiodło się ukryć córkę przed razami, ale nie uchroniła jej od słów, którymi ojciec, zapieniony z pasyi, bezcześcił ją od ostatnich. Co za zakąła na dom, co za przykład dla tamtej! młodziej!..

Skoro ten ostatni argument doszedł uszu Salusi, wysunęła zabeczaną twarz z po za fartucha i wyłkała na swą obronę:

— A cóż to ona ode mnie lepsza —■ czy co?

— Salka! — wdała się z oburzeniem matka —* siostry mi nie obmawiaj, kiedyś sama taka.

— Jakam? jaka? — szlochała dziewczyna. — Niech się jej mama tylko przypatrzy, a pozna mama, żeśmy obie jednakowe.

Zarzut to był niesłychany. Wobec niego

Rozalia, której długa nieobecność w izbie zaraz wydała się podejrzaną, winna była usprawiedliwić się osobiście.

Odnaleziono ją jak rak czerwoną, w drewni, gdzie z szczególnym zapalem rąbała szczapy i niestety po krótkiej indagacji okazało się, że Salka mówiła prawdę.

Jeszcze też ściany Trawnikowej chaty nie widziały nigdy tego, co się tam owego wieczora działo i nie słyszały z ust starego podobnych jak wtedy rzeczy. Było to istne piekło! Starzy poszli spać o godzinę później niż zwykle, zapomniawszy drób wpędzić do kurnika i „zbója” z łańcucha spuścić — a dziewczęta, zbite, sponiewierane, jedna z urwanym rękawem, druga z rozdartą szpetnie spódnicą, obie pozbawione koralików, które leżały rozsypane po wszystkich kątach izby, późno w nocy wsunęły się z sionki cichaczem i po omacku, zziębnięte, gdy już rodzice, posnąwszy, rozchrapali się na dobre.

Nazajutrz, skoro świt, nowy zgielk, nowe razy i śledztwo. Córki z rękoma i twarzami, pełnemi wczorajszych sińców wszelakiej barwy, usłyszały swoje, matka swoje, wszystkim trojgu

dostało się z wypoczętych pięści starego obficie, tej za niedozór, tamtym za szelmstwo.

Aż wreszcie kije wypłoszyły prawdę. Wyszło na jaw, że sprawcą niespodziewanego w rodzinie skandalu był młody „jegier”, szeregowiec, którego z powodu zaległych podatków, pod nieobecność Trawnika, bawiącego podówczas na jarmarkach z koszykami, trzy miesiące temu przysłano „na egzekucję”. W dni kilka dopiero Trawnikowa, zapożyczwszy się na gwałt u znajomych, pozbyła się tego, zdawało się zrazu, wielce uciesznego i z niezłym sercem chłopaka, chociaż o nienasyconym żołądku, dziś jednak dopiero widać, co za gałgana i huncwota. Tydzień tylko bawił i oto, jak się spisał. Na wiele się zdała bacność, jaką Trawnik krewkie swe dziewczki od zawitania lat .niebezpieczeństwa otaczał.

W chacie koszykarza nastąpiły przykre czasy. Dziewczęta pracowały wprawdzie z zdwojoną gorliwością, odgadując każde życzenie ojca, ale nie wystarczało to, by okupić ich straszną winę. Wyrzuty i złorzeczenia nieprzerwanym gradem spadały na ich głowy, na kułakach też nie zby

wało — jedynie matka znalazła dla siebie wobec gniewu męża skuteczną tarczę w słowach: t(— Tylko też mnie nie winuj! Czemuś w porę nie zapłacił podatku?..

' Snuły się więc biedaczki po kątach, popłakując, niewiele mając do powiedzenia jedna Hidrugiej, schodząc rodzicom zagniewanym z oczu, K jedząc, pijąc, śpiąc nawet ukradkiem ~ i przez

■ cztery miesiące obnosiły w ten sposób po domu i wstyd swój, coraz widoczniejszy.

* Naraz Rozalia, natężająca się ze skruchy nad miarę w robocie — poroniła. Matka i tak

■ fenaczną część surowości okazująca im tylko ze

■ względu na starego, który nie folgował w gniewie, ■złagodniała dla niej wówczas zupełnie. Ojciec

zaś, już podczas słabości dziewczyny, gdy dziecię .zmarło, mimowolną litością zdjęty, potem na- powrót ją do łask przypuścił. : Tem przykrzejszą za to była dola starszej, Salusi, która teraz za obie dźwigać musiała ciężar oskarżeń i wyrzutów. W niczem zaś nie \$ zmieniło się jej na lepsze, kiedy powiła w dwa miesiące później zdrowego i silnego chłopca. Przeciwnie — najpierw złożona niemocą, potem t nieustannie potrzebna dziecku, na nic teraz

nie będąc w domu przydatną —f na każdym kroku oskarżała się oczom rodziców tem zawieszonym u swej piersi niemowlęciem, które było hańbą i ciężarem rodziny.

Ojciec też nieustannie jej dawał uczuć ogrom jej grzechu. Nie mógł bez gniewu na nią i na jej malca patrzeć i w jej obecności brwi mu się marszczyły, rozdymały nozdrza, a wąsy kłapały groźnie.

Czasem tylko, gdy był sam w izbie i kiedy go nikt nie mógł podpatrzeć, podchodził ukradkiem do bębna, sapiącego przez sen w kołysce, i z zajęciem, z nieokreślonym wzruszeniem przyglądał się jego drobniutkim, delikatnym rączynom i buzi pyzatej. Czasem go nawet po-kołysał zlekka, doznając dziwnej przyjemności przy oddawaniu tej drobnej usługi maleństwu, które bez jego wiedzy i woli śmiało mu się narzucić na wnuka. W starym budził się dziadek w chwilach takiego sam na sam z niemowlęciem, które go uwalniały od kłamstw i przymusów, jakich tyle narzucają — oczy ludzkie. Zrywał się wszakże i odchodził, usłyszawszy czyjeś kroki, a jeśli dziecię zapłakało, natychmiast strofował Salkę: 4

_ Ty! czemu dziecka nie pilnujesz? To taka z ciebie matka?!

Poczem wychodził na dwór zapalić fajkę.

■ Czynił to zawsze od pojawienia się dziecka w chacie.

...Raz, w piękny dzień wiosenny, przybył stary do domu z wielką nowiną, dla której za- & komunikowania wyciągnął żonę za próg, gdzie oboje usiedli na pniaku.

Sąsiad ich niedaleki nad rzeką, samotny rybak, wdowiec, schorowany starzec, którego ostatniej zimy sparaliżowało, dogorywał. Trawnik odwiedziwszy go, dowiedział się, że staruch, gt czując bliską śmierć, zamyśla sprowadzić do siebie synowca, świeżo wysłużonego wojaka,

■ ożenić go i oddać mu chatę wraz z całym 1 przyborem rybackim.

Otóż nadeszła — sądził Trawnik — sposobność, jakiej nie godzi się pomijać, wydania której z dziewcząt W miasteczku bowiem, choć oddalonem od chaty, wiadomo dobrze, co w niej zaszło i o męża ztamtąd będzie niełatwo. Tu zaś ma przybyć chłopak młody, zamożny, ; obcy, nieświadom niczego, równie jak i jego stryj.

Trawnikowej myśl ta trafiła do przekonania. Uradzono tylko oddalić z domu chłopca Salki, bo chociażby kawaler ku Rózi uczuł skłonność, mogłoby go jednak zrazić, że w domu tym podobny wypadek zaszedł.

Kiedy nazajutrz wóz zajechał przed chatę, ojciec musiał Salkę zburczeć za jej szlochy i lamentsy groźbą: „Ejże! bo ja i ciebie z two- jem małym na czteiy wiatry przepędzę!..* — gdyż zapłakana, wycalowując bez końca dziecię, które się darło w niebogłosy, niby protestując przeciwko rozstaniu, z taką żalobą podawała je na wóz matce, jakby ta zamierzała je utopić... Odwieziono malca do krewniaczki o mil parę.

Niedługo potem zjawił się synowiec rybaka, młody, rumiany dragał, pośpiewujący, pogwizdujący, którego od tej chwili na wodzie i na lądzie było pełno.

Najpierw cała rodzina obejrzała go i osądziła z daleka, rodzice głośno, córki w głębi duszy. Sąd wypadł przychylnie. Potem raz wpadł nibyto pożyczyc widel, dowiedziano się że mu na imię Wincenty — i znajomość została zawartą.

Ku ucieście całego domu okazał się bardzo ciekawym do dziewcząt. Często zaglądał w opłotki i chętnie z dziewczkami gawędził. Nie wiadano tylko, którą przenosi Kiedy bowiem był z Salką, zdawało się, że woli Salkę, przy Rózi — wyraźnie miał się ku niej, skoro zaś znalazł się z obiema naraz, poprostu do obu się zabierał. Stąd nawet Trawnikównie zaczęły się na siebie boczyć.

Wówczas stary postanowił, że należy wahającemu się kawalerowi pomódz w wyborze, podsuwając jedną z dziewcząt. Wyznaczył Salkę, a to dlatego, że Rózi, której bład nie pozostawił śladu, zresztą młodziej, łatwiej zawsze będzie o męża.

Zaczęto tedy podsuwać młodemu rybakowi starszą koszykarsównę, którą znajdował zawsze przy pracy, ale zawsze ochędożnie odzianą, a przytem odznaczaną jawnymi względami rodziców, na świadectwo jej przymiotów. I Rózia, przeciwnie, z musu zaczęła chłopca unikać. Nie wolno jej było kwiatka we włosy iwetknać, chodziła zamorusana i pełne miała uszy wcale niezasałużonych strofowań, których znów celem było zohydzić ją kawalerowi, jako

niewiele oczywiście warte, kiedy tak pomiatane przez wszystkich ladaco.

Niebawem też Wicek skierował swe umizgi ku Salomei.

Rózię jednak, łakomą męzkiego towarzystwa, oburzała ta polityka rodziców, krzywdząca ją niesłusznie.

— Co ja mu mam z oczu schodzić, kiedy mi nie krzyw — buntowała się, skoro matka odwoływała ją z podwórza na sam widok rybaka.

— Tyś mu nie w głowie, to za nim nie łaż — w myśl pouczeń starego mówiła Trawnikowa.

— Już ja tam wiem najlepiej, czym mu w głowie, czy nie, a i to wiem, że na Salkę by się nawet nie obejrzał, choć mu ją tak pchacie, skoroby wiedział o jej dziecku!..

Stara, przełknięta, tupnięciem nogi spieszyła zagłuszyć niebaczne słowo, przypominając młodszej córce jej winy. Ale Rózia odpowiadała z głębokim przekonaniem o swej nad siostrą wyższości:

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Mądre zarządzenia Trawnika wydały niedługo skutek. Pewnej soboty koszykarz, wybadawszy wpierw starego sąsiada, nakazał żonie przygotować się na rozstrzygającą wizytę kawalera. Salce udzielono pomyślniej wieści, jako interesowanej. — Rózia, wydalona z izby pod pozorem zajrzenia do chlewa, skąd ojca doleciał rzekomo kwik nadto podniesiony, podsłuchiwała wszystko przez drzwi.

Wicek przyszedł nazajutrz w odświętnym surducie, w białym, czystym, odbijającym od jego opalonej twarzy kołnierzu, i z pewnem zażenowaniem przywitał oboje starych, którzy dla zachowania godności udawali, że jeszcze o niczem nie wiedzą, utrudniając tem nieco sytuację kawalerowi.

Nareszcie ogródkami, bo wydawały mu się czemś delikatniejszym od wyluszczenia wprost rzeczy, oświadczył im, że z wiedzą stryjaszka, który dla choroby towarzyszyć mu nie może, przybył prosić, aby mu oddali córkę za żonę.

Nastąpił uścisk obu mężczyzn, ucałowanie rąk Trawnikowej, na którą od uroczystości chwili uderzyły poty, poczem koszykarz zawołał do niej ukontentowany:

— Stara! skoknijno po Salkę.

Trawnikowa natychmiast zwróciła się ku ko
ErotyU.

— 65 —

morze, gdzie Saiusia, ze względu na święto i spodziewane oświadczyzny wystrojona, czekała jak na szpilkach, czując raz w raz przebiegające ją od stóp do głów ciarki.

Ale Wicek zatrzymał Trawnikową w pół drogi.

—Pannę Rozalię z przeproszeniem — poprawił.

—Nie Salcie? — zadziwił się Trawnik, wytrzeszczając oczy. — Bo my myśleli, że pan Wincenty wedle Salki chodzi. Tak na to jakoś od miesiąca patrzyło...

Kawaler, zwlekając z odpowiedzią, płaszczył kapelusz na kolanach. Przytem cera jego, z natury czerwona, stawała się zwolna arcyczerwoną, jak u człowieka, znajdującego się w dużym kłopotcie.

— Żeby nie skłamać — odważył się w końcu — tom po prawdzie względem panny Salomei... niby... żem się miał do niej. Ale jakem się dowiedział, że panna Saiusia ma małe...

Trawnik porwał się z zydła.

— Co znowu! A któż to panu Wincentemu takich bajek napłót!..

Kawaler wszakże odparł z przekonaniem:

— Nie, żebym to chciał ubliżyć pannie Salusi, ale ja wiem od pewnej osoby.

— Ciekawa rzecz, od kogo?

— Nie mogę powiedzieć.

— Jakto pan Wincenty nie może, kiedy o takie rzeczy idzie?

Milczał — oni czekali; wreszcie wydusił z siebie:

— Ha, skoro mnie państwo przypieracie, to się przyznam, że od panny Rózi.

I — Co?! Różka by śmiała powiedzieć takie paskudztwo na siostrę?! — uniósł się ojciec, któremu matka przywodziła mimicznie załamaniem rąk, pełnem zgrozy.

. — Niech to będzie bez urazy, ale przecie lepiej, że mi zawczasu powiedziała, niż żebym się miał dowiedzieć po wszystkim. Zresztą panna Rózia przyznała się po szczerości, że obie miały ten przypadek, tak w tem nie było ani obmowy, ani nic znowu tak złego, skoro wiadomo, żadna dziewczyna, nie trza państwu mówić, nie jest święta... Ale se myślę: po co mi cudze chować!.. — a że miałem do obu serce, więc proszę o Rózię. Stryjaszek wie <0 wszystkim.

— Ha no, to idź matka po Róikę—mruknął stary z rezygnacją, zmuszony pogodzić się z położeniem.

Wtem ukazała się Salusia, która nie mogąc w komorze wytrzymać z niecierpliwości, odważyła się wejść, w mniemaniu, że wejdzie w samą porę. Wystrojona i uśmiechnięta, stanęła przed oczyma ojca z miną dziecka, które wie, że sprawia rodzicom pociechę.

Na ten widok z pod obwisłych brwi Trawnika błysnęły dawne gniewy, a błąd starszej córki dwa razy wydał mu się jaskrawszym pod tą wesołą i strojną postacią.

—Czego tu chcesz? — wybuchnął — wołał cię kto?

A kiedy wylekła cofnęła się w tył, nie pojmując tego przyjęcia, zawołał jeszcze surowiej, grożąc palcem:

—Ruszaj mi zaraz po Rózię, a sama zdejm te szmaty, żebym cię nie nauczył, komu się to tak wystrajać! Ty!!..

Opiekunowie.

Pewnego dnia, rano, drzwi się otwarły i jakaś kobieta, omatulona w chustki, niemłoda, wyglądająca w połowie na ubogą małomiesz- czankę, w połowie na chłopkę, podobna do stu takich samych kobiet, przybywających na targ z mleczywem lub drobiem, zapytała Paulinę piskliwie, czy nie potrzebuje jaj. Wszczął się targ, uwieńczony kupnem, w wywiązanej zaś ztąd gawędce Paulina, która udawała mężatkę przy każdej nadarzonej sposobności, wspomniała coś o nieobecny mężu. Wtedy rozmowna kobiecina spytała ją o dzieci, a usłyszawszy, że ich nie ma, zaczęła ubolewać:

— Musi pani być smutno przez cały dzień, tak samej.

— Pewnie.

— Wzięłaby sobie pani na wychowanie jakie, albo co?

Paulina zastanowiła się chwilę. Przechodziła myślą niektóre nudniejsze godziny dnia, spędzane w przymusowej samotności, ponieważ główny jej, na teraz, przyjaciel był zazdrosny. Nakoniec rzekła:

— Gdyby się trafiło ładne, możebym i wzięła.

— A co: dziewczynkę — czy chłopca?

— O! dziewczynkę, tylko dziewczynkę!

Jak to dobrze! przybyła ma właśnie dziewczynkę na zbyciu. Bardzo to dziecko kocha, ale że w domu bieda, chętnie by ją więc oddała na wychowanie w porządne miejsce.

Od słowa do słowa umówiły się, że w najbliższy dzień targowy przybędzie ją pokazać.

Stawiła się wedle obietnicy, przyprowadzając małą dziewczuchę, czysto wymytą, wyczesaną i ubraną, aby się jak najlepiej wydała — Paulinie zaś spodobał się nieszpety buziak dziecka o oczach nieco dzikich, ale ciekawie i z życiem strzelających dokoła. Wzięła ją.

Łzy ukazały się w oczach matki. Nie mogąc się dość nadziękować dobrej pani za jej szlachetność, w dobranych zwrotach wpajała w małą na prędce poczucie obowiązku jak największej wdzięczności, szacunku i przywiązania do dobrodziejki. Niezmiernie rozczulona, polecając biedactwo łasce Pauliny, odeszła z obietnicą odwiedzenia dzieciny za miesiąc.

Nie pokazała się lat sześć.

Mała rozwijała się konsekwentnie pod okiem swej opiekunki, którą nazywała cicią.

Powierzchowne wrażenia wielkiego miasta, jego ruch, jego zbytek, różnorodność wieczornych przechadzek, wszystko to lgnęło do umysłu Salki o wzdętym brzuszku i niezgrabnych ruchach chłopskiego dziecka, nieznacznie przeobrażając ją w gibką i zgrabną Lusię. Wcześniej nauczyła się przepadać za ulicami przysłoniętymi nocą, za wesołymi napaściami mężczyzn, zaglądających w oczy zuchwale i zastępujących cici drogę, którzy potem pojawiali się w domu, skąd wysyłano ją do oddalonych sklepów po wędliny lub ciastka.

I zanim stała się zdolną osądzić źródła dochodów swej cici, już oswoiła się z niemi i polubiła je, bo zapewniały one stroje, przysmaki i wesołe towarzystwo. Równoległe z tem zaś kształciła w soficie tkwiącą w każdej kobiecie

umiejętność postępowania tak, aby być upragnioną.

Paulina знаła się na tej sztuce — poświęciła jej życie. To też Lusia, wiotka blondynka z niebieskimi oczyma, umiającami patrzeć głupiutko a widzieć sprytnie, stanowiła wyborną parę u boku tamtej, okazałej brunetki, spoglądającej roztropnie i śmiało. Kto na nie spojrział — jeśli nie zajęła go jedna, znaczyło to, że na pewno zadowolni go druga i na odwrót: dopełniały się — a przynajmniej młodsza obiecywała w niedalekiej przyszłości godnie dopełnić starszą.

Tymczasem, co parę tygodni, najczęściej w uroczyste święta, pisało się list do rodziców. Listy te, które dyktował zawsze ktoś z obecnych przyjaciół cioci, ponieważ Paulina sama niedość była mocną w stylu, obok prośb o odwiedzin, pełne były wygórowanej chwalebnej dla opiekunki i stanowiły rodzaj apoteozy, na którą złożyło się wiele piór, wyszafowując w nich zgodnie prawdziwe skarby humoru, chociaż Paulina baczyła pilnie, by się tam nie zakradło jakie głupstwo, mogące ją skompromitować.

Niekiedy przychodziła odpowiedź od starych. Nie brakło w niej nigdy pozdrowień i błogawieństw dla Pauliny — lecz co do odwiedzin, te stale okazywały się niemożliwymi. W domu bieda, roboty co niemiara, drogi kawał, przytem ojcu, jako woźnemu sądu, oddalać się z miejsca prawie nie sposób.

W takich okolicznościach zastał Lusię siedemnasty rok życia, z wychowawicy pasowaną już na towarzyszkę Pauliny, która młodej, wiernej towarzyszki potrzebowała coraz bardziej.

Pewnego przedpołudnia pod nieobecność obu kobiet, zjawiła się w kuchence, położonej na wstępie mieszkania, para starych w zakurzonej odzieży i z spotniałymi twarzami ludzi: woźnostwo, którzy przybywszy do miasta na odpust, przy okazji zazierają odwiedzić jedy-naczkę.

Przyjęła ich służąca oświadczeniem, iż żadnej z pań nie ma w domu.

Woźny, ogorzały drab, z gębą zapuszczoną kudłami, wygolonymi tylko na samym końcu brody, spojrzął na żonę, ona na niego. Żadnej z pań?., a Salka?

j* — Panna Lusie — poprawiła sługę. — Właśnie pani i panna Lusie wyszły razem na spacer.

Woźnostwo spojrzeli na siebie powtórnie, zdumieni. Panna Lusia?

Zainteresowany wielce woźny, począł sługę zwykłym trybem wypytywać: czy jej tu dobrze? jaka dla niej pani? pan czy młody, czy dobry?..

— Co za pan? — zapytała sługa.

— No wasz?

— Albo to my jednego pana mamy! — roześmiała się. — I młodych i starych, jakich kto chce!.. Ale dobrzy panowie, ani słowa, a najbardziej starzy...

Nie zrozumiał tego na razie woźny, ani jego żona, chociaż oboje pilnie słuchali, przypatrując się mówiącej z znacznym zajęciem. „Jako?” aż tylu panów?!” — pomyślał mąż i spytał:

— Cóż to za panowie?

— No... nie rozumiecie to?.. — z znaczącym uśmiechem szepnęła służąca — kawalerowie, co przychodzą z miasta względem zabawy...

Wlepił oczy w mówiącą i spytał:

— Do której przychodzą?

— Teraz, to już do obu.

; — Taaak?!.. — zawołał przeciągle, marszcząc się. — To twoja pani taka?!..

Po tych słowach dopiero służąca, zmiarkowawszy z ich tonu, że się wdała w niepotrzebne poufałości, zmierzyla go nagle i zapytała z góry:

lelA niby któż pan jesteś taki?

[— Kto ja taki? — nadziewając czapkę na głowę z energią, powtórzył. — Poczekaj, zobaczysz wnet ty i twoja pani, kto ja taki!.. Chodź stara!

I pociągnawszy żonę, wyszedł popędliwie.

I Ledwie znaleźli się za progiem, zatrzymał ją ręką i utkwivszy w jej twarzy osłupiałej swe pałające oczy, milcząc wskazał na opuszczone drzwi i głową potrząsł. Potem pogroził gniewnie laską i zwolna, niezgrabnie, nie będąc przyzwyczajonymi do schodów, zaczęli zstępować na dół.

Ta trudna przeprawa pochłonęła całą ich uwagę, tak że dopiero na ulicy woźny dał folę Jfeburzeniu, nie szczędząc najsurowszych a bardzo brzydtko brzmiących wyrazów dla haniebnego postępku Pauliny, za który groził straszną pomstą.

— Ja miałbym darować takie paskudztwo zrobione z dziewczyną?!.. Obo! ze mną sprawa.

Wyszukali podręczną kawiarenkę, która ohydnie drzwiami i potwornie nabazgranym szyldem najwierniej przypominała im podobne zakłady rodzinnego miasta. Tu zaczęli się rozgrzewać jedną kawą po drugiej, dolewając obficie rumu.

Tutaj też, bijąc się w piersi pięścią i w stół nią stukając, długim wywodem moralno obyczajowym umacniał się woźny, przy potakujących skinieniach żoninej głowy, w zamiarze srogiego odwetu za krzywdę, jakiej ofiarą padła Salka. On, sługa sądowy, zna się na takich sprawkach i wie, czym to pachnie.

Skoro silny i podniecający trunk buchnął obojgu do głowy, woźny znalazł się wnet w gotowości natychmiastowego poczynienia pierwszych kroków a żona potakiwała mu stale. Poszli do Pauliny.

Świeże powietrze ulic, potem spinanie się na schody, zamąciło im nieco w głowach i już ze zmniejszonym, ale jeszcze jakim takim animuszem wkroczyli oboje do kuchni. Rozgarniając na prawo i lewo duże jak wiechy wąsiska,

koloru piwa, i spadające z obu stron twarzy szmaty urzędowych bokobrodów, myślał: co będzie, to będzie, ale wyróżnę prawdę tak, że jej w pięty pójdzie.

:) Zaledwie jednak znaleźli się w kuchni, na widok dwu elegancko ubranych kobiet, z delikatnymi minami prawdziwych dam, energia w woźnym osłabła. Skoro się czegoś nie ma w zwyczaju, zdobyć się na to odrazu trudno. Woźny zaś w całym swym życiu bardzo niewiele rozmawiał z damami a szorstko to już do żadnej nie odezwał się nigdy. U siebie w sądzie miał do czynienia tylko z chłopstwem, ekono- mowe zaś, nawet przez pół nie tak wspaniałe, jak Paulina i Lusja, już go onieśmiały. >4 Więc zmięszał się i daremnie próbował naprzód wysunąć żonę, ponieważ ona tym samym manewrem chowała się za niego. Ze szczętem >feapomnieli języka w gębie.

Kiedy Paulina, z łaskawym i dobrotliwym uśmiechem odezwała się: r — A! twoi rodzice Lusiu!.. Nareszcie przypomnieli nas sobie państwo!.. w woźny doznał niespodzianie uczucia, podobnego do wyrzutów

sumienia i wstydu, jakby z powodu zamierzonej niesprawiedliwości.

Paulina tymczasem zaczęła mówić wiele przyjaznych rzeczy, zdając się bardzo ucieszoną ich przybyciem, witając i wypytując o zdrowie żonę, którą poznała natychmiast i znalazła doskonale zachowaną od lat tyłu. A wyrzutem, iż się do nich wybrali w odwiedzinę tak późno, nadawała ton tak ciepły i obowiązujący, że pod- ochoconą parę przepełniła wkrótce gwałtem narzucona przez to uprzejme przyjęcie unізoność i przychylność.

Kiedy otwierając drzwi przed gośćmi, zaprosiła ich dalej, onieśmieliło ich to do reszty. Woźnowa czekała, co mąż uczyni, on zaś, na widok wzorzystym dywanem zasłanej posadzki, po której kazano im stąpać, doznał takiego mniej więcej uczucia, jak gdyby mu w zabłoconych butach wypadło wieść na świeżym obrusem zasłany stół.

W pokoju, umeblowanym bajecznie, czekały talerze z jadłem i napitek.

Widok smacznych potraw rozbraja najtwardsze dusze, tak się też stało z woźnym i we wszystkim naśladowującą go żoną.

L Jedli, pili, oczy im błyszcząły, usta same eoraz częściej rozszerzały się do uśmiechu i wzbierała gwałtowna żądza całowania hojnych rąk gospodyni oraz ambicya okazania się go- dnymi tak wysokiego stopnia przychylności. \ Z nieskończoną wiarą i zaufaniem słuchali z po za swych pełnych talerzy i szklanek wszystkiego, co Paulina opowiadała o przywiązaniu Lusi do siebie, o tem, że nigdzieby jej nie było lepiej niż tu, że największą przykrością dla nich obu byłoby rozłączenie — i tym podobne rzeczy, których sens na pół nieprzytomnie, z trudem pochwyciwszy, woźny uroczyście pospieszył uspokoić tajemne obawy Pauliny.

— Brać ją?.. — mówił — a któżby też dziewczynie robił taką krzywdę!.. I gdzie brać? do domu? do nas?..

Wykrzywił się wzgardliwie. ■ —A cóż onaby robiła w tej dziurze!.. lv .Lusia, stojąc z daleka i z obawą przypatrując się tym biednym, zapracowanym ludziskom, którzy mieli być jej rodzicami, z obawą, aby nie zechcieli jej z sobą zabrać — odetchnęła radośnie po tych słowach. Lecz na znak jakiś Pauliny wyszła do kuchni.

Woźny, wzruszony do głębi, zdawał się walczyć z jakimiś, na usta cisnącymi mu się wyznaniem, z tą szczerością pijanego, w którego trunkiem napelniającym się wnętrzu zdaje się braknąć miejsca na skrytości i tajemnice — wreszcie zaczął poufnie, trzymając w ręce przygotowany do wychylenia kieliszek:

— Przyznam się pani, że w pierwszym momencie, jakem pomyślał, co się z dziewczyną dzieje, tom ją chciał odebrać. A jakże! nie zapieram się... Ale za serce — serce. Tak teraz, widzący, jaka się z niej zrobiła panna — a któżby jej też los chciał zawiązywać!., ona się Uwydać gotowa!... Ojoj! sam znałem takie. I jeszcze jedno: Kiedy ją matka odumierała, paniusiu kochana, i oddawała mnie i żonie Sal- cię w opiekę...

— Jakto?! więc to nie wasza córka?..

— Nie, paniusiu droga, Boże uchwaj! sierotka!.. — zostawiła jej wieprzka i krowę, a zakławszy nas na śmiertelnej pościeli, żebyśmy nie zapomnieli o sierocie, pada: „Weźcie ją, przytulcie, tyle jej, co mam, ostawiam, reszta w waszym sercu. Nim zeżre wieprzka, nim zeżre krowę, wyrośnie i odsłuży się wam...” Ale

— 80 —

krowy i wieprzka nie na długo dobrodziejko starczyło, takeśmy z żoną uradzili dać gdzie dziewczkę, do kogo porządnego, bo u nas nędza... Łaska pani, że nie zmarniało biedactwo — a dziś matka rodzona, żeby ją wstawszy z grobu na ten przykład uwidziała, miałaby tę pociechę, że dziecko na psy nie zeszło i człeka sumienie nie dręczy, moja pani, że... co co mam mówić... dziewuchę u siebie zabiedził i nieboszczce słowo złamał.

Tu zbliżył kieliszek do ust, zmęczonych tą przydługą opowieścią, i przymykając mgły pełne loczy, wypróżnił go jednym łykiem. Poczem, mlasnąwszy wargami, podniósł palec w górę, w ślad za nim brwi krzaczyste i zakończył z senną powagą pijanego:

— Bo najpierwsza rzecz ludzka, moja złota dobrodziejko, jest: sumienie!!..

W tej chwili weszła Lusja z jedwabną chustką w jednej ręce a okazała faję w drugiej i nie pojmując dawanych przez Paulinę znaków, zbliżyła się z temi przedmiotami do starych.

Było już za późno — więc Paulina z znacznie obniżoną uprzejmością, przymusiła się wyrzec:

Erotyki-

— 81 —

6

—To od Lusi.

Kwaśno obserwowala już teraz potężne wrażenie podarunków, rada pozbyć się gości jak najprędzej.

Wśród niezgrabnych ukłonów i podziękowań, bezbrzeżnie szczęśliwi, odeszli wreszcie woźno- stwo, zataczając się i potykając na każdym kroku. Spieszno im było, bo mieli daleką drogę do miasteczka.

Po ich wyjściu Paulina ze skrzywieniem zawołała na służącą:

—Fe! tu trzeba przewietrzyć zaraz... Józiu! pootwierajno prędko okna i sprzątnij, bo jeszcze kto przyjdzie i tak zastanie. — A ty — zwróciła się do Lusi — mogłaś mnie też była zrozumieć i nie wchodzić z temi rzeczami. Byłoby się dało chustkę służącej a fajkę stróżowi.

—Jakto? przecież to miało być dla...

—Ola twoich rodziców, a ci starzy nie są nimi. Wygadali się. Niepotrzebnie sobie narobiłam wydatków.

Woźnostwo tymczasem, znalazłszy się za miastem, na zupełnie wolnym powietrzu, wśród woni pól i ciepłego powiewu wiatru, uczuli potrzebę odpoczynku, zboczyli więc bardzo ciężącemi im nogami w dojrzałe zboża i tam się układli.

Nader przyjemnem było przebudzenie pod ciemnem już niebem, na które wstępował niewyraźny jeszcze, niby własne widmo, księżyc. Miłą niespodzianką wydał im się widok otrzymanych podarków, o których przez sen zapomnieli, oraz wspomnienie przedniej uczyty. Nie mogąc się odchwalić przebiegu wycieczki i przyjęcia, zbyli zaniedbanie, dla braku czasu, praktyk odpustowych uwagą, że się to naprawi kiedyindziej.

Jedna tylko rzecz wytrzeźwionego woźnego przygniotła troską. Zwierzył się żonie:

— Nie trzeba było mówić, że Salka nie nasza.

— Czemu?

i — A bo nam od tego czasu do niej nic.

— Prawda. Pocóżeś się wygadał?..

— A bo ci mnie tem jadłem i piciem tak za gębę chwyciła, żebym jej był duszę z pod serca wyszeptał, nie dopiero co!..

Umilkli na chwilę pod wyrazistszem jeszcze niż przedtem wspomnieniem poczęstunku, wy- wołanem jego słowy.

Nakoniec — dźwigając się ociężale z posłania kłosów — z westchnieniem wyrzekł woźny:

— Po pańsku tam sobie żyją, po pańsku... Co stara?.. Niema to jak dziewczusze!

Krzyk.

Nakoniec ustąpiła radczyni złączonym prośbom tych dwojga rwących się do szczęścia dzieciaków i męża. Zgodziła się na odjazd natychmiastowy młodej pary, uznając, że noc, spędzona w sąsiedztwie huczącego zabawą mieszkania, nie dałaby nowożeńcom tak potrzebnego odpoczynku przed udaniem się nazajutrz w podróż do rodziców pana młodego, której nie można było odkładać. Lepiej im będzie w wagonie.

Poczęli ją za to całować oboje jak szaleni, zięć wygniół radcy boki, córka wytarła wąsy ojcu swoim delikatnym buziakiem a podczas kiedy stary dziewczynie troskliwie dopinał paltocik, z rozdawanych na wszystkie strony przez młodego męża pożegnalnych uścisków i całusów najwięcej dostawało się młodej żonce, którą za

bierał z sobą. Nie pozwolili się oczywiście odprowadzać, odsyłając rodziców do gości, przed którymi odbyła się ta poślubna ucieczka w zupełnym sekrecie, skoro obiad weselny, wbrew planom i rachubom, przedłużył się aż do wieczora.

Wyprowadzono ich więc do przedpokoju tylko, gdzie nastąpiło krótkie pożegnanie z służbą, jeszcze jeden gorący uścisk z rodzicami, któremu przyświecała lampa z ręki radcy i łez pełne oczy obojga starych — i młoda parka frunęła na schody.

W pojeździe dwoje upojonych szaleńców pograżyło się teraz w potopie pieśzczoł tak wezbranym, jak fale potoku, co przedarł tamę z wiosną.

Należeli więc do siebie! na zawsze!..

Na myśl, że oddaną jest teraz zupełnie jego mocy, topniała w rozkosznym omdleniu — jego zaś pochłaniał bliski wybuch ognia namiętności, a zarazem łagodziła bezgraniczna czułość.

Otoczona jego ramieniem, upojona szczęściem, wśród turkotu pojazdu i blasku wpadającego co chwila to z prawej to z lewej strony światła latarni ulicznych, patrząc na wymijane szeregi domów, zdające się przesuwać przed nimi w pożegnalnej defiladzie, doznawała pełnego błogości uczucia, jakgdyby w tej brzęczącej skrzyni o małych spoconych szybkach uwolili z sobą i dla siebie całe szczęście całego miasta...

i Naraz, w rynku, ujrzawszy parę wysoko, jakby w powietrzu zawieszonych kwadratów pomarańczowego światła, przetarła dłonią w rękawiczkę obleczoną wilgotne okienko i odezwała się do męża:

i — Patrzno Stasiu, u Ludwików się jeszcze świeci. Te dwa okna na drugim piętrze... widzisz?..

lv :— Widzę. Więc to tu mieszkają?., f Dotykając ręką jego twarzy, wznowiła z tą .czułością, w którą kochankowie oblekają naj- blańsze prośby:

¹ — Gdybyśmy tak wstąpili do nich na dwa słowa? Dobrze?.. Moja najlepsza przyjaciółka... Nie była na ślubie, nie pożegnałyśmy się nawet. Jej by to sprawiło taką radość...

— Ale czy nie zapóźno Maniu na wizytę?.. >1' — Przecież to kuzynka! nie obrazi się!.. tPoświęćmy im parę minut, mój mężusiu!

Mężus przystał z uśmiechem, rozumiejąc i dzieląc tę pochopność nadmiernie szczęśliwych do chwalenia się przed całym światem swym szczęściem, rozsypywania uśmiechów, uścisków, pocałunków, których namiętnym pragnieniem dusza wzbiera...

Wysiedli przed domem Ludwików i ona pierwsza wpadła w bramę a potem na schody.

On, zetknąwszy się niespodzianie z przechodzącym znajomym, musiał zatrzymać się na chwilę dla wysłuchania życzeń, poczem podążył za nią i odszukał bez trudu drzwi z kartą Ludwików na drugim piętrze.

Były uchylone, wstąpił w nie.

Lecz w przedpokoju zaraz, jako zapowiedź czegoś niezwykłego, owiał go zapach karbolu i jakaś kobieta w białym fartuchu, z naczyniem, buchającym parą wody grzanej w rękach, wyprzedzając go, zagroziła mu w pierwszej chwili wstęp do mieszkania, w którym uderzył go osłupiały wyraz twarzy jego młodziutkiej żony, stojącej na środku pokoju przed matką pani Ludwikowej, strapioną bardzo.

Nim je zapytał, co to znaczy, nim się domyślił — wyleciał naraz z drugiego pokoju stłumiony zrazu rosnący jęk i rozdarł mu uszy przejmującym okrzykiem bólu kobiety.

^Równocześnie, jakby wypchnięty tym okrzykiem, ukazał się we drzwiach wystraszony mężczyzna, i nie zważając na przybyłych, gorączkowo przywołał staruszkę: i< >— Mamo! na miłość boską, prędko!,,

Powstał ruch, zamieszanie, zaczęto wchodzić i wychodzić z tego drugiego pokoju. Ukazał się lekarz, przepasany białym płótnem, sięgającym mu aż na piersi i wydawał szybkie rozpo- ; rządzenia, które w lot spełniano, stąpając cicho, z pośpiechem.

Gospodarz, nie przywitawszy wcale gości, otarł spocone czoło i zrobił ruch głową, podobny do otrząsania się z jakiegoś nieznośnego ł brzemienia, poczem na pół do siebie rozpaczliwie wyszeptał:

— O Boże! Boże!..

I wyszedł za innymi, zostawiając ich sa- [mych.

Tylko stamtąd, z po za tych drzwi w pół- przymkniętych, wśród błagalnych prośb i prze* ' kładań, łagodnie i troskliwie wypowiedzianych « kilku głosami, raz po raz zaczął teraz wylaty

wać w powietrze jak raca, przeraźliwy, dreszczem i litością przejmujący krzyk kobiety rodzącej, który niby zgrzyt fałszywy i ostry rozdzierał brutalnie błogą i słodką harmonię, jaka napelniała dusze dwojga nowożeńców.

Naraz mężczyzna, napotkawszy źrenice swej młodej żony, z wzruszeniem i lękiem utkwione w te drzwi tajemnicze, ochłonął w jednej chwili, i chwytając ją za rękę, uprowadził co prędzej z tego miejsca cierpień, w którym znaleźli się tak nie w porę.

Oszołomieni, zbiegli na dół, jakby uciekając, wsiedli spiesznie do doróżki i pojechali w milczeniu, wracając myślami do opuszczonego co tylko miejsca — a wspomnienie straszego krzyku męczonej przez naturę kobiety nie pozwalało im odzyskać dawnego nastroju.

Rozdrażniony, pełen niesmaku, wyrzucał sobie w duchu, że mógł zapomnieć o powodach, dla których kuzynka, młoda mężatka nie wzięła udziału w ich zaślubinach...

Wtem usłyszał ciche szlochanie.

Zdziwiony, objął żonę co prędzej i spytał z niepokojem:

— Maniul dziecko! czego ty płaczesz?.. li

r. — Ach Boże! — wyłkała z twarzą łzami zalaną — czyż mogę... nie płakać?... To takie smutne... biedna Zosia!.., nieszczęśliwi ludzie!..

' — Jakto? — szepnęła czule — nie rozumiem cię, aniołku... fi — Przecież to jasne — chociaż tak... okropne!..; Czyż nie słyszałeś?... Ależ ona... ona umrze!..

!• I zanosła się od płaczu, on zaś, rozśmiewszy się szczerze, przytulił ją do siebie jak dziecko i zaczął przekładać zwolna, łagodnie, pobłaźliwie :

K — Cóż znowu!.. Co ci się zdaje!.. Skąd nawet takie przypuszczenie!.., ft — Słyszałeś przecież!.. — odparła z łkaniem. — Takie męki!.. Czyż można wyjść z takich rzeczy!.. A jak oni wszyscy wyglądali... O Boże! ja... ja ci mówię... Ja mam niedobre przeczucia... Ona umrze!..

— Ale nie bądźno dzieckiem i nie przesadzaj... Po co by miała zaraz umierać!..

Więc masz jaką nadzieję? powiedz!.. >■ — Naturalnie, że mam... Nawet pewność.

Wszakże tyle kobiet przez to przechodzi, a mimo to żyją.

— Więc i inne... tak samo?..

Zawahał się z odpowiedzią. Brakło mu wyrazów, nie wiedział, jak jej objaśnić to, o czym widocznie żadnych, lub bardzo niedostateczne miała wiadomości, do czego zbliżyła się po raz pierwszy w życiu, co ją wstrząsnęło i zaniepokoiło do głębi.

— No tak... rozumie się — odrzekł wymijająco.

Ono zaś, wielce zajęta, gorączkowo pytała:

— Wszystkie?

— Mniej więcej — wymusił na sobie raz jeszcze, niekontent z podobnej rozmowy i aby pieszczotą ukoić jej obawy, całując jej wilgotne od łez policzki, wesoło dodał:

— Nie myślałem doprawdy, Maniuchna, że z ciebie taki dzieciak jeszcze. Powiadam ci: bądź zupełnie spokojną o Zosię, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Przybyli na dworzec.

Kupno biletów, staranie się o przedział, ruch podróźnych, służby i rozwożonych na wózkach bagaży, cały ten harmider pracy i pośpiechu,

— 92 —

poprzedzający wyruszenie pociągu, rozerwał ich, a ponieważ było już po drugim dzwonku, zajęli więc wskazany wagon i usiadłszy naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, zadowoleni, że się nareszcie znajdują u celu, patrzyli na peron.

Naraz zabrzmiały sygnały, wagon drgnął niby człowiek ukłuty szpilką, rozległ się stuk [uderzających o siebie buforów, syk pary w oddali i cała ta wielka platforma dworca, pełna ludzi, rzeczy i światła, poczęła się usuwać z przed ich oczu coraz szybciej nakształt olbrzymiej ruchomej sceny — poczem w jednej chwili okienka wagonu pociemniały, znalazłszy się wobec grubego mroku nocy, który zaczerniał niebo i ziemię.

t.: Coraz częstsze uderzenia kół o spojenia szyn, coraz głośniejszy szum i dudnienie rozpędzającego się pociągu — wreszcie cały ten łańcuch klatek, napęcznionych ludźmi, pomknął gołęmbim lotem w dal.

Znikło im już z oczu miasto z oznaczającymi je, coraz rzadszemi światełkami, nie było już nic widać zewnątrz okien.

Wtem dostrzegli oboje w szybach odbite Wnętrze przedziału, a w niem siedzących na

— 93 —

przeciw siebie: mężczyznę i kobietę, ją i jego, z drugiej strony coupi to samo.

Spojrzawszy na siebie, uśmiechnęli się i ucałowali, a tamte dwie pary uczyniły to także.

Wtedy Stanisław rzekł wesoło:

— Trzeba zasłonić okna, będziemy bardziej sami.

I oboje, on z pośpiechem z jednej strony, ona drząc po drugiej, skrzętnie poczęli zapuszczać firanki.

Już wszystko było gotowe, kiedy ich wstrząsnął trzask otwieranego zamku, poczem z podmuchem zimna ukazał się w drzwiach konduktor, aby poznać biletów.

Rumiany, tęgi, brodaty mężczyzna, w mundurze obwieszonym trąbkami i gwizdkami, ogarnawszy ich oczyma, już, kiedy w drzwiach miał zniknąć, rzekł z ukłonem:

— Dobranoc państwu. Staniemy na miejscu o piątej.

Po tem tak pożądanem zapewnieniu samotności na noc całą, młody mąż, zauważywszy, że kobietka zapłonęła się, nie dając jej ochłoniąć ze wzruszenia, przysiadł się do niej i łakomie poczęł obcałowywać każdy kawałeczek jej ciała, nie zasłonięty suknią, twarz, włosy, ręce, chętnie wracając po raz wtóry i trzeci na te same miejsca i szepcząc gorące wyznania miłości bez granic.

Wtem spostrzegł w wyrazie jej twarzy coś, co zdawało się ją niepokoić, mącić i odciągać jej myśli wbrew woli gdzieindziej, do czego innego... więc w połowie pieśczętów zapytał: ii — Co tobie maleńka?

Cała w łunie i z uśmiechem nieszczerym, który nie zdołał pokryć jej roztargnienia, szepnęła: > i — Nic... nic...

— Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć?

Milczała chwilę, nakoniec przytulając się do niego, nieśmiało, jak gdyby wypowiadała część tylko swych myśli, odważyła się wyznać:

¹ — Widzisz... boję się... tak się boję... o Zosię!...

— Co, jeszcze?L mówiłem ci przecież...

— No tak... ale przyznasz, że zdarzają się wypadki...

— Niezawodnie, że się zdarzają, ale czyż warto myśleć o nich. Na kolejach zdarzają się przecież także katastrofy; a jednak tysiące ludzi jeżdżą niemi i wychodzą cało. Zresztą...

Chciał jej powiedzieć coś jeszcze, coś takiego, co by ją uspokoiło do reszty, w zupełności rozwiało jej obawy w tym niemiłym przedmiocie, tak dla nich drażliwym w tej chwili. Gdy naraz dziwnym odruchem nerwów zaświdrował mu w uszach ów odgłos rozdzierający, bolesny, który był sprawcą wszystkiego i ujrzał się jakby przeniesionym do pełnego nieładu i trwogi mieszkania młodego małżeństwa, wśród tych nieprzytomnych ludzi, pod owe drzwi, po za którymi jęczała położnica... I doznał uczucia, jak gdyby komuś, zasiadającemu do smacznej uczt, stawiono naraz przed oczy szczegółowy obraz procesu trawienia. A pojawiający się, jak ją dopiero, jak jej wyobraźnię kobiecą, jej półdziecięcą nieświadomość zasępnąć i przerażać musi to wspomnienie szpitalne, uczuwszy, że ten natrętny intruz całą noc wkładać się będzie między nich i zatruwać im chwile tak urocze, zniecierpliwiony sarknął:

— 96 —

k — A! nie przebaczę sobie nigdy tej nie- wczesnej wizyty...

£ — To ja winnam — szepnęła kobietka po- fclh tulnie.

t — Nie, to ja winienem.

Erotyki.

— 97 —

7

^ {Mi/iti* fow^A

Pierwszy maja.

Ale dajżeż już raz pokój tym robotnikom, mój drogi. Słyniesz nie od dziś jako zapaleniec i nie potrzebujesz wyklądać mi swoich społecznych poglądów, bo je znam na wylot a zbijać ich nie myślę. Nie jestem zresztą ani po twojej stronie ani po tamtej i wszystko mi to jedno, kto jest z nimi a kto przeciw nim. Lubię obserwować fakta, lecz nie cierpię mieszać się do nich. To człowieka ogłupia, czyniąc go niewolnikiem stronnicych zaślepień. Skoro zaś i tak wszyscy skazani jesteśmy na to, aby całe iycie kroczyć po omacku, nie widzę, dlaczeybym miał koniecznie zarażać się cudzym zezem lub ślepotą, zamiast ulegać własnej.

Co się tyczy robotników... kiedy już o nich mowa, mam dla nich nawet pewną sympatyę, a to z powodu osobliwej w swym rodzaju, a na-
der dla mnie miłej przysługi, jaką mi bezwiednie oddali.

^ Było to w zeszłym roku, w wilię pierwszego maja, tego głośnego „pierwszego maja”, święta robotników — pamiętasz ? — który tyle tygodni naprzód na wszystkie tony zgrozy i postrachu otrębywano po dziennikach całej Europy, począwszy od jej stolic a skończywszy na najmniejszej mieścinie, w której znajdował się bodaj jeden prenumeratork jakiejś drukowanej baj- czarki. Oczekiwały też tego dnia salony, warsztaty i ulice, przestrzegał przed nim kościół, zastanawiały się nad nim władze, nie było damy ani przekupki, którejby on się nie obił o uszy.

W naszym niewielkiem miasteczku o dwudziestu tysiącach ludności są, jak wiesz, tylko dwie fabryki: jedna — pierników, druga — cy- koryi, obie obsługiwane przez jaką setkę naj-
wyżej robotników, poczciwych z kościami pier- nikaży i dobrych jak owieczki ugniataczy figowej kawy, którym ani przez myśl nie przyszłoby gorszyć się w swej dobrodusznosci lub zastanawiać nad prawem pochodzeniem brzuszaków ich pryncypałów i robić z tego kwestyę społeczną. Uważają oni bowiem dostatki za coś

wrodzonego, z czem przychodzi się na świat, jak skłonność do tycia lub łysienia.

Jest oprócz nich jeszcze trochę hałasującej po szynkach w dniu wypłat czeladzi rzemieślniczej, ale ci kłócą się z szynkarzami o ilość wypitych kieliszków, nie o niesprawiedliwy rozdział kapitałów. Na tem też koniec. Wszystkim tym ludziom ani się śniło o jakichkolwiek rozruchach — i niktby u nas nie pomyślał o zbliżającym się „pierwszym maja!” — gdyby go nam nadchodzące codzienną pocztą z stolic gazety nie przypominały.

Łącząc w gzygzak po ulicach ku wieczorowi w wilię fatalnego dnia, byłem właśnie na bocznej oliczce, w której wznosi się ładna kamieniczka Mimskich, młodziutkiego stadła, zaliczającego mnie do grona najbliższych znajomych. On jest młodym próżniakiem, który rozkochawszy w sobie posażnego podlotka, przeszedł w próżniactwie na etat — ona, ośmnastoletni dzieciak, naiwnie nadający sobie pozory kobiety, pełna czułości dla męża, nie dla tego, aby go tak czule kochała lub by zbytnia czułość leżała w jej naturę, ale po prostu, że koniec końców jest jego żoną i uważa się za obowiązaną do tego. Stąd poufalsi goście, jak ja, mieli, bywając u nich, stałe widowisko ich pieszczot, którymi popisywali się, aby' nie uchodzić za stadło oziębłe a pouczali zarazem, że Wilek jest pospolitym drągalem, Ola zaś istną przylepką. Pokażę ci kiedy jej fotografię — a przekonasz się, co to za i szczęśliwe połączenie pulchności z wdziękiem, jaki oryginalny okaz kobietki, przez którą przeziara chłopiec wesoły i swawolny, o małej, figlarnej, ciemnowłosej główce. F Wracam do rzeczy. Poszedłem ową uliczką ze zwyczaju zaglądania w okno pani Mimskiej, zasłaniając go jednak pretekstem, iż czynię to dzisiaj, aby sprawdzić, jak się zapowiada u nas jutrzejsze święto robotników — ponieważ ulica ta łączy obie fabryki Nic — cisza, spokój, pusto, stare jakieś psisko drzemie na środku drogi, Wzdychając przez sen bardzo sielankowo. I Wtem, kiedy znalazłem się vis-i-vis kamienicy Mimskich, z parterowego okna ich mieszkania dolatuje mnie dźwięk stukania w szybę. Zwracam głowę, składam ukłon pukającej i na jej widok powtarzam sobie po raz setny w duchu, że ten pustak w spódniczce, nad którym, jak fatalność, zawisła tradycja, przekazana przez

matkę, obok swego dozgonnego mazgają prę- I dziej czy później złoży niewątpliwe swej pustoty i dowody; że temu, kto się ci o tego przyczyni, fl trafi się, co się nazywa, doskonała gratka i że I nakoniec powinna ona zostać przynajmniej mię- 1 dzy znajomymi.

Przyzywany żywo gośćmi młodej kobiety, I podszedłem do okna, powtarzając ukłon i usły- szalem:

—Niebo mi pana zsyła!... Chodźże pan do I środka...

Kiedy niezwłocznie wstąpiłem na stopnie I domu i minąłem drugą, oszkloną bramę sieni, niezmiernie uradowana, sama mi drzwi otwarła I i wyciągnęła ku mnie rękę z szczególną serdecznością.

—Co to za szczęście, że pana zobaczyłam. Ma pan czas? — wyrzekła i jakby w obawie zaprzeczenia z mej strony dodała spieszenie:

—Zresztą wszystko mi jedno, czy pan ma, czy nie ma, zatrzymuję pana u siebie.

Wprowadziła mnie do saloniku, prawie używając gwałtu, który jako żywo nie był potrzebny. Tu przymusiła mnie zaraz, bym usiadł i nie

Wychodząc z jakiegoś dziwnego, gorączkowego nastroju, poczęła rozmowę od kwestyi: ljb

— Jakże tam w mieście? p/i— O co pani pyta?

pi iii Spokojnie?... — objaśniła, wpatrując się we mnie z przenikliwością. I" — Jak zwykle — obojętnie odparłem.

Usiadła na brzegu krzesła, poprawiła na piersiach chusteczkę z pasowej sznelki i szepnęła z drzeniem, jakby do siebie: »ł> — Co to będzie!...

' Otwarłem szerzej oczy, trochę zdziwiony" ^ ale ona już mówiła dalej, z minką żałości nie- szczęśliwą, gorączkowo, spieszenie: i' — Męża niema — wie pan?... wyjechał do znajomych,

służąca także gdzieś wyszła i nie wraca, wróci kto wie kiedy... może nad ranem (ona zawsze tak robi, kiedy męża nie ma) i ja siedzę sama 1 sama jedna w całym domu... w taki dzień!!...

Od godziny jestem jak w febrze!... Wyglądam zrozpaczona przez okno, czy nie zobaczę kogo znajomego, aby go zaprosić do siebie, bo chronić się do znajomych, dom zostawiając na łaskę losu, w takiej chwili, niepodobna!... Poszłabym do którego z lokato

rów, żeby był kto porządny... Ale mieszkają sami żydzi — pan wie: kupiliśmy realność w ciągu roku i umowy były pozawierane. Zresztą do żydów pójść to jeszcze niebezpieczniej, z nimi będzie najgorzej... Niechże pan teraz jednak pojmie moją mękę: sama, samiuteńka I... kiedy się zanosi na takie rzeczy I...

— Jakie rzeczy? — przerwałem.

— No to, co ci mają robić, ci, robotnicy... Czyż pan nie wie? — ^przerwała mi trochę niecierpliwie, wskazując śliczną różową piąstką stosy różnych gazet, zalegających stół, kanapę i niektóre foteliki.

Udałem, że mam niedokładne wiadomości.

— Ach! panie! — unosząc się i dłoń przykładając do policzka, aby swe słowa tem donioślejszymi uczynić — wyrzekła: — Będą się dziać niesłychane rzeczy!

— Tu? u nas?...

— Wszędzie! Czytałam. To się już zresztą zaczęło: rabunki, podpalenia, napady, zabójstwa... W Londynie strajkują, w Wiedniu wzmocniono załogę, wojsko stoi pod bronią...

— No w Wiedniu, tak... ale nie sądzę, żeby u nas...

— A dlaczegoż u nas miałyby być inaczej?.. El** - U nas ludzie spokojni.

Uśmiechnąwszy się pobłażliwie, przybrała minę doświadczonej osoby i rzekła z siłą: , — To ich pan nie zna! , Pozwoliłem jej mówić, zawsze bowiem powabna, stawała się wyborną w tym dziwnym i nastroju. Ona zaś poczęła uzasadniać swe obawy.

Robotnicy z obu fabryk od tygodnia gro- . madzą się w pewnym szynku (nawiasem: chodzą tam jak rok długi) — jeden z piernikarzy, wyrzucony z powodu niewypłacalności z mieszkania na Zielonem, wygrażał zeszłego piątku pięścią właścicielowi, mówiąc (są świadkowie): „Poczekajcie tylko na 1 -go maja!...” a wreszcie, ile razy idą do fabryk lub wracają, zawsze po kilku i zawsze rozmawiają z sobą bardzo wiele, bardzo gorąco i bardzo cicho. Oczywiście gotują się tutaj okropieństwa, podobne do tych w Wiedniu i Londynie — zbliżają się czasy, w których lepiej będzie mieć śmiertelną chorobę, niżeli kapitał lub realność — tak przynajmniej sądziła pani Ola.

Widziałem z doboru frazesów, z przytacza- ► nych argumentów, z bielejących mi przed oczy

ma pism, co jej dało tak wyczerpującą znajomość sytuacji i nie siłę się na perswazyę.

Znałem dobrze tę młodą mężateczkę i ner- wowe paroksyzmy jej zmiennego humoru, który raz robił z niej rozkosznego łobuza, kiedy indziej pogrążał ją w melancholijnej zadumie, albo przeobrażał w rozgoryczoną grymaśnicę, pozwalając każdej chwili spodziewać się po niej rzeczy niespodzianych.

Teraz przyszła kolej na strach, wielki, od stóp do głowy ogarniający strach, którym nasiąknęła w samotności, oddawszy swą wyobraźnię na pastwę banialukom dziennikarskim, źle zrozumianym w dodatku.

— Więc pani naprawdę tak się obawia? % spytałem wreszcie.

— Cóż pan myśli! Sama jedna, kobieta, na co ja jestem narażoną, gdyby tak tutaj wpadli... A na nieszczęście męża nie ma, nie wrócił dotąd, mimo zapowiedzi, sama się obawiam, dlaczego... Może go po drodze zatrzymali przemocą?!... Bo przecież pisał do mnie przedwczoraj — gdzie ja tu mam ten list... Aha, jest... O: „będę się starał koniecznie wrócić pojutrze, ze względu na pierwszego maja” — to ostatnie podkreślone, więc on sam także coś przeczuwa i tembardziej mnie to dziwi, że nie przyjechał... Wie przecież, że jestem samą... Niepocziwiec. Ach! Boże!...

• I potrzęsawszy rozpaczliwie główką, wzniosła oczy ku niebu.

Nie odrywałem od niej wzroku, tak była ładną i z mimowolnym uśmiechem słuchałem tych utyskiwań.

Cała swą troską zajęta, pomyliła się co do znaczenia tego uśmiechu, bo rzekła:

— Niech się pan nie śmieje, nie... Zobacz pan, że to się na niczem nie skończy!...

Aby ją dłużej widzieć tak uroczym strapioną, pospieszyłem z zapewnieniem, że nie lekceważę bynajmniej jej obaw, uchwaj Boże! Przeciwnie... wszystko na tym świecie jest możliwe... Robotnicy któżby śmiał przeczyć?! — „jestto potęga nielada, do której kiedyś świat będzie należał” (nawiasowo: ani mi w głowie przepowiadać to lub temu przeczyć). A nawet już dzisiaj „trzeba się bardzo z nimi liczyć”, bo też „mają oni w istocie niektóre słuszne powody do niezadowolienia”.

Łakomie zasłuchana w me słowa, przerwała, składając obie dłonie na piersiach:

■TT| Ale cóż my im jesteśmy winni, drogi panie?! — tak że po raz drugi musiałem się uśmiechnąć.

— No, państwo w samej rzeczy nic... Ale trudno, w walce klas muszą padać ofiarą naj-niewinniejsze często jednostki...

Przełęczona powstała, szepcząc:

— Usuńmy się w głąb pokoju, niebezpiecznie jest siedzieć przy oknie... Jeszcze kamieniem kto rzuci...

Zastosowałem się do jej życzenia niezwłocznie i zamiast na dwóch fotelikach, co bardzo rozdziela, zamiast wobec tuzina okien, patrzących na nas z przeciwnej strony ulicy — znaleźliśmy się bardziej zbliżeni i swobodniejsi na szezlongu, w zalegającym głąb pokoju półcieniu. Zamierzając ją uspokoić, by się mną więcej zajęła, spytałem:

— Czyż pani naprawdę lęka się aż czegoś podobnego?

— Ach nie uwierzy pani nie uwierzy pan, do jakiego stopnia!..

— Niech pani lepiej nie myśli o tych rzeczach. To panią najniepotrzebniej denerwuje.

Wziąłem ją za rękę. mej— O! drży pani cała... Nie, nie dam pani zajmować się tem, dręczyć się w ten sposób..

— Sama obecność pańska uspakaja mnie znacznie... Ale pan mi nie ucieknie?

— O nie! i z daleko liczniejszych powodów, niż pani myśli, choć dla nich właściwie powi- nienbym od pani uciekać zawsze...

— A to czemu?

— Bo panią uwielbiam...

Dała mi klapsa i uśmiechnąwszy się, z dąsem:

— Nie mówi się takich rzeczy — rzekła — kiedy męża nie ma w domu.

— Kiedyż więc je mówić?

— Nigdy.

— Na to musiałbym stracić mowę i wrodzoną mi szczerłość.

—'Żeby tak pana Wilek słyszał!...

— Dlaczegoż go tu nie ma? chociaż być powinien... Ja nie ręczę, czy on tam nie został ze strachu przed robotnikami!...

— Ach! ci robotnicy!...

Nie! nie należy jej uspokajać —■ zadecydowałem.

—Których się pani tak obawia — a przed którymi nie mąż (och! czyliż wart nim być!...), lecz kto inny panią ochrania, ochroni! — proszę się tylko starać, aby tu został jak najdłużej...

Zmrok zaczął padać, przynosząc tę szarą, tajemniczą, pozorną śmierć przedmiotów, odbierając im złudnie połowę ich istnienia, odmieniającą postać rzeczy i zdającą się odmieniać czyny. Skradała się owa godzina, w której postępek nawet rażący i trudny na jawie, staje się dyskretnym i łatwym, w której tak pełnym bywa pokus sam na sam, bo przestając niejako być świadkami własnych i cudzych czynów, słabiej oceniamy ich brzydotę lub zuchwalstwo, a nawet nie widzimy ich wcale oczyma, przy- słoniętymi zdradzieckim skrzydłem nocy kusi- cielki.

Przed tą, już rozpoczętą, godziną niebezpieczeństwa i przed splątaniem figła Wilkowi, o czym napomykałem tak lekko i wesoło, aby jej samej nie przyszło na myśl brać tę rzecz tragicznie, otrząsnęła się naraz Ola i odbierając mi rękę, zawołała:

— Pora zapalić lampę.

I chciała powstać. Ale ją zatrzymałem z pośpiechem.

te, — Niechże pani tego nie robi, na miłość boską!... Oświetlać okna? w taki wieczór? żeby myśleli, że się tu ucztuje, zabawia wesoło, gdy oni przymierają ze zgryzot i głodu?!... żeby pokazać im przy świetle obrazy w złoconych ramach i portyery u drzwi, które im przypomną ich własne, odrapane i brudne ściany?!

Przestałem na chwilę, dla pokonania szalonej chętki śmiechu, budzącej się we mnie zawsze, ilekroć przyjdzie mi udawać lub kłamać coś, w co sam nie wierzę, tak śmieszną mi się wydaje rola wywodzonych w pole. Nic nie odrzekła, słyszałem tylko jej oddech przyspieszony. Łjr, — Zresztą — prowadziłem dalej zmienionym tonem — czyż nam tak źle w tej ciemności? przecież mnie się pani obawiać nie potrzebuje... ' — Właśnie, że zaczynam wątpić... — odparła. Próbowwała przytem ręce swe wysunąć z moich, ale tak lekko, że dla mnie stało się to tylko pretekstem do tem silniejszego ich uści- śnięcia oraz do odpowiedzi. |
_ A wie pani, że wyznanie obawy czyni przeciwnika zuchwalszym?

— Nie wiem, czy już zuchwalszym od pana być można!

— Można być zuchwalszym, lecz nigdy bardziej kochającym.

To rzekłszy, wpadłem w ów szept gorączkowy i urywany, naprzemian błagalną i rozkazującą, pieszczotliwą i brutalną mieszaninę wyrazów, bez wielkiego sensu lecz z ogniem ze zdyszanej piersi i oszołomionej głowy wylatujących dla oszołomienia drugiej!

Zamiast się oburzyć:

— Panie!... — wyszeptała prosząco — niech pan tak do mnie nie mówi... Przecież to nie wypada... To byłoby szkaradnie...

— A jeśli ja panią uwielbiam, co tyle razy starałem się pani okazać... Czyliż mnie pani nienawidzi ?

— No nie... ale ja pana proszę... mów pan o czym innym...

— A jeżeli to jest nad moje siły?

— Staraj się pan !

— Dopóki obok pani jestem, nie mogę! nie potrafię!... czuję to nie po raz pierwszy... więc chyba... Ale tak! ma pani słuszość... to jedyny sposób... odejdę.

Nie dała mi nawet powstać z szezlongu, przerażona.

' — Co? pan chcesz iść?...

li — Muszę! — inaczej... widziałaś pani przed chwilą. Nie ma tu przecież wyboru.

— Czyż nie potrafisz pan zapanować nad sobą ?...

p _ To przechodzi moje siły.

— Ależ ja sama nie zostanę.

^{l,l} — Jeżeli mnie pani zatrzyma, popełnię szaleństwo I...

ˆ — Jeżeli pan pójdziesz, umrę ze strachu.

— Ależ ja panią kocham!...

| — Ależ oni mnie gotowi napaść!... zabić!...

Wyrywałem się — ona mnie zatrzymywała, zatrzymywała nie tylko słowa, ale i parą rączek, pulchnych, drżących, ciepłych, których odpychaniem musiałem sobie zadawać gwałt straszliwy...

Naraz — huk! I... huk ogłuszający, jakby o dwa kroki runęło sklepienie gotyckiej katedry, wstrząsnął powietrzem i naszemi nerwami. O!a krzyknęła: „ach!" — rzuciła się do mej piersi i w moich objęciach, cichutko, żałośnie, z płaczem szepnęła przerażona:

■ratrkl.

— 113 —

—Widzisz pan }...

A ja, całując ją na początek tak nieznacznie, że raczej wiedziałem, niż czułem, co robię, odrzekłem:

—Widzi pani!... — i ani mi w głowie było puszczać z rąk tej ciepłutkiej, pachnącej, strwożonej zdobyczy. Oczekując spokojnie nowego huku wysadzanych w powietrze przez rozwścieczony tłum roboczy domów, myślałem:

Wy róbcie swoje — a ja swoje. Co mnie do waszego pierwszego maja!...

Wyznać jednak muszę, że nigdy rozruchy robocze nie budziły we mnie większej sympatii, niż owej chwili.

Tymczasem huk się nie powtarzał. Więc po dziesiątym czy jedenastym pocałunku moim, szepnęła drżącym, suchym głosem, ale już ochłonawszy nieco:

—Co to było?

—Zobaczę.

Wyjrzałem oknem na ulicę — ale nie zobaczyłem nic, nawet ulicy, której organa miejskie u nas skąpią światła, zapewne, aby nie gwałcić praw natury, zsyłającej na świat ciemność w porze nocnej.

— IM —

Wyszedłem tedy do przedpokoju i otwarłem drzwi do sieni, gdzie ujrzałem wprost progu barczystego, zasmolonego mężczyznę, na widok którego Ola, nie odstępująca mnie ani na chwilę, ścisnęła spazmatycznie moją rękę, podzwaniając ząbkami.

i — Co to był za łomot? — spytałem złowrogą postać.

Pocziwiec oświetlił czarną twarz dwoma szeregami białych zębów i skrobiąc się w głowę, przyjaźnie odparł:

, — E, nic, proszę łaski pana, tyłkom tu węgle do paczki zrucił.

Był to węglarz i właściwy węglarzom a tak miły sposób opróżniania koszów z ładunku.

Wróciliśmy z wystraszoną jeszcze Olą do pokoju. Śmiać mi się chciało co się zowie, bałem się jednak popsuć sobie sprawę. Tymczasem czując, że ręce jej drżą jak w febrze, ucałowałem je, z jej zgodą.

si, — Niechże się pani nie lęka . szepnąłem tonem wielkiej serdecznej prośby, który rozszerzał i pogłębiał znaczenie wyrazów. Intonacja bowiem czasem staje się sama przez się tak

— lis —

8*

wymowną, że wystarczy dobrać do niej pierwsze lepsze słowa.

— To mi dokuczają... — dodałem czule.

— Ale nie odejdiesz pan?

— Och; nieL.

I nie przestawałem, pod pozorem dodawania jej odwagi i spokoju, brać ją w posiadanie, mimo miękkiego, uroczego oporu z jej strony.

Wtem: „brzdęki...” — i przeraźliwy dźwięk rozpryskującego się na atomy, pod ciosem, szkła, którego ostre kawałeczki razem z tym brzękiem zdawały się w ucho wpijać, wstrząsnął ją całą dreszczem i po raz drugi, z nowym okrzykiem przestachu rzucił ją w moje ramiona, tym razem nie bez następstw.

A ciągle drżała, jednak teraz z innego już powodu.

Pierwsze jej słowa, zmienionym głosem wyszeptane, były:

— Co to było? zobacz pan, proszę...

Co to było — było to szyba, rozbita w sieni przez węglarza jego ogromnym koszem.

Kłócili się właśnie ze stróżem o zrządzoną szkodę.

Posłyszawszy z saloniku odgłosy ich kłótni,

E zapytała mnie zdławionym ze strachu głosem, gdy wróciłem: — To oni?! I> — Co za „oni”?

i/, — Robotnicy! — dodała głucho. I Rozśmiałem się na całe gardło i nie chcąc się dzielić nią dłużej z jej strachem dziecięcym, ■ uspokoilem teraz co rychlej.

Natomiast jednak obudziły się w niej gorzkie wyrzuty sumienia z powodu popełnionego grzechu, więc osobno wykladać musiałem, iż całą RL winę biorę na siebie, że i tak zanadto ją ko- [cham, aby prędzej czy później, przez samą do- broć serca, nie była zmuszoną do współczucia i tak dalej.

Zresztą, siła to, przed którą drży świat cały [— mówiłem patetycznie fe- rzuciła ją w moje [objęcia. Niewiele zaiste kobiet znalazłoby coś i podobnego na usprawiedliwienie swej słabości.

Odważyła się w końcu wraz ze mną wyśmiewać pierwszego maja, zastrzegając się swoją drogą:

— Ale pan nie odchodź.

— Odzież znowu! nie byłbym tego zrobił i i przedtem — cóż dopiero teraz!...

— Och! jaki szkaradny obłudnik z pana!

Po jakichś dwóch godzinach tego tak rozkosznego pierwszego sam na sam, na których wspomnienie po latach jeszcze człowiek się uśmiecha i zamyśla, turkot rozległ się przed domem, poczem zastukano do drzwi w przedpokoju.

Zrobiłem wtedy niesłychanie przerażoną minę i kuląc się, z wytrzeszczonemi oczyma, szepnąłem dygocącym głosem: ' — Teraz to już napewne oni! Zginęliśmy!...

— To Wilek!... — odparła ze śmiechem, ale nieco zmięszana i poskoczyła do lustra.

— Ślicznie! — wsiadłem na męża, skoro tylko próg przestąpił — pan mąż w najlepsze bankietuje u przyjaciół, kiedy żona w niebezpieczeństwie uciekać się musi pod opiekę znajomych.

— Co się tutaj stało?! — zawołał wystraszony. — Widziałem wybitą szybę w sieni

Rozśmialiśmy się hałaśliwie, zamieniając spojrzenia — ja zaś pospieszyłem Wilka objaśnić co do szyby, aby Olę wybawić z kłopotu.

— A rozruchy?^ — pytał gorączkowo.

— Nie ma żadnych rozruchów.

f — Więc nic się nie stało? I? — Cóż się miało stać?... co zresztą mogło się stać, kiedy ja byłem przy pani. P — Ale jak ja się bałam!...

Pochwycił mnie i żonę za ręce i przenosząc ;Z jednego z nas na drugie spojrzenie człowieka Wzruszonego, który chce przeproszać i dziękować, potrząsał naszymi dłońmi czas jakiś, a potem żonę i mnie serdecznie wycalował, kazał nam usiąść i opowiedzieć sobie wszystko, i Wziąłem to na siebie i roztoczyłem niebawem przed jego oczyma przebieg wieczoru w obrazach pełnych takiej grozy, że nadziękować mi się nie mógł za opiekę, jaką dałem jego żonie. Była to formalna owacya!

NoWa era.

Gdy w Kącie, tej małej, w tak dziwnym odosobnieniu położonej, okolonej milowem pasem pustkowi, mieścinie, odkryto naftę — ruch się tu zaczął niebywały.

Zrazu nie domyślano się w miasteczku, na co się zanosi. Widziano tylko garść obcych ludzi, zajętych po ugorach niezrozumiałymi robotami, a mróz i śniegi zimy na kilka miesięcy przysypały tajemnicę.

Lecz skoro z wiosną ziemia rozmiękła, zjawiała się naraz tutaj, w tem zapadłem i cichem ustroniu, niby najazd, cała horda robotników z inżynierami i ich pomocnikami na czele, z długim korowodem wozów, wiozących części składowe jakichś dziwnych maszyn. Powznoszono w okolicy wysokie wieże, rozległ się świst motorów, zaczęto wiercić tę tak dotąd skąpą dla swych mieszkańców ziemię kątecką i oto ta ziemia-macocha okazała się naraz najhojniejszą z matek, z własnych ran, sobie zadanych, wylewając potop złotodajnego płynu, a koło tych smrodliwą ale cenną ropą cieką- cych czeluści, zaroilo się ludźmi, jakby łakomem pokarmu robactwem.

Dwa zaś były szczególnie obfite źródła oleju skalnego. Jedno na gruntach od miasta drogo nabytych przez przedsiębiorcę, drugie, eksploatowane do spółki z właścicielem tegoż, szewcem Migdałem, burmistrzem miejscowym.

W ten sposób Kąt stał się naraz miastem żywym, otwały mu się widoki zdobycia wielkiej zamożności i wzrostu, przebąkiwano nawet coś o budowie odnogi kolei żelaznej. Zaczęła się dlań nowa era, której przedsmak dawał przybytek kilkuset dobrze, za gotówkę żyjących mieszkańców w personalu górniczym, rozgoszonych, dla braku mieszkań w mieście, w umyślnie na ten cel wzniesionych barakach tuż pod miasteczkiem.

W Kącie, którego ludność zbudziła się z długiego uśpienia w tym zameście a psy na

uczyły się szczebrać, ujrawszy obce twarze, ukazały się także inne nowe, nieznane dotąd rzeczy — między temi parę przybytków, tak potrzebnych po trudzie całodziennej pracy dla robotników. Jednym była jadłodajnia w barakach — drugim lokal Fajwlowej, żydówki, mającej dotąd źle rentujący się kramik z drobiazgami w pobliżu kościoła, a zamieniony teraz na kawiarnię z żeńską obsługą.

Nie odrazu spostrzeżono się w miasteczku co do znaczenia tej nowej instytucji wobec mnóstwa innych nowości, zaprzatających umysły. Poznała się jednak na tem pewnej niedzieli burmistrzowa Kąta, osoba już z tytułu godności swego męża najpierwsza w mieście, cóż dopiero obecnie, odkąd Migdałowi ropa, tryskająca na dziesięć metrów w górę, każdego dnia, bez żadnej a żadnej pracy, napelniała beczki setkami guldenów.

Idąc w należytej napuszystości z dwiema córkami, dorosłemi brunetkami małomiasteczkowego typu, na sumę, dama ta spostrzegła ze zgrozą prawem okiem w otwartem oknie żydówki kilka młodych, niedostatecznie odzianych dziewczek, które bardzo wesoło zdawały się bawić kosztem spieszących na modły wiernych.

I Ludzie na prowincyi, nie wiele mając sposobności do wywierania efektu, łatwo wszystko biorą do siebie, to też pani Migdałowa oblała się pąsem, pewna, że gromadka śmiejących się Ibezwstydnic ją i jej córki wyśmiewa, jął bur- mistrzowę Kąta!..

- Pani Migdałowa przechodziła w tych czasach proces rozwijającej się manii wielkości. ; Odkąd bowiem w pierwszym pokoju ich mieszkania chłopcy przestali wyklepywać młotkami na podszwach i obcasach z całego miasta zno- i szonych butów rzemiosło jej męża, odkąd Migdał, przestawszy obuwać swych współobywateli, nie potrzebował schylać się do ich stóp dla wzięcia im „miary” i czyhać na każdy nadarżający się „przyszczypek” lub „kapkę” — ona coraz bardziej sądziła się nietykalną i ponad powszechność wyniesioną osobistością.

Po sumie tej tedy, odsiedzianej w kościele bez nabożnego skupienia, objad świąteczny w domu Migdałostwa burzliwy miał przebieg, gospodyni ciskała łyżkami, a znalazłszy się z mężem na osobności, zmyła mu głowę, która

uchodziła niby to za głowę miasta, a dopuszczała, aby się w mieście działy podobne okropieństwa.

— Co takiego? o co ci idzie kobieto? — zapytał otyłej małżonki chudy mąż, które to przeciwieństwo tuszy w tem stadle było ra- żącym.

O co jej idzie!.. O to, że ona, której nikt nigdy ubliżyć się nie ważył, stała się naraz, w dzień boski, pośmiewiskiem tych... tych... najostatniejszych od Fajwlowej.

— Odzie? jak? co ci się zdaje?

Nie zdawało jej się wcale. W żywe oczy wyśmiewały ją, może nawet wytykały palcami, w chwili, kiedy szła w towarzystwie córek. Były zaś na domiar tak mało ubrane, że tego w Kącie jeszcze nie było jak Kąt Kątem, aby się jakakolwiek kobieta pokazywała w ten sposób w oknie.

Z uszyna, pełnemi jej utyskiwań, uczuwszy się osobiście dotkniętym, porwał Migdał za kapelusze i pobiegł do żydówki.

Przyjęła go unizoną miną i słodkim uśmiechem. Tymczasem dziewczki jej, niepokojąc swą nagością rzadko dziś takie rzeczy widującego

Migdała, ciekawie zerkały z drugiej izby przez drzwi niedomknięte.

— Fajwlowa! Niech się Fajwlowa pilnuje, bo ja tu z wami zrobię prędki porządek! —

fuknął zirytowany burmistrz, giestykując palcem groźnie.

F Przybrała minę niezmiernie zdziwioną, bo nie wiedziała o co chodzi, r — Długo gadać nie będę. Fajwlowa mi swoich dziewczek dobrze pilnuj, uczciwym ludziom tego paskudztwa nie pokazuj, dnia boskiego mi niech nie obrażają, bo jak Pana Boga kocham—jeszcze mnie Fajwlowa nie zna! ale będzie źle!!..

Trzasnąwszy drzwiami wyszedł, a stara, 'Skrobiąc się w wygoloną głowę pod peruką z nici, pobiegła do swego personalu zrobić śledztwo i skarcić winne.

Było wiele szwargotu, żydówka się zapłuła a Żydóweczki naśmiały do kolek z afery, nie wiele je obchodzącej.

Lecz w małym mieście wrażenie nie przemija tak prędko. Najdrobniejsze wypadki trwają w pamięci i urastają nieraz do niebywałych rozmiarów, jak pleśń w nieprzewietrzanym kącie.

Nad zakładem Fajwlowej zawisła burza gniewu burmistrzynie.

Pierwsza ta dama w mieście wespół z innymi zaczęła śledzić tok wypadków w szkaradnej instytucji, a zjednoczona ich obserwacja dała na wstępie zaraz wstręt i oburzenie wywołujące wyniki.

Pewnego razu, jak się teraz częściej trafiało, wracającego do domu Migdała przyjęła żona burzą.

— Proszę cię — mówiła po piorunującym wstępie — powiedz ty temu werkfirerowi od maszyn, co tu do nas czasem zachodzi, żeby się więcej nie pokazywał.

— Jako? dlaczego?

— Bo ja nie potrzebuję, żeby mi jakiś tam urwis dziewczęta psuł. Zamknęłam mu dziś drzwi przed nosem.

— Ale dla Boga! kobieto! on mi potrzebny w interesie! nie obrażaj mi ludzi!.. Czyś zważywała? czy co?.. Co ci werkfirer winien?!...

Co winieni.. Należy do stałych gości żydówki, jednego dnia jest tam, drugiego u burmistrzostwa, jedną godzinę baraszkuje z dziewczkami Fajwlowej, na drugą przychodzi zalecać się burmistrzankom — i on, ich ojciec, pyta się, co werkfirer winien II...

Kobieta oczywiście przesadzała i zarzut, uczyniony młodemu werkfirerowi, wydał się zbyt surowym Migdałowi, który oczyma dojrzałego mężczyzny patrzył na nieuchronne wybryki młodzieży.

v. Lecz jak to wytłómaczyć żonie, kiedy baba na tę Fajwlową rozchorowała się poprostu. Sądził, że to może zwolna przeminie.

Tymczasem to się wzmagało.

Pewnego wieczora nowe zajście poruszyło rozindyczoną kobietę do ostatecznych granic.

Wracała z obiema córkami z zwykłej wieczornej przechadzki w stronę wierceń, przedsiębranej w celu zakosztowania pewnej niewinnej przyjemności. Było nią żniwo ukłonów, składanych na prawo i lewo przez Kącian i przez nafcjarzy, z których najgrubsze ryby żyły z Migdałem za pan brat. W takich razach odprowadzał nieraz do domu trzy kobiety jakiś nudzący się na prowincyi technik, zdumiewając je swoim uczonym dowcipem i pobudzając nawzajem do nadludzkich wysiłków w przybieraniu pańskości i dobrych manier.

Otóż dzisiaj, w tej właśnie chwili, kiedy pełna godności czwórka miała wyminąć wyklete okno Fajwlowej, z powodu upałów rozwarte — naraz wyskakuje przez nie na ulicę, śmiejąc się, jakiś, w niedopiętym surducie i kamizelce, czerwony junak, za nim zaś wychyla się górna połową ciała roznegliżowana, z rozpuszczonymi włosami dziewczyna, przytrzymując go wyciągniętymi rękoma za poły i przywołując piskliwym krzykiem pomocy koleżanek. Junak uciekł, Żydóweczka opatrzyła go na drogę wielu klątwami za swą krzywdę, które na szczęście nie były zrozumiałe — lecz rodzina burmistrza musiała na to wszystko patrzeć, wszystko słyszeć, zrozumieć.

Podobnego zgorszenia jeszcze w Kącie nie widziano. Nie było też nigdy takiego jak po tem zajściu piekła w domu Migdała.

— Takie rzeczy! Coś ty za burmistrz! Bezceństwo! Twoje córki! I ty to cierpisz! Sodoma! Gomora! — sypało się z ust burmistrzyni.

Migdał uniósł się. Jego samego oburzyło to niepomierne. Obiecał też natychmiast żydówkę zbesztać, ile wlezie. Ale nie zadowolniło to ani jego żony ani wtórującego jej nastrojowi całego miasta, gdzie „te od Fajwlowej” jako uosobienie grzechu i ohydy, jako pierwszy i niebywały w dziejach miasteczka skandal tego rodzaju, były na wszystkich językach niewieścich.

Na domiar stała się niebawem rzecz niesłychana, która przeciwko właścicielce gniazda rozpusty zwróciła wszystkich Kącian szydłem.

Oto Fajwłowa, która dotychczas zatrudniała u siebie tylko dziewczęta tego samego co i ona wyznania — czy to dla powiększenia zbyt szczupłego personalu, czy może dla zaspokojenia wymagań klientów, kierujących się jakimiś religijnymi lub plemiennymi wstrętami, albo po prostu na domiar zgorszenia, postarała się o nową pensyonistkę, porywając ją — o szkądzie! — z pod samych skrzydeł kościoła, w osobie Bronki, służącej u żony organisty.

Sąsiadki kawiarni powzięły wiadomość o tem najniespodziewaniej w świecie, ujrzawszy jednego popołudnia roztwierające się drzwi przybytku grzechu, z których wyszła Bronka. Dźwigając zapomocą wspartego na ramionach nosidła dwie konewki, poszła w nie zaczerpnąć wody z przyozdabiającej środek ulicy publicznej studni.

Zanim jednak zdążono spostrzedz się, co to znaczy, oddaliła się z powrotem, a chociaż jedna z Kącianek, zapalczywszej natury, chcąc dziewczkę wybadać, zawołała na nią:

— Bronka! Bronka!... — Fajwłowa jednak wciągnęła wołaną do swych drzwi, strofując.

Wieść się rozniosła i dwa dni pęczniała w oczekiwaniu, potęgującym efekt — przez dwa dni bowiem nie widziano Bronki wcale.

Kiedy się po raz wtóry ukazała, czyhające na tę chwilę Kącianki obskoczyły ją natychmiast.

— A co? namówiła cię? prawda? upiła?... Trzyma cię teraz? nie chce puścić? powiedz... Zawraca ci głowę? obiecuje?... Ale nie daj się! ucieknij! my cię obronimy... Nie gub duszy Bronka!!...

Dziewka, ogłuszona takim nawałem zapytań, przestroóg, upomnień, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kiedy ją wszakże za rękawy, za fartuch, za spódnicę, zaczęły dbałe o jej zbawienie mieszczki zatrzymywać, nie dając wrócić do jej pani, ofuknęła je, wyrrywając się gwałtownie:

— Puście mnie! Co do mnie macie?!...

Poczem zniknęła.

Kobiety oniemiały. Któraś rzekła;

— Już ją przekabacili!...

Przechodzący mężczyźni natomiast, świadkowie tej sceny, uśmiechali się ukradkiem. Jeden z nich nawet szepnął drugiemu do ucha:

— Zasmakowała.

Tego dla obrażonych uczuć moralnych, mających od wieku siedzibę w Kącie, było jednak za wiele. Utyskiwania rozlegały się po całym mieście, burmistrz nie miał spokoju od rana do wieczora, w domu i po za domem.

Wreszcie przyparty przez żonę do muru, zdobył się na krok stanowczy i kazał zrewidować papiery mieszkanek potępionego miejsca, w nadziei odkrycia jakichś nieformalności.

Niestety zawiodły go rachuby — Migdałowa pienila się.

—Ależ kobieto! na rany boskie, czego ty chcesz odemnie?... Papiery mają jak się patrzy, pomeldowane w porządku, żadna nic nie ukradła, nikogo nie zabiła — za cóż ja je wyrzucę?!...

—On się pyta za co!... A cóż to ty nie wiesz? nie widzi całe miasto?!...

—Widzi — ale do tego nikomu nic. Kara boska na bezwstydnice — ale człowiek nie poradzi.

—Osioł jesteś.

—Ty wiesz swoje, ja wiem swoje. Co prawo, to prawo.

Mimo tego, z poduszczeń żony i pod naciskiem opinii, Migdał uczuł się w obowiązku coś zrobić i w tym celu wymyślił na żydówkę cały szereg szykan.

Miasto dotąd o godzinie dziewiątej wieczór spało zawsze snem bobaków. O wpół do dziesiątej czuwali jeszcze stróże nocni — ale o dziesiątej spały już nawet psy co do jednego.

Teraz inaczej. Przez cały wieczór do późna w nocy przeciągali ze śmiechem i gwarem do zakładu Fajwlowej i nazad, robotnicy, rozlegały się hałasy, kłótnie, śpiewy, których odgłosem niepokojone psy na podwórkach popadły w stan nerwowego rozdrażnienia i ujadły nieraz do samej północy.

Działy się jeszcze gorsze rzeczy: pisano po murach i rysowano bezceństwa, a nieraz pijany robotnik, po ciemku, zamiast do Fajwlowej, stukał do drzwi lub okien uczciwego domu.

Otóż nakazano teraz żydówce zamykać podwoje z uderzeniem godziny 9-tej (dbały o dobro miasta policyant przyspieszył od dnia tego bieg zegaru na wieży o dziesięć minut) — i zabierano jej za byle co dziewczęta do aresztu, utrudniając w ten sposób zarobkowanie. Nie było bowiem dnia prawie, aby któraś nie dostała się pod klucz gminny, przyczem policyanci miejscy, ludzie żonaci i lubiący kiedyindziej czas swój przepędzać w domu, nader gorliwie strzegli uwięzionych. Można powiedzieć, że nigdy pod tym względem nie cieszyła się gmina z ich strony gorliwszą obsługą.

Działo się to zaś pod pierwszym lepszym pretekstem, które władze miejskie, patrzące dotąd na lżejsze przewiny ludności przez palce, z perfidyą nauczyły się teraz wyszukiwać, zdobywając dużą biegłość w śledzeniu i ściganiu najdrobniejszych nawet występków. Pokazała naprzykład która z dziewcząt trochę za wiele bielizny lub własnej skóry — znajdowali się zaraz świadkowie i konstatowano zgorzenie publiczne; rzuciła obelżywe słowo lub wystawiła język spluwającym na ich widok mieszczkom — pociągana była do odpowiedzialności za obrzę honoru; kiwnęła palcem na przechodzącego wiertacza — dalejże ją pod rygle za stręczenie do nierzędu.

Miała ta Fajwłowa za swoje — miała.

Ale zakład istniał — prosperował — o sto kroków od kościoła urągał mu swoją obecnością, drzwiami swemi, otwieranemi raz po raz, progiem coraz bardziej wydeptanym. Usta burmi- strzowej nie przestawały męża nazywać niedo- lęgą — a powtarzały mu to samo za nią w Kącie niejedne oczy, bo ten i ów, wtórując żonie (wszystkie żony, bojąc się o swych mężów, czulsze były dla nich niż kiedykolwiek), myślał a nawet głosił wśród zaufanych, że przecież takie rzeczy, jak u tej Żydowicy, w porządnym mieście dzieć się nie powinny.

Migdał słyszał niejedno, reszty się domyślał i— i gryzł się, bezradny.

Cios stanowczy zadała żydówce i jej gorszącemu przedsiębiorstwu inna ręka: ręka Kolki, stolarza, uchodzącego za mówcę, stąd naczelnika opozycyi w radzie gminnej i zdeklarowanego przeciwnika Migdała, który w nim widział rywala. Tak bowiem, na codzień, burmistrz czuł się bezsprzecznie najpierwszą osobą w mieście, mogąc przez dzień cały paradować po ulicach w próżnowaniu, podczas kiedy Kolka musiał się dobrze napocić nad heblem, aby obzywić liczną swoją rodzinę. W święta wszelako i w przeróżne, zręcznie przez Kolkę wynajdywane uroczystości, mąż ten, dowódzca miejscowej ochotniczej straży ogniowej, w swoim przepysznym mundurze i Srebrzystym kasku z pióropuszem, bezwarunkowo stawał się najokazalszą figurą w mieście i postać Migdała całkowicie usuwał w cień. W wyniku z tego głównie początku współzawodnictwie obaj ci najtężsi obywatele Kąta przy każdej okazji usiłowali prześcignąć się nawzajem i zaćmić w pogoni za popularnością.

Najświeższy czyn Kolki, acz ogólnej pożyteczności, inne jeszcze, bardziej osobiste miał pobudki — a począł się tak.

Kazik, siednastoletni syn stolarzowy, z szcze- gólnem zamiłowaniem przesywał od pewnego czasu noce nie we wspólnej rodzinnej sypialni, lecz w śpichlerzu na sianku. Wobec cieplej pory wydawało się to z pozoru zupełnie natural- nem. Pewnego wieczora jednak wypatrzone go, jak wymknąwszy się z domu, wkradł się do kawiarni Fajwłowej, gdzie spędził dobre dziesięć minut, tyle, ile potrzeba na wypicie szklanki kawy z rogatkiem a nawet z dwoma. Ale gdy się zdarzenie rozniosło, nikt nie przypuszczał,

ażeby chłopiec chodził tam na kawę. Nie przypuszczał też tego i ojciec, który wsypał wyrostkowi oblewane baty — a błagania Kazika i krzyki starego: „ja urwisie, byłem już pod wąsem!...” rozlegały się w pryncypalnej ulicy Kąta aż po drugą przecznicę na prawo, licząc od studni.

W najściślejszym związku z tym wypadkiem zjawiała się nazajutrz rano w domostwie Fajwłowej gromadka poważnych mieszczan, którzy nie zdejmując czapek obeszlą wszystkie ubikacje mieszkalne i niemieszkalne, strych i podwórze, przyglądając się z wielkim skupieniem sufitom i ścianom, opukując mury i kiwając głowami, jak to czynią lekarze nad bardzo chorym człowiekiem. Następnie bez słowa objaśnienia oddalili się w kierunku urzędu gminnego, zostawiając żydówkę wysoce zaniepokojoną tajemniczością tego epizodu.

Tego samego dnia właściciele kawiarni z żeńską obsługą doręczył policyjant miejski opatrzony w pieczęć gminną papier, na mocy którego rozporządzeniem władzy nakazywano jej opuścić w złym stanie znajdujący się i grożący zawaleniem budynek, ze względu na bezpieczeństwo zdrowia i życia ludzkiego, w przeciągu godzin dwudziestu czterech.

- Żydówka podniosła wielki lament, obleciała z błagalnym wrzaskiem wszystkich radnych, prosząc, aby jej nie rujnowali, zapewniała, że mury jej domu są w kwitnym stanie, że u niej nie dzieje się nic takiego, co by wstrząsało fundamentami i narażało na szwank czyjeś życie. Zresztą jeżeli się tu ktoś w ogóle naraża, to j:przedewszystkiem ona i jej dziewczęta, a ona narażać się gotowa chętnie i nadal, i one także.

Nie skruszyły wywody te nikogo.

Wtedy zaczęła się uganiać za innym lokalem. Któryż jednak z Kącian przyjąłby ją do siebie?....

Zanim upłynął wyznaczony termin dwudziestu czterech godzin, pod asystencją straży, wczesnym rankiem dnia następnego, zaczęto wynosić z domu Fajwłowej ruchomości, między innymi sześć czy też siedm łóżek, spracowanych łóżek, i tyleż tłomoków pościeli, których sam już widok miał w sobie coś grzesznego.

Fajwłowa, rozgorączkowana pilnowaniem swego dobytku, wbiegała i wybiegała z domu, wrzeszcząc na całe miasto i przeplatając rozpo

rządzenia klątwami. Aż w końcu obok dziewcząt, bardzo wesoło przyjmujących swój los i świecących zębami z pod nasuniętych na czoło chustek, usiadła ostatnia, poczem wozy z brzękiem okucia i trzeszczeniem sprzętów, potrząsając na nierównym bruku miasteczka swym ciężkim ładunkiem, ruszyły zwolna, ścigane spluwaniem, trzaskaniem drzwiami, ujadaniem psów i chmarą bosych dzieciaków, które z podniesionymi rękoma wybiegały zewsząd naprzeciw taboru.

Z złorzeczeniem na ustach i nienawiścią w sercu opuszczała Fajwłowa niegościnnie gród, dom swój zostawiając pustką.

Cały ten, tak pomyślny obrót sprawy, która zaprzętała umysły od paru miesięcy, był zasługą stolarza Kolki. Im więcej jednak wznosił on teraz głowę, wieńczoną uznaniem całego miasta, tem niżej opuszczał swoją burmistrz Migdał. Ani żona bowiem, ani on sam darować sobie nie mógł, że dał się rywalowi ubiedz w inicjatywie tak ważnego dzieła.

Przez dwa dni był w Kącie spokój, w najbliższą zaś niedzielę w nocy obrzucono błotem i wybito szyby w domach: burmistrza, stolarza i w urzędzie gminnym. Nikt nie wątpił, że jest to zemsta nafciarzy. Ponieważ jednak stróżom nocnym zakazano najsurowiej odtąd noce przesypiać, przypadek ten zatem więcej się nie powtórzył i przez dwa tygodnie był spokój, cisza, miasto zdawało się jakby owiane atmosferą czystości, obyczajności i zdrowia, coś tak, jak gdyby mu wycięto raz na zawsze wrzód bolesny i cuchnący. Żony wprawdzie, spokojniejsze teraz o mężów, stały się dla nich znowu mniej czułe, ale natomiast nadzieje obudziły się w ojcach i matkach. Przewidujący mianowicie nie bez sprytu obliczali, że personal górniczy, pozbawiony sposobności do grzechu, usatkuje się i zacznie Kącianom dostarczać zięciów.

W rzeczy samej kilku młodych górników, nie wiadomo, czy koniecznie w intencji żenienia się, zaczęło odwiedzać rodziny, mające córki. O Fajwłowej dowiedziano się, że osiadła półtorej mili od Kąta, na granicy sąsiedniej gminy, w karczmie.

Jednego razu powstał wszakże mały ruszek, kiedy się rozeszła przygoda służącej Zakładzińskiego, powroźnika mieszkającego na krańcu miasteczka, od strony terenu naftowego.

Dziewczyna ta miała kochankę, z którym

schodziła się tajemnie, wieczorami. Wczoraj wielbiciel jej przybył na schadzkę z towarzyszem i polecił go jej względem, utrzymując, że on i tamten to jedno, a kiedy zaprotestowała, zdecydowali ją trochę niegrzecznie, tak że wróciła do domu splakana, skarżąc się na zawód w miłości.

Wypadek jej obudził pewne współczucie w delikatniejszych umysłach, ale w ogóle sprowadził na nią potępienie. Gdyby się nie zadawała po nocy z chłopakami, nie byłoby ją spotkało coś podobnego.

Więcej już wagi przypisano innemu zbliżonemu zdarzeniu sługi w tej samej okolicy zamieszkałego mieszczanina Krupiarza.

Dziewczyna ta nie miała pośród nacierzy kochanka (fakt niewątpliwy, miała go bowiem w osobie syna swego chlebodawcy) i nie wykradała się też po za dom na schadzki — lecz wysłana o zmroku do źródła za wzgórzem po wodę, została napadniętą przez wcale sobie nieznanych dwóch ludzi, którzy postąpili z nią jak najdowolniej a potem jeden został przy niej, drugi zaś odszedł, aby wnet przyprowadzić jeszcze kilku i ci naśladowali obu swych po przedników tak bez litości, że pokrzywdzona nie pamiętała nawet, ilu ich było i czuła się po prostu chorą.

;) Otóż kiedy służkę, która idzie do źródła po Brodę dla użytku swych chlebodawców, spotyka tak oburzająca krzywda, skrzywdzeni są tem samym — jej chlebodawcy. \$ Prawdziwą sensację wywołał wszakże dopiero w trzy czy cztery dni po obu tych, prawie równoczesnych zajściach, wypadek u Gwiazdoń. Tu już nie o jakąś tam służącą, ale o obywatelkę, o żonę uczciwego mieszczanina pdiodziło.

Rzecz się miała tak mianowicie. Gwiazdoń, wyszedziwszy kradzieże, chodził co noc oglądać swe półko kapusty. W powrocie z jednej takiej wyprawy omal nie został przewróconym w progu własnego mieszkania przez uciekającego mężczyznę, którego rysów nie rozpoznał, a który jego żonę zostawił we łzach i rozpaczy...

Wielka zgroza podniosła się w mieście po tak zuchwałym napadzie. Zaczęto rozumieć, skąd się te szkaradne wypadki biorą, co ich powodem.

1. Ale i tym razem jeszcze opinia ochłonęła — 141 —

po bliższym rozpatrzeniu sprawy, albowiem wykazało ono, że Gwiazdoń wychodzi co noc do kapusty nie dla jej dopilnowania, lecz aby nie słyszeć gorzkich wyrzutów swej młodej żony (w stadle tern znajdowano rażącą różnicę wieku...) Okazało się dalej, że Gwiazdoniowa romansowała z jakimś nafciarzem od dawna i że mąż o tem wiedział a narobił obecnie hałasu tylko ze względu na służącą, która owego wieczora była przypadkowym świadkiem katastrofy zderzenia się gospodarza z gościem we drzwiach i byłaby je i tak sama rozniosła.

Uspokojono się więc rychło, ale w nastroju było już teraz coś wyczekującego, jak gdyby wszyscy czuli, że czasy nie są bezpieczne.

Naraz po upływie dni kilku stała się rzecz niebywała, straszna, potwornością swą przechodząca wszystko, co się tylko przypuścić dało.

Było to w niedzielę po południu, w jasny sierp mowy dzień.

Rodziny dwóch mieszczan, garncarza Pichdy i Dziaźlewicza, wybierając się za miasto na przechadzkę, ku obrastającemu je z jednej strony gąszczowi wikliny, po nad zjeżoną badyłami szuwaru sadzawką, szumnie nazywanemu tutaj lasem, w braku prawdziwego — puściły naprzód córki, pięć dziewcząt, którym spieszo było narwać skąpo wśród zarośli rosnących jagód.

Kiedy w jakie dziesięć minut po dzieciach zjawili się w „lesie” i rodzice — matki z pończochą, ojcowie gwarząc o sprawach domowych i gminnych, i paląc fajki, przywitał ich piskliwy lament dziewczęcych głosów i szlochanie rozlegające się na wszystkie strony.

Przywoływały ojców, matek, pomocy boskiej, ludzkiego ratunku.

' Nieprędko zdołała przerażona straszyna pozbierać piątkę, rozprószoną jak stado gęsi w popłochu, a kiedy wreszcie zgromadzono wszystkie, po pierwszym wybuchu płaczu wystękały, że napadli je jacyś ludzie. Co za ludzie? — obcy, ale zapewne z kopalni, bo ich było czuć naftą. Opowiadając to, jedna przez drugą, wylękłe, drżące, wśród nalegań o powrót do domu, nie przestawały szlochać. Dwie jednak szczególniej wytrwałe zanosiły się od płaczu i w żaden sposób utulić się nie dawały matkom, pytającym niespokojnie, co im się stało.

Za całą odpowiedź jedna, łkając, powtarzała w kółko rozpaczliwie:

-4- Nie wiem!... nie wiem, moja mamó!...

Druga zaś nie wymawiała się wprawdzie nieświadomością, lecz objaśnienia odkładała do domu.

Okazało się, że i ta, co nie wiedziała i ta druga, świadoma, padły ofiarą najfatalniejszej dla młodej dziewczyny napaści męskiej.

Oburzenie zastrzęsło miastem i nie umilkło dzień cały, aż mrok wieczorny zamienił je w trwogę.

Nikt teraz nie czuł się bezpiecznym. Co spotkało dwie obywatelskie córki w dzień biały, o tysiąc kroków od miasta, to każdą obywatelską córkę, żonę, spotkać może nocą w jej własnym mieszkaniu. Nauczyciel miejscowej szkoły wspomniał w pewnym kółku wypadek z historii rzymskiej: porwanie Sabineki, co jeszcze bardziej zaniepokoiło umysły i sprawiło, że posiadającym jakakolwiek broń zazdrozczono powszechnie, na naftę zaś, ową pocziwą, dobroczynną, świa- tłodajną naftę, napełniającą we wszystkich domach lampki, ludzie głębszego poglądu patrzyli z nienawiścią i trwogą, jak na element, w wysokim stopniu zagrażający dotychczasowemu porządkowi rzeczy. Kobiety drżały wieczorem, bały się wyjść za próg, na własnym podwórku podejrzewając dobrze znany cień chlewika, lub biorąc za ludzką głowę garnek, wetknięty na kół w płocie.

Podniesiony hałas rozszedł się tymczasem aż do kopalni, gdzie przedsięwzięto śledztwo, ale nic nie wykryto. Dziewczęta nie pamiętały swych krzywdzicieli, wiedziały tylko, że ich było czuć naftą —■ w kopalni zaś pracowało pięciuset zuchów, z których każdy cuchnął petrolejem, jakby im nawet w żyłach krążył zamiast krwi.

Sprawcy tedy pozostali w ukryciu, Kątowi zaś ubyły niepowrotnie dwa, łyzy wylewające, dziewictwa, których dalsze losy kobiety postanowiły bacznie śledzić, zanotowawszy w pamięci datę.

Burmistrz Migdał miał po tym wypadku noc bezsenną. I słuszna. Kiedy miasto śpi snem niespokojnym umysłów dręczonych paniką, trudnoż głowie miasta zasypiać dobro publiczne.

Myśl o niem męczyła Migdała noc całą a także obawa, która mu się nagle, dopiero po zgaszeniu światel w mieszkaniu, zjawiała: obawa o córki.

Nie zdoławszy mimo wysiłku nic ku zabez

pieczeniu dobra powszechnego wymyśleć, postanowił udać się nazajutrz rano do inżyniera, kierującego robotami. Z tą decyzją zdrzemnął się nad samym świtem. Zbudzono go wezwaniem, by poszedł przypatrzeć się gmachowi u- rzędu gminnego. Poszedł.

Na drzwiach budynku bieliły się kredą wypisane wyrazy, na których widok krew skrzepła w żyłach Migdała. Słowa te brzmiały:

„To jeszcze nie koniec!”

Kto je nakreślił? Nie domyślano się wcale, a biegli daremnie wpatrywali się w charakter pisma, ścigani zdała, z za węgła domu stolarza, oczyma tego tak wcześnie rozwiniętego chłopca, Kazika, który się psotliwie uśmiechał.

Trzeba działać! — pomyślał burmistrz.

Niezwłocznie też udał się do kopalni, gdzie miał dosyć długą rozmowę z naczelnym inżynierem, który niezmiernie ubolewał nad haniebnymi wypadkami, ale otwarcie wyjawiał swoją wobec nich bezsilność.

— Obawiam się kochany panie — mówił — że to się będzie powtarzać. Wy o moralność dbacie tak surowo, a położenie Kąta jest tak nieszczęśliwe, że oni nie mają gdzie się rozerwać. Zważ pan, że to same młode chłopcy. io-T- Mają tę żydówkę w Dłubniach.

I—i A dziękuję panu! o półtorej mili stąd! Z tego ani oni, ani ja nie mam pożytku. Proszę tylko pomyśleć, jak mi taki człowiek na drugi dzień wygląda, jeżeli poprzedniego dnia zrobi trzy mile pieszo, tam i z powrotem, nie licząc reszty... Nie, już to darujcie mi, ale sensu żadnego nie miało wypędzać ją z miasteczka, czego skutki widoczne.

< Migdał ocknął się z przygnębienia.

I r- Ja jej przecie nie wyrzucałem — zawołał. — Kolka wszystkiemu winien, Kolka to zrobił! I to dlaczego? Względem swego chłopca, tego urwisa, co mu się już wasy sypią!...

Wielkie fzczy! Ja jakem miał szesnaście lat — ho! ho!...

Ale wnet frasunek ogarnął go znowu.

— Cóż zrobić? — zapytał błagalnie technika.

< — Ja panu powiem otwarcie: jedyna rada, postarać się, żeby żydówka wróciła.

— Jakże to!... mamy ją prosić? — obruszył się szewc.

— Choćby i prosić.

Mocno zadumany, z kielkującymi po tej roz

mowie nowemi na urządzenia społeczne i na moralność poglądami, wracał szewc do domu. Kiedy, przekroczywszy próg, zobaczył żonę, trzasnął drzwiami, splunął i z aforyzmem:

— Kiepski ten chłop, co baby słucha! — poszedł zamasyścić do drugiej izby.

Tu, zapaliwszy fajkę, myślał długo — wreszcie, powziąwszy postanowienie, udał się do urzędu gminnego, dokąd też zgromadził bez czasu straty rajców kąteckich.

Tegoż samego dnia, otrzepując pył z butów, niezwykle gość stanął na progu karczmy w Dłubniach, której połać zajmowała Fajwłowa z towarzyszkami; miły gość, stary i dobry znajomy, policyant kątecki Gwizdek.

Zaledwie ukazało się jego wąsate? oblicze, zarazem groźne i śmieszne, podobne trochę do grubo zarysowanej mordy młodego psa, o łagodnym charakterze ale lubiącego szerzyć trwogę ujadaniem — obskoczyły go zaraz z oznakami radości wszystkie dziewczki, mające zawodową słabość do tego przedstawiciela władzy. Zaczęły się pytania, co tam słyhać w Kącie, żarty, przypomnienia, wśród czego Gwizdek, otoczony wieńcem roznegliżowanych piękności, zniknął

w drugiej izbie. Po jakimś czasie, nawiązawszy zerwane chwilowo stosunki, rozochocony wrócił do pierwszej izby i zagadnął Fajwłową po przyjacielsku :

— No, pani Fajwłowa, jest tutaj coś i dla pani.

Eirt — Dla mnie? i co pan może dla mnie mieć? ■ — rzekła żydówka z pewnym lekceważeniem, wyciągając z pończochy, nad którą pracowała z flegmą, zarobiony drut. Następnie zwróciła nieco w tył głowę i dodała: — Ruchła, dajno kawy z rumem. Napij się pan Gwizdek.

Otyła Ruchła, wyglądająca z powodu dysproporcji swej dużej głowy i oczu z małym wzrostem i małym nosem, na niezwyklej wielkości dziecko, przyrządziła kawy dla policyanta.

— Widzi pani, u nas się tam trochę zmieniło — pociągnąwszy ze szklanki, zaczął ogródkami mężczyzna, na co żydówka pokiwała tylko głową ze złośliwym uśmiechem i mruknęła: ; — Wiem, wiem. r — Cóż wiecie?

— Wszystko.

Gwizdek zbiło to nieco z tropu. Wnet jednak znalazł sobie dalszą rolę.

— Żeby mi się łak chciało — mówił, przybierając minę wpływowej figury — pogadać z Migdałem, to byś pani mogła wrócić. Jak Boga Kocham!...

Żydówka uśmiechnęła się w milczeniu, nie okazując ani zdziwienia ani radości. Gwizdek więc widział się zmuszonym napierać na nią:

— Cóż pani na to?

— Co ja na to?... Po co ja mam wracać, kiedy mnie tu dobrze.

Tego się wysłannik władz Kąta nie spodziewał i nie umiał sobie też z tem poradzić. Darownie zachęcał żydówkę do powrotu i obiecywał go ułatwić, traktując rzecz ze stanowiska swoich prywatnych dla niej względów. Pozostała wobec jego propozycji zimną jak gład. Szydziła nawet trochę z wypadków w Kącie.

Używszy, co było u Fajwlowej najlepszego, odszedł wreszcie Gwizdek z niczem.

— Nie chce, nie wierzy — zdał sprawę burmistrzowi.

— Nie mówiłeś jej ani słowa, że ja cię posłałem ?

— Ani słóweczka, wedle rozkazu.

Wyprawa pisarza gminnego również pozo stała bez skutku, chociaż miała już otwarty charakter misji urzędowej. Ustne zezwolenie powrotu wszakże nie wystarczało żydówce. Utrzymywała, że wypędzona nakazem na papierze, bez drugiego papieru nie wróci. Coby było, gdyby ją tak zechciano wyrzucać powtórnie?...

I oto stało się, że tegoż dnia jeszcze wstąpił do karczmy w Dłubniach sam burmistrz Kąta, Migdał, niby w przejeździe i nic o pobycie Fajwlowej tamże nie wiedząc, na dowód czego stojącej w sionce nie poznał, aż go sama zaczęła pełnym uniżoności powitaniem:

— Kłaniam się panu burmistrzowi, całuję rączki. Dawno chciałam pozdrowić pana burmistrza i zapytać, czy się tam już u mnie całkiem zaważyło?... Jeszcze nie?...

Migdał ugryzł się w język, by jej nie zelżyć, szło jednak o dobro miasta.

— Stoi jak stało — odparł niby nie zrozumiawszy docinku. — Komisya nawet zbadała, że można mieszkać...

— Można? tak? — pochwyliła żydówka. — Aj jak to dobrze!... bo mnie się na to kupiec trafia, tylko mało dawał. Mówił, że to się lada dzień zwali, bo tak komisya każe. Ale kiedy te

raz komisya inaczej każe, to ja będę mogła drożej sprzedać.

Wyraźnie drwiła. Nie będzie jej przecie prosił. Hamując pasyę, zwrócił się Migdał ku swej bryczce.

Lecz Fajwłowa zmiarkowała, że przekroczyła granicę.

— Proszę pana burmistrza, ja coś powiem — i zatrzymała go, zmieniając ton ironii na prośbę. — Ja wiem, że ja w Kącie potrzebna, ja wrócę.

— No to wracajcie, wszystko mi jedno — rzucił.

— A gdzie moja krzywda?

— Jaka krzywda?

— Mój koszt na przeniesienie tutaj... moja strata na czynsz... na zarobek... na przeniesienie nazad ?...

Żydowica w rachunkach była tęgą i długo wyliczała stracone korzyści i poniesione szkody, przeplatając to wszystko wynurzeniami szacunku dla Migdała, przywiązania i gotowości do usług dla Kąta, oraz zręcznie stopniowanymi żądaniem. Przytem zaś trzymała wymykającego się szewca za rękaw, za połę, za laskę, a kiedy zostawiwszy kij w jej ręku, wskoczył do bryczki, wówczas uchwyciła się prętów siedzenia i jeszcze błagała:

— A będzie mi wolno do dziesiątej mieć otwarte?

— Będzie! będzie!... Jedź Wałek.

— PrrrL—krzyknęła na konie, już ruszające. — A policyanty nie będą mi robić o cobądź kłopot?

— Nie, nie. Ruszaj Wałek.

— PrrrL. jeszcze jedno, wielmożny panie burmistrzu! A czy pan burmistrz nie zapomniał to wszystko, co mi pan obiecał?

— Ależ nie, do stu dyabłów, nie!... Jedź!

— I dostanę papier z pieczęcią ?

— Dostaniesz.

Konie ruszyły z kopyta, Fajwłowa odskoczyła.

— Niech Pan Bóg prowadzi! Szczęśliwa droga! — wołała za odjeżdżającym.

Nazajutrz rano, na wybojach głównej arteryi ruchu Kąteckiego, zabrzczała uprząż koni, z trudem wlokących ludźmi i sprzętami ciężko naładowane wozy.

Była to Fajwłowa, na czele swoich dziewcząt powracająca do Kąta.

I znowu psy z szczekaniem i dzieci bosa z krzykiem i wzniesionymi rękoma wybiegały na spotkanie wozów — a z domów, z po za niedomkniętych drzwi kobiety rachowały ukradkiem te, które, wygnane niedawno tak sromotnie, powracały teraz, gorąco oczekiwane, ubezpieczając ich zagrożoną cnotę.

Wyrodne dziecko.

W parę minut po obiedzie matka, która z szczerym roztertaniem rozdzielała dzisiaj barszcz i porcy kaszy z grzybami po talerzach licznej dzieciarni, wzięła spieszącego na zwykłe godziny fortepianowe męża z pewną tajemniczością do kuchni, przepełnionej zapachem świeżo palonej kawy, tłustą wonią tylko co spożytych potraw i pomyj, w których kąpały się otoczone kłębam pary, sterczące ponad brzegi cebra półmiski i talerze.

— Są już bułki? — zapytała sługi, oplakującej łzami rześistego potu żar pieca i ciężką godzinę mycia naczyń.

Aby się pozbyć świadka, zleciła dziewczynie: — Idź zawczasu do sklepiku, bo znowu przyniesiesz wybiórki.

Państwo zostali sami. Mąż wykałał zęby za

pałką w pozie pytającej, żona przesunęła za ucho kosmyk siwych włosów, który jej lał w oczy.

— Słuchajno — zaczęła zciszonym głosem, wlepiając weń wzrok strapienia — Niuńka widuje się codzień z Adlerem.

Muzyk przestał dłużyć w zębach i prostując się nieco, oddał swe zdziwienie ostro zaakcentowanym pytaniem:

— Co ty gadasz?...

— Jak cię kocham. Papczyńska przed samym obiadem wpadła na momencik do kuchni i przysięgła mi się, że ją z nim widziała dwa razy. Niuńka wchodzi do kościoła św. Trójcy jedną stroną, wychodzi z drugiej natychmiast i biegnie na Ustronną, gdzie on już czeka, a potem razem idą niewiadomo gdzie. Nie mogła wyszpiegować, bo Adler co krok się oglądał.

Mężczyzna syknął przez zęby wściekle:

— A to łajdak dziewczyna. Ona mi grób kopie!... I o jakim to czasie było?

— Po południu, w godzinach „robót”.

. — Więc ona sobie zamiast na kursa... Zawołaj ją tu zaraz, tę bestię.

Matka zlekła się sceny.

<"— Bój się Boga, dzieci będą słyszeć!...

Powtórzył silniej:

— Zawołaj, kiedy mówię.

Wyszła, spuszczać w ziemię oczy, pełne niepokoju, on zaś przechadzał się po kuchni, wdychając narkotyczną woń palonej kawy, której połyskujące, brunatne ziarna stygły rozpostarte na serwecie, i poił się zapachem z mimowolną przyjemnością, przeszkadzając mu oddać się całkowicie wzburzeniu zgryzionego ojca, którego dziecko w grób wpędza.

Usłyszawszy skrzyp drzwi, odwrócił się, by z odległości przeszyć surowym wzrokiem grzesznicę. W kapeluszu i żakiecie, z pobladłą nieco twarzą i spuszczonej oczyma, weszła za matką wzruszona przeczuciem czegoś niedobrego.

Postąpił ku dziewczynie i z gwałtownym gięstem gniewu rzekł szybko, dobitnie, półgłosem:

— Co to?... Już się ubrała?... Tak ci pilno na kursa?... Proszę mi to zdjąć natychmiast! Zamkniesz jej kapelusz do szafy, w chustce może nie poleci... Żebyś sobie wiedziała, że od dziś dnia nie wyjdiesz więcej z domu ani na krok sama... A teraz ruszaj mi w oczu ty... ty...

bezwstydnico!... Za powrotem się z tobą rozprawię.

Przeszył ją zjadiiwem sporzeniem i pewien, ie znalazł się jak na ojca rozumiejącego prawa i obowiązki głowy rodziny przystało, wyszedł rozczewieoiony, trzaskając drzwiami, dziewczyna zaś, z tchem zapartym, z sercem bijącym mocno w głębi jej młodego, ślicznie rozkwitłego biustu, który drgał od jego uderzeń, weszła za matką do jadalni. Ponieważ młodsze rodzeństwo wychodziło właśnie do szkoły, pomogła więc ubierać się najmniejszemu braciszкови i siostrzyczce, wkładając na nich płaszcze, przygładzając im włosy i pakując książki do torebek. Była jeszcze ciągle w zakiecie, tylko kapelusz zdjęła.

Skoro została sama z matką, kręciła się czas jakiś po mieszkaniu, rzucając badawcze spojrzenia to na zegar ścienny, którego wskazówka posuwała się niepowstrzymanie, to w stronę starej kobiety, zajętej układaniem poduszek na sofce do poobiedniej drzemki.

Nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, spytała wreszcie z cicha:

— To Ja nie pójdę dzisiaj na „roboty” ?.,,

Matka, zachowująca się tak, jakby córki całkiem nie było w pokoju, odparła sucho: • — Nie.

Wtedy Niusia, rzuciwszy ostatnie, rozpaczliwie spojrzenie na zegar, zacięła usta, zdjęła z siebie zakiet popędliwie i rzuciła go bez słowa odpowiedzi. Potem wspiąwszy się na palce, aby z wierzchołka szafy wziąć książkę w zniszczonej oprawie, z dużym numerem publicznych czytelń na wierzchu, odszukała w niej kartę o zagiętym rogu i zagłębiła się w czytaniu przy oknie, pełnem pospolitych kwiatków pokojowych, w pozie niezrozumianej i skrzywdzonej osoby, którą przestał obchodzić świat otaczający.

Zanim jednak zdążyła przebiedz kilka wierszy, matka, która zwinąwszy się w kłębek na sofce jak kot, co udaje drzemkę nad złowioną myszą, śledziła z pod szala ukosem, co dziewczyna robi, wprawiła ją w drzenie nagłem:

— Zabierz no ty się do jakiej roboty! nie trać czasu na czytanie. Nie tobie się bawić...
Widzicie ją!...

Dziewczyna poruszyła się w pantomimie urażonej dumy, jaką widywała u teatralnych kot, nadających sobie na scenie tony dam.

— Czegoż mama znowu chce odemnie? — wyrzekła podnosząc czoło.

— Ja ci tu zaraz powiem: czego? — wrzasnęła stara — ty szkarado! Myślisz może, że my nie wiemy?!... że to się Bóg jeden wie dokąd ukrywać będzie?... Jesteś bez czci!... bez wstydu!... Z człowiekiem, który ją na całe życie haniebnie skompromitował, wdawać się jeszcze w pokątne miłostki!... włączyć się po zaułkach jak szwaczka! afiszować!... Ty naszą śmierć przyspieszasz, ty dziecko bez serca, bez czoła!...

Złość i gadulstwo starych bab rozwiązały matce język, formując nieubłagany akt oskarżenia, z którego winowajczyni wychodziła w czarnej postaci urodzonej grzesznicy, wyrodka, a jej uwodziciel ostatnim z hultajów.

Cała pogrzebana w obyczajnym milczeniu bogobojnych ognisk rodzinnych awantura z przed dwóch miesięcy została tutaj odgrzebaną i wyciągniętą na światło, zacząwszy od poznania się Niusi z baronem Adlerem, zuhowatym i majątnym porucznikiem od huzarów, na jakimś ba-liku mieszczańskim, aż do protegowanego skrycie przez rodziców romansu na ietnieniu mieszkaniu, który urwał się nagle, nieco za późno przerwany przez ojca zbłąkanej. Przytaczając jaskrawe szczegóły tej historii w oświetleniu dla dziewczyny jak najbardziej potępiającem, matka ochrypla z uniesienia, a twarz jej, wyglądająca zazwyczaj w otoczeniu siwych pukli na oblicze dostojnej matrony, stała się teraz w koronie rozczochranych włosów podobną obrzydliwej i śmiesznej masce kłótlivej więdźmy z ludowych melodramatów.

Niusia słuchała z początku oniemiała ze wzruszenia. Ale w końcu, gdy matka parę razy zbyt brutalnie dotknęła jej miłość własną, owładnęła ją rodowa swarliwość.

— On mnie kocha! i ja go kocham.... — wyrzuciła z pałającą twarzą i ogniem w oczach, zdając się jednocześnie tłumić cisnące się jej na usta argumenty.

— Kocha cię?!... Ha! ha! ha!... — rozśmiała się matka szyderczo — to sławne!... Gdyby cię kochał naprawdę, nie bałamuciłby cię po kątach, aleby się z tobą ożenił... Rozumiesz? Ale za co on cię ma?! za co?!

W dziewczynie konała cierpliwość. Walcząc z sobą jeszcze, szarpała z wściekłości stanik, aż doprowadzona do ostateczności, zerwawszy się

ku matce, wyrzuciła z dygocących ust zmienionym głosem:

—Gdyby mnie nie kochał, nie byłby za mnie dał ojcu pięciu tysięcy!...

Odwróciła się z impetem, pobladła, przykuwając do siebie oczy matki, którą zdumienie unieruchomiło i zdławiło słowa w jej ustach, drżących jak w febrze.

Otrząsnąwszy się z pierwszego osłupienia, stara spuściła nogi z sofy na zieseń i poprawiwszy spódnice, wyszepnęła groźnie:

—Coś ty powiedziała?!...

Ale Nusia stała się nieustraszoną. Budzący się do życia egoizm młodej dziewczyny, krępowany przez egoizm cudzy, źle przysłonięty płaszczkiem udanej moralności, wybuchnął jak szczekanie zaczepionego psa. Raz odsłonięta tajemnica poruszyła ją do głębi, wydobyła na jaw całą złość dziecka złych rodziców, któremu otwarły się oczy, które poznało nędzę tych, co wymagali dla siebie szacunku i miłości i pozując na świętych, lżyli ją w imię cnoty, a po cichu sprzedali ją, przehandlowali w sposób brudny, niegodziwy, podstępny, chowając dla siebie pieniądze za jej cześć.

— Tak jest! Adler zapłacił za mnie pięć tysięcy, gdy mu ojciec pogroził procesem. Zdradził się przypadkiem, a potem powiedział mi wszystko, skoro poznał, żeście te pieniądze schowali, że z nich nie oglądałam ani grosza. Dał co ojciec zażądał i dałby dwa razy, dziesięć razy tyle, bo mnie kocha!... Nie tak mnie kocha jak wy, coście mu mnie naprzód podsuwali, (tak jest, teraz to widzę doskonale), a dziś traktujecie mnie, jakbym to ja była winna i nie chcecie mi kupić głupiej sukni. On gotów był dla mnie do każdej ofiary. Dla tego też kocham go, widuję się z nim i choćbyście mnie zamknęli, widywać będę dalej; jeżeli będzie potrzeba — ucieknę!...

Cios był straszny dla serca matki, zwłaszcza że zarzutów dziewczyny nie miała czym odeprzeć.

Z wywróconemi białkami oczu i przeraźliwym wrzaskiem: „Wyrodne dziecko!...” zemdląca. Pod padającym bezwładnie ciałem sprężyny sofy wydały jęk.

Ocucona samem zbliżeniem się spieszącej z pomocą córki, której nie pozwoliła się dotknąć, uczuła się w następstwie zajścia ciężko

chorą. Przywoławszy służbę, wydała jej rozkaz rozebrania łóżka. Stękając jak konająca, z głową manifestacyjnie obwiązaną zimnym kompresem, położyła się.

Wieczorem, gdy wrócił ojciec, horyzont zapełniły chmury. Widok zbolącej matki z okładem na skroniach, który w kronice domowej oznaczał przewroty, poważne i milczące twarze rodziców przejmowały dzieci strachem. Ponieważ żadnemu nie było wiadomem, co właściwie zaszło, gdyż Niusia wzruszeniem ramion zbywała pytania, każde zaś w głębi duszy miało sobie do wyrzucenia jakiś grzeszek tajony, wszystkie więc układnością i cichem zachowaniem starały się zażegnać burzę, zdającą się wisieć nad głowami. Zakopały się w pracy i milczeniu z po- tulnemi minkami wzorowych dzieciętek. Podczas kiedy ojciec i matka odbywali przy drzwiach zamkniętych długą i tajemniczą konferencję, Niusia ukradkiem, co żywo, kreśliła ołówkiem list do kochanka w ciemnej bawialni, korzystając jedynie z blasku latarni gazowej, która rzucała z ulicy w okno nieco światła. Tegoż dnia liścik rzucony został przez jednego z braci do skrzynki pocztowej.

Wszystkie dzieci już spały, spożywszy kolan- cę, wydaną przez służbę tym razem, po kątach, bez zwykłego solennego zasiadania przy wspólnym stole, tym ołtarzu uczuć rodzinnych, bez udziału ojca i matki. Niusia czuwała sama jedna w mrokach bawialnego pokoju. Naraz drzwi od sypialni rodziców otwarły się i wyszło z nich, z odrobiną światła, suche, poważne jak głos sędzi, słowo ojca:

— Chodź tu.

Drżąc weszła.

Zaczął się długi, dziwnie uroczysty z powodu nocy i półszeptu, w jakim stary przemawiał, wykład moralny, w którym więcej było wyrzutów niżeli karceń, więcej żalu niż gniewu i jakaś miękkość rzewna, choć gorzka, jak gdyby mężka siła ojca nadłamaną została okrutnym ciosem zgryzoty.

—Pamiętaj! — mówił metr smętnie, podnosząc przytem palec w górę jak kaznodzieja, gdy prawi o piekle — że za rodziców Pan Bóg ciężko karze!... a choćby nie ukarał, sumienie odezwać się musi... Wiem, że przez ciebie szal mówił, nieszczęsna dziewczyno, ale gdybyś ty miała serce, nie pozwoliłoby ci ono nigdy po

sunąć się do tak haniebnych zarzutów przeciw tym, którym największe dobro: życie! — masz do zawdzięczenia, a którzy w zamian za niesławę, jaką na schyłku dni ściągnęłaś na ich stare, biedne, niczem nie splamione głowy, mając zawsze jedynie twój los na oku, pamiętali o nim do końca i bronili twego dobra jak swego... Bo przecież te pieniądze — Boże jedyny — to twój posag!... One miały wynagrodzić bodaj w części twoją krzywdę, uczynioną ci przez niegodziwca, naprawić twoją własną lekkomyślność. My ich dla siebie nie potrzebujemy, bądź pewna. My już zresztą nad grobem. Są twoje!... Ja przynajmniej prędzejbym z głodu umarł, niżeli ruszył jednego centa... a te paręset reńskich... które... już się wydało... poszły w dom... dla was... dla ciebie i twego rodzeństwa...

W istocie dzieci dostały nowe trzewiki, do salonu sprawiono paradną lampę, a ojciec obstalował sobie okazałe futro, niezbędne dla muzyka, udzielającego Lekcyi w zamożnych domach.

Nakoniec wyszło mu w gardle. Widząc przy- tem, że się zaczyna powtarzać, wydobyl z piersi ostatnie wibracje bólu i odprawił grzesznicę rozdzierającym duszę oznajmieniem, iż serce oj

ca odwróciło się od niej na zawsze, poczem, wyczerpany wrażeniami, spożył stojąc kawałek kiełbasy, popił piwem, którego pół butelki zostało za oknem od obiadu, i położył się spać. W kwadrans cały dom chrapał, nawet matka, która gdy mąż odwrócił się do ściany, na chwilę tylko wyskoczyła z pod kołdry, aby się podrapać w swędzące od całodziennego leżenia miejsca i ukrywszy się z głową, jak w namiocie, w białych przestworach koszuli, łowieniu pcheł do światła lampy poświęciła ostatnią minutkę straszego dnia.

Nazajutrz podeszła kobieta, którą wołały do czynu liczne obowiązki gospodarskie, siłą woli dźwignęła się z łóżka i otrząsając zgryzotę, oddała się zwykłym zajęciom. Tylko biała prze paska na czole mężnej mówiła, że przez tę duszę przeleciał wczoraj huragan boleści.

Wnet rzeczy poszły dawnym trybem. Dom napelnił się hałasem dzieci, zrzędzeniem matki i dosadnymi wyrażeniami ojca, który zjawiając się w domu na krótko, zmuszonym był objawiać swą wolę i swój temperament w skondensowanej formie terminów, opuszczanych zazwyczaj przez słowniki. Powietrze jednak zdawało się nieco

Iżeszem. Najstarszym w rodzinie przestała dolegać tajemnica, która w równym stopniu przy-
krą jest niewinnemu, jak winowajcy.

Po kilku dniach, w ciągu których zaprzysiężony sprzymierzeniec Niusi, brat z czwartej
gi- mnazyalnej, odniósł na pocztę w sekrecie parę listów pod adresem Adlera i wrócił z
odpowiedziami poste restante — rodzice poczęli się nawet naradzać, w jakiby sposób
sprawić córce tę suknię, którą wspomniała w wyrzutach matce zrobionych, a która musiała
przyczynić się znacznie do zaostrzenia sprawy. Naraz Niusia znikła. W kapeluszu jednej z
młodszych siostr, w rotundzie matki, ponieważ własne jej suknie były pod kluczem, zniknęła
w najmniej spodziewanej chwili, podczas śniadania, wyszedłszy do kuchni pod pozorem
nabrania z konewki świeżej wody — i nie pokazała się dzień cały.

Gdy naszedł wieczór a jej jeszcze nie było z powrotem, rodziców ogarnął strach. Nie bali
się o dziewczynę, pewni, że nie poszła do rzeki tylko do kochanka, lękali się jednak skandalu
i fatalnego przykładu dla mniejszych dzieci, za młodych jeszcze do wtajemniczenia się w
praktyczne strony życia, którego szczytne teorie
dom i szkoła wpajały w nie dopiero zjednoczo- nymi siłami na chwałę bożą i pożytek społec-
zeństwa. Nie wiedzieli, jak sprawę ukryć, co czynić, by nie nabrała rozgłosu.

Doprowadzony do wściekłości metr fortepianu, którego klientela bardzo była czułą na
skandal, odgrażał się na boku przed żoną z pięściami ściśniętymi w kułak i w groźnej
postawie ogarnionego gniewem atlety:

— Ja temu łotrowi wszystkie kości połamię! — co żona przyjmowała jedynie jako figurę
retoryczną, nieco przesadną wprawdzie, ale na miejscu w ustach zrozpaczonego ojca i odpo-
wiedzialnej głowy rodu.

Tymczasem porucznik od huzarów przysłał list, nadany na dworcu kolejowym.

— Wyjechali! — zawołał mąż. — Wyjechali za granicę!... Przeczytaj, co ten gałgan
pisze!...

I rzucił list żonie.

Baron, nazwany gałganem, tłómaczył się z jaskrawą jasnością. Zapatrując się na kwestię
miłości krańcowo, oświadczał, że: ponieważ kocha Niusię i jest przez nią nawzajem kochany,
to tedy, co oboje czynią, ich samych tylko, z na

tury rzeczy, obchodzi wyłącznie, nikogo więcej. „Wam, moi państwo, tem mniej do tego, że wzięliście odszkodowanie, którego wysokość Pan sam oznaczyłeś”. Za darmo wypłaconem nie zostało. Gdy ktoś stłucze wazon lub rzeźbę i wartość jej zwróci właścicielowi — ma prawo zabrać czerepy. Cnota staje się takim samym towarem jak inne z chwilą kiedy się na nią nakłada cenę.”

— Czy słyszałaś kiedy coś podobnego?!... To łotr!!... Co za cynizm bezwstydnym!... Ale za pozwoleniem mój panie!... Za pięć tysięcy nie sprzedaje się dziecka!... Cóż ją czeka?!... Pobawi się, pobawi dziewczyną i rzuci jak niedopałek papierosa. I co potem?!... Kto ją weźmie?!... Bo przecież rzecz się roznieś. Te pięć tysięcy... cóż one dzisiaj znaczą?!... Zresztą już nie ma ani półpięta...

—Jakto?! Myślałam, żeś wydał co najwyżej ze trzysta?...

—Trzysta było jeszcze tamtego tygodnia... Ha! masz dowód najlepszy, jak pieniądze lecą...

Ogrom zdarzenia pogrzyżył ich w zadumie. „Co tu począć?” — pomrukiwała raz po raz matka tonem myślicielki, stojącej wobec nie zmiernie zawilego problemu, w gruncie rzeczy cała oddana niepokojowi o dalszy los pieniędzy w ręku męża, który „przedzaj by umarł, niż użył z nich dla siebie choćby centa”.

Pomysły jednak rodziły się zawsze w głowie ojca.

— Musisz jechać za nimi! — orzekł nagle po pewnym namyśle.

— Ja?!... Bój się Boga!

— Przecież nie ja!

— Sądziłabym, że właśnie ty, jako mężczyzna... Czyż ja sobie z nim poradzę?...

— Tu nie o niego idzie, lecz o nią.

— Ona nie wróci, żebym tam nie wiedzieć co robiła! Jestem tego pewną.

—Nie o to mi idzie, żeby wracała, bo to nie zmieni bynajmniej na lepsze stanu rzeczy, lecz żeby miała rozum!... Pojmujesz?...

Trzeba ją oświecić, powiedzieć, aby pamiętała o jutrze... Kiedy się już tak zaawanturowała, to niechże na tem nie traci, lecz... no, niech ma z tego jakąś korzyść, do diabła!... On oczywiście dla niej szaleje, jak widać z wszystkiego. Niechże za to przynajmniej ona nie będzie wa- ryatką. Kto wyrzuca ni ztąd ni zowąd pięć ty

sięcy, wyrzuci ich więcej. Ale ta baronowska fantazyja wnet skończyć się może, dopóki więc trwa, Nusia powinna z niej wyciągnąć trwalszy pożytek, nie szukając przelotnej rozkoszy w samym trwonieniu...

— Potrafisz jej to przecież chyba wytłóma- czyć?... nie?... Przecież tu idzie o całą jej karierę na miłość boską, o szczęście!... Nie opuszcza się dziecka w tak decydującej chwili.

— To będę teraz tak mówiła a przedtem mówiłam wprost przeciwnie?!... Jakżeż ja mogę?!..

— Nie bądź też głupią! proszę cię!... Co tutaj ma do rzeczy, jak się przedtem mówiło. Co innego było przedtem, co innego jest teraz. Wszędzie i zawsze mówi się to, co każą okoliczności. Przytem łatwiej tobie z nią mówić, niż mnie. Wy, kobiety, prędzej się zrozumiecie. A wreszcie przestań raz robić te nieszczęśliwe miny. Pakuj się i jedź, skoro tak powiedziałem. Nie przyprowadzaj mnie do pasy!... Czyż wszystko ma być zawsze na mojej głowie? na głowie tego, który i tak od rana do nocy wszystkie swoje siły do ostatniego tchu dla waszego dobra wyteża?!... Więc w niczem ulgi? wyręczenia?!... Doprawdy chwilami cierpliwość mnie

już odbiega. Jeżeli nawet najbliżsi będą mi tylko utrudniać walkę, przyjdzie w końcu człowiekowi żałować, że żyje, że ma dzieci, że się rodziną otoczył!...

Umilkł, matka schyliła głowę, przyznając mu w duszy rację, po chwili zaś zapytała zrezygnowana: o której pociąg odchodzi?

W dwa miesiące potem akt prawomocny uczynił Nusię, bawiącą z Adlerem we Włoszech, właścicielką sumy 10.000, deponowanej w banku na jej imię i do jej wyłącznego rozporządzenia z dojściem do pełnoletności. Między najstarszą córką a rodziną stosunki odzyskały utracone ciepło. Pisywano do siebie często i całowano się wzajemnie w zakończeniach listów nieskończoną ilość razy. Święty głos krwi zwyciężył wszystko.

Sposób na dyabła.

Chwilę już trwała ta gonitwa rozindyczonej wdowy z kijem w rękę za córką po podwórku, zalanem spieką lipca.

Wśród klątw matki, symulowanych ataków i wpędzania na przeszkody, uciekała Zosia z całych sił przed widmem matczynego kija, przeskakując jak koza podwórzowe graty. W tym samym czasie drób domowy z wrzaskiem i rozpostartymi skrzydłami biegał na wsze strony w popłochu i wlatywał wśród tumanów kurzu na wynioślejsze przedmioty, a Burek, pies-stróż, któremu łańcuch nie pozwalał brać upragnionego udziału w tej hecy, targając z niecierpliwością pęta, czekał zajadle na fruujące dokoła spódnice obu kobiet, dla tem większego efektu podwórzowej wojny, co powtarzała się tu parę razy na tydzień ku uciesze całego sąsiedztwa.

Nagle starej udało się dosięgnąć Zośkę końcem kija w plecy.

Podniecona bólem, nie mając gdzie uciec, puściła się dziewczyna prosto ku wysokiej, trochę koszlawej gruszy, rosnącej w środku podwórza, i wdarła się po pochyłym pniu szybko jak wiewiórka pomiędzy konary. Matka, znalazłszy się u stóp drzewa, ujrzała już tylko gołe pięty zbiega, znikające w górze pośród gałęzi, a wymierzony laską raz uderzył z tępym łoskotem w korę gruszy. Przez chwilę stała pod drzewem bezradnie, jak pies, ścigający kota, — zasypując Zośkę groźbami i wymachując wściekle kijem. Nakoniec zrozumiała bezcelowość szturmów i postanowiła wziąć ją obłężeniem.

W tym celu przywlokła sobie pod drzewo zydeł z pod proga domu. Ustawwszy go w cieniu, rzuconym przez gruszę, usiadła, pociągnęła nieznacznie z małej półkwatrkowej flaszeczki, ukrytej zawsze w kieszeni spódnicy, i z kijem u boku, łypiąc niekiedy oczyma między liście, poczęła flegmatycznie robić pończochę.

Burek tymczasem, zasmucony tak rychłym końcem zabawy, popatrzył chwilę wyczekująco na czerwoną twarz swej pani, polem spuścił

głowę posepnie, wlaź w budkę wśród brzęku łańcucha i zdrzemnął się, mrużąc pod nosem. Drób również pozeskakiwał z płotów, z parkanu, wylaził z pod łopuchów i począł na nowo skrętnie szukać żeru wśród trawy, kurzu i śmieci. Brojące w słońcu wróble napępiały dalej radosną wrzawą swego hulaszczego świergotu podwórze, dokoła którego pachły w upale liście i kwiaty, otoczone rojami brzęczących much. Upalne słońce posuwało się nieznacznie na niebie, przenosząc jednocześnie cień gruszy. Ile razy zaś gorący jego promień wspiął się po kaftaniku starej i spiekł ją w szyję, posuwała się natychmiast z zydłem o pół kroku dalej w uciekający cień, nie zapominając zabrać z sobą kija i pociągnąć z flaszeczki.

W zagrodzie wdowiej wiodło się żywot sielankowy. Nieboszczyk mąż jej, śp. Wawrzyniec Koreczek, handlujący końmi w tym jedynym celu, aby mieć za co pić na umór, zapił się był na śmierć, ona zaś, wierna wspomnieniu zmarłego, odchowowała sobie rok rocznie po kilka świń, także nie na co innego, jak na pokrycie kosztów opilstwa. Zresztą wszystko w tym domu było dziełem przypadku lub konieczności. Jedynie dziecko z sześciorga, zabranych przez choroby, pieściło się w porywach dobrego humoru, a poniewierało w gniewie. Wstawało się na pianie koguta, a szło spać o zmroku. Głód zmuszał do niedbałych czynności gospodarskich, a wstyd przed sąsiadami do posługiwania się od czasu do czasu miotłą i mydłem. Resztę robiło słońce. Ono mnożyło drób na podwórku, króliki w stajni, ono pokrywało łąkę trawą, a ogród warzywami i owocem, które potem zabierał za bezcen pierwszy lepszy handlarz, dostarczający na lichwę pieniędzy dla egzekutora podatkowego i drobnych wierzycieli w miasteczku. Jeżeli zaś czasem los nie dopisał lub ludzie dali się we znaki, klęło się ludziom i losowi zjadliwie i posyłało nabożne westchnienia tam, w górę, ku niebu, gdzie kara niechybna czeka każdy występek, a sowita nagroda cnotę.

i ...Kiedy po upływie pewnego czasu nieruchomość, upał i monotonne śpiewanie ciszy letniego południa zaczęło starą snem morzyć, odezwał się nagle z wysokości gruszy głos płaczliwy i pełen skruchy:

— Mamo!... Daruj mi mama... Ja już nie będę...

■r*t|U.

— 177 —

U1

Zosi niewygodnie było siedzieć na twardej gałęzi.

— Zleż z drzewa! — zabrzmiał krótko głos matki, która otrząsała się z drzemki i wyprostowała, wprawiając automatycznie w ruch druty pończochy.

— A daruje mi mama?!...

— Zleż z drzewa! — powtórzyła stara twardo. Oschły ton głosu przypominał, do kogo należy dyktowanie warunków.

Dziewczyna zaskomliła żałośnie, poprawiła się na gałęzi i znów nastąpiła cisza, utkana z brzęku much, gdakania i pisku drobiu i ech miasteczka, splecionych w ciche, usypiające nucenia.

...Naraz przebudził starą krzepki okrzyk:

— Pani Koreczkowa?!... A co pani tak pod tą gruszą wysiaduje jak na warcie?!...

Była to właścicielka domku obok, przyjaciółka Koreczkowej, wdowa po Janie Śledziu, powroźniku, co się przed laty obwiesił na własnoręcznie ukreconym sznurze, przekładając tragiczny zgon samobójcy nad dłuższe pożycie z kobietą, niezdolną pogodzić się z tym faktem smutnym lecz codziennym, że po latach gorącej miłości prędzej czy później w każdym małżeństwie nadejść muszą lata wzajemnego chłodu.

Koreczkowa przetarła oczy i wskazując głową na drzewo, wyrzekła dla objaśnienia:

— Nie widzi to tam pani tej szelmy?

— Kogo ?

, — Zośki.

— Gdzie ?

— Na gruszce.

— I onej pani tak pilnuje pod drzewem ?! Ha! ha! ha!...

Odjąwszy od kołków gołe po łokieć, zbielejące od prania, silne ręce, którymi wspierała się na płocie granicznym, wzięła się niemi pod boki i wybuchnęła na całe gardło tak potężnym śmiechem, aż Burek wypadł z budy i począł gwałtownie szczekać.

Nieprędko ukończyły się rozochoczone fale bujnego biustu, porzuconego przez nieboszczyka Śledzia tak przedwcześnie. Nakoniec sąsiadka Koreczkowej opanowała śmiech i wydusiła przez łzy z trudem:

— Ady Zośki tam dawno nie ma!... Wieszałam bieliznę na stryszku temu ze dwa pacierze, jak zeskakiwała z gałęzi, jeszcze mi na

myśl przyszło: W imię ojca i syna!... a ta dziewczucha za czym po drzewach łązi?!..

— Uciekła przed kijem na gruszę. Chciałam jej kości połamać.

— O Pawła?...

— Juści o tego hycła Pawła.

— Wciągle za nim goni?!... Gałgan dziewczuka.

— Już mi też i ręce naprawdę ustają... Pierę i pierę, a ta nic. Co powinna być lepsza, to jest gorsza.

— Bo tu kij nie poradzi, moja pani!... Tu z dyablem sprawa... Paweł ją musiał urzec... Na takie rzeczy jest inkszy sposób i żebyś pani tylko chciała...

— A która by też matka nie chciała, moja pani !...

Zamieniły kilka głębokich uwag o świętości uczuć i praw rodzicielskich, oraz o wieczystej niewdzięczności dzieci, Koreczkowa z praktyki, sąsiadka, jako bezdzietna, z teorii, — poczem wdowa po Śledziu przyzwała tamtę kiwnięciem palca do siebie, pod płot, w obrastające go pokrzywy, z których w tej samej chwili czarno- żółto-biały kot pstrokaty, podobny do pęku różnokolorowych szmat, dał susa. Cicho i uroczyście, jak się wygłasza niebezpieczne formułki czarnej magii, poczęła stroksanej matce wykładać sposób ratowania od zguby zbląkanego dziecka.

— ...Rozbierz ją pani do gołego ciała, żeby na niej nie było ani niteczki... Potem trzeba ją zapędzić z wieczora, nim spać pójdzie, święconą różgą do chlewa i zamknąć na całą noc ze świniami. Jeżeli do rana nie wywietrzeją dziewczusze z głowy na zawsze wszystkie głupstwa, to ja nie jestem warta tyle, co o! to czarne za paznokciem.

Koreczkowa pogrążyła się w zadumie. Myny i giesta mówiącej podziały na jej imaginację. Sposób sam w sobie podobał się jej także. Miał woń czarów a czary przecież skutkują na wszystko. Czyż nie dlatego właśnie są czarami?..

Tymczasem wdowa po Śledziu, nie poprzestając na wzbudzonej wierze, objaśniała rzecz rozumowo.

• Do grzechu, jak wiadomo, kusi dyabeł. Zamieszkuje on w tym celu dusze zepsute, gdyż jemu tylko tam dobrze, gdzie paskudnie. Lecz paskudniejszym od najgrzeszniejszej duszy ludzkiej jest ciało świni. Więc tedy dyabeł, mając

do wyboru pomiędzy zbłąkanym człowiekiem a jeszcze gorszą od tegoż świnia — przynosi zawsze tę ostatnią. Są to rzeczy znane od dawna i wielokrotnie stwierdzone. Należy więc tylko podsunąć złemu ulubione mieszkanie. Grzesznicę zaś rozebrać trzeba do naga dlatego, gdyż szaty przeszkadzają wyjść dyabłu, który jako zły, jest tem samem uparty i leniwy. Po takiej transfuzji sił nieczystych bies pozostanie nazajutrz w chlewie, Zośka zaś opuści go wyleczona gruntownie z wszelkich zachceń, jakie jej matka i teźże przyjaciółki przechodzić miały przyjemność lat temu dwadzieścia.

I teoria trafiła do przekonania Koreczkowej. Było to proste, łatwe i zupełnie prawdopodobne. Niepokoił ją jednak nieco los nowego medyum dyabła.

— A nie zdechnie świnia od tego broń Boże?... — spytała niespokojnie.

— Coby miała zdychać!... Czy Zośce się to co stało?!

Prawda, że nie. Zdrowiem cieszyła się wy- śmienitem, choć miała dyabła w sobie.

Dlaczego- góźby świnia niżej stać miała od Zośki pod tym względem?...

— Zresztą — co pani szkodzi spróbować, moja pani złociutka?!... Za to ręczę, że świni nic nie będzie. Przecieżbym pani nie narażała na szkodę.

Zapewnienie to zdecydowało Koreczkową. Znała ona sąsiadkę nie od wczoraj i na jej inteligencji i przychylności polegała zupełnie. Ponieważ Zośka nie pokazywała się z powrotem, stara, po obiedzie, samotnie spożytym, skupiwszy się w sobie, przetrawiała i przygotowywała rzecz całe popołudnie.

Skoro przyszedł wieczór, z dojrzałym planem działania w głowie, posprzątała kuchenkę, zamknęła na kłódkę wrota w parkanie, spuściła psa z uwięzi, a drzwi domostwa pozostawiwszy niezaparte, przeniosła około godziny dziewiątej ostentacyjnie płonąca lampkę z kuchni do sypialni i tutaj zgasiła ją na znak, że udaje się na spoczynek. Zaledwie jednak dom zaległa ciemność, powróciła na palcach boso do sionki i z świeconą różgą w dłoni usiadłszy na beczce z kapustą — czekała.

Po upływie kwadransa odezwało się na podwórku radosne szczeknięcie Burka, który natychmiast umilkł, i w drzwiach do sieni, ostro

zną ręką rozwartych, na tle małego prostokąta blado-granatowych niebios, migocących złości-
stemi punkcikami gwiazd, ukazała się Zośka, na palcach stąpając.

Stara, zaczajona w kącie, nie ruszyła się. Aby sobie oszczędzić pracy, pozwoliła córce wejść do kuchni, rozebrać się, wleźć do łóżka, które tam stało. Dopiero, gdy łóżko skrzypnęło, zasunawszy rygiel w drzwiach od sieni wpadła do kuchni, zapaliła lampę i zwróciła się do przelękłej dziewczyny, która wytrzeszczyła na matkę powiększone strachem źrenice.

—Chodź tu! — zawołała rozkazująco.

—Gdzie?

—Tu! do mnie!... Nie bierz spódnicy... no ruszaj się!

Zośka wyskoczyła bosemi stopami na deski podłogi i szła ku starej, wlepiając w nią badawcze i przerażone spojrzenie i podnosząc na ramię opadły rękawek koszuli.

—Zdejm koszulę.

Dziewczyna stanęła jak wryta.

— Na co?... — szepnęła płacząco, drżąc z przerażenia.

— Zdejmuj zaraz! — wrzasnęła stara i podniosła w górę różgę.

Zośka poczęła błagalnie skomlić, wijąc się naprzód na myśl o czekających ją plagach.

Lecz widok wzniesionej różgi pozbawił ją sił do oporu.

Zdjęła więc koszulę na pół nieprzytomnie, a białe, krągłe ciało zabłysło w świetle lampy.

Wtedy matka postąpiła ku niej i chwytając ją zniemacka za nasadę warkocza, prowadziła ku drzwiom jak konia za grzywę, wołając:

— Ruszaj do chlewa... Będziesz spać ze świniami... ty świnio przebrzydła!

Dziewczyna postawiła się w pierwszej chwili, wrzeszcząc: „Co się mamy znowu chwytą?!...” Lecz różga jak pęk cienkich nożyków poczęła ją kasać raz za razem po ramieniu, boku i biodrze. Syknawszy z bólu, zwinęła się pod tym piekącym deszczem struchlała, oniemiała, i pozwoliła się pchać matce za włosy ulegle, pewna, że stara zwaryowała.

Na dworze panowało łagodne ciepło letniej nocy i nagość niczem nie dała jej się uczuć, tylko oczy jej uderzył odrysowany na ziemi

księżycowym światłem profil jej piersi i ręka matki, wlokąca ją jak bydlę.

Naraz znalazła się przed niskimi drzwiczkami chlewa, poczuła smród gnoju i usłyszała twarde chrząkanie świń i chrzęst słomy pod ich ciężkimi, opasłymi cielskimi.

Przerażona myślą spędzenia tu nocy, złożyła ręce i ukląkłszy, poczęła błagać z łkaniem: — Mamo!... zlituj się mama!* Ale matka, wyrwawszy tymczasem kolek, otworzyła drzwiczki i wepchnęła ją przemocą, poczem drzwi się zatrzasły a Zośka znalazła się w ciasnocie i zaduchu chlewa. Zanim zdołała odezwać się, trzask drzwi od domu odebrał jej wszelką nadzieję. Matka nie mogła już nawet słyszeć jej wołania.

Dziewczynę ogarnęła rozpacz, zmieszana z trwogą i wstrętem. Przepędzenie nocy w gnoju, wśród tych obrzydłych, pochrząkujących i sapiących zwierząt, wydało jej się czemś bez granic strasznym i obrzydliwym. Sądziła, że w żaden sposób nie zdoła tutaj żywa do rana wytrzymać, że się dusi. Potem jednak przyszło jej na myśl coś strasniejszego, coś daleko strasniejszego: że ją świnię zjedzą.

W nagłym porywie buntu poczęła wrzeszczeć na cały głos i bić pięściami w drzwiczki. Wnet jednak zrozumiała swą bezsilność. Zwyciężona wcisnęła się w kącik, i łamiąc ręce, poczęła szlochać żałośnie, pewna, że ostatnia jej godzina nadejdzie lada chwilę.

Naraz załaskotało ją coś w łydkę poniżej kolana, coś ciepłego i wilgotnego. Był to ryj świni, znęconej wonią jej ciała. Wzdrygnąwszy się, odskoczyła w bok i nadeptała na drugą świnię, rozwaloną w barłogu, która przebudzona, gniewnym kwikiem zaprotestowała przeciwko zakłócaniu swego spoczynku. Wówczas, macając w ciemnościach rękoma na chybił trafił, napotkała w kącie utkwioną pomiędzy belkowaniem obu ścianek żerdkę, na której kury siadały, gdy chlewik stał próżno. Wskoczyła na nią i usiadła. Uspokojona cokolwiek, czując się tu bezpieczniejszą, poczęła myśleć.

Z pierwszego, nierozumującego przerażenia, jakim ją przejął postępek matki, wydobywało się coraz jaśniej poczucie doznanej krzywdy. Coraz silniej jątrzyła ją zniewaga, której nie była zdolną całkowicie pojąć, lecz której okrucieństwo i ohydę odczuwała tem żywiej. Cóż

uczyniła tak złego?... Że się schodziła z Pawłem, z tym dobrym i ślicznym chłopcem, który całował ją i pieścił, nazywając najczulej, podczas kiedy matka w domu poszturkiwała ją tylko, przeklinała od rana do nocy i lżyła?... To przecież nie jest nic złego. Wszystkie dziewczęta mają narzeczonych i kochanków. Miewają ich nawet mężatki. Te ostatnie źle robią, powinny pilnować mężów. Ale dziewczyna? Czyż ma uciekać od tego, który do niej wyciąga ręce z słonecznym uśmiechem miłości i do którego rwie się jej serce?...

Wspomniała teraz całą rozkosz, całą bezgraniczną słodycz schadzek z Pawłem w gąszczach krzewów nad rzeką, wśród bujnych traw, ubarwionych polnemi kwiatami, gdzie pachły zioła, kołysały się złociste badyle, woda szeleściła połyskując jak srebro, ptak skrzydłem łopotał, gdzie tylko motyl ukazał się czasem nad ich głowami, zjadającymi sobie wzajem rozkochane usta, albo brodaty łebek kozy, żującej w wąz- kim pyszczku młode liście, zajrzał ciekawymi oczyma, co robią, od strony ścieżki i cofał się dyskretnie. Dlaczego uciekała tam z domu tak chętnie?.. Bo jej w nim było źle, a tam było tak dobrze!

Pragnęła teraz uciec gdzieś na zawsze. Żałowała, że nie uczyniła tego dawno. Znienawidziła matkę za jej srogość, za jej zupełny, niepojęty brak serca, za to nieustanne piekło kłótni i bójk, jakim było od dawna jej życie z matką.

Wtem usłyszała dziwny głos — pisk, robiący wrażenie muzyki.

Była to w rzeczy samej muzyka. Sąsiad z drugiej strony domu, organista Kukułka, wygrywał księżycowi wieczorną serenadę na klawirze! Stary hulaka co wieczór, skoro zwierzęta i ludzie pośpili się, obrażał uroczystość nocy bulgotem swego instrumentu, na którym z nie- słabnącem zamięłowaniem kaleczył zawsze tę samą po tysiąc razy melodyę jakiejś sentymentalnej piosnki, na której odgłos, jak na dany sygnał, złaziły się do jego domu błędzące za zarobkiem hultajki.

Zosia teraz dopiero przypomniała sobie, że chlewik ma okienko, otwór wielkości dłoni w ścianie vis-&-vis Kukułki. Zbliżyła twarz do otworu i wyrzała. Rozwarte okno organisty oblane było pełnym światłem księżyca, na oknie siedział w spodniach i kamizelce, z nogami wy-

wieszonemi na zewnątrz, Kukułka i nadymając potwornie policzki, dręczył i ranił bez litości czarodziejską ciszę, zalegającą powietrze, fałszywie wyciąganymi wysokimi nutami refrenu.

Kukułka umizgał się do niej od dawna, jak zresztą do każdej kobiety. Mrugał na nią i zaczepiał ją wypróbowanymi dwuznacznikami, strojąc przytem miny zakochanego satyra. Wiedział wprawdzie, że Zośka jest kąskiem nie na jego stare zęby, ale rachował na sposobność! Dlatego też protegował potroszę jej miłośćkę z Pawłem, wiedząc z doświadczenia, że pierwszy kochanek toruje drogę następnym.

A gdyby go zawołać — pomyślała — wypuściłby ją!

Lecz była naga.

Brrr... zaczynała to czuć coraz żywiej. Robiło się chłodno. Lekkie i zimne skrzydło dreszczu musnęło parę razy jej ciało niemile.

Mimo obawy i wstydu, które ją wstrzymywały — lękając się, aby Kukułka nie przestał wreszcie grać i nie zniknął — zawołała nań po nazwisku.

Wyjął koniec klarnetu z pod wąsów i obejrzał się zdziwiony. Powtórzyła wołanie.

— Kto tam? — odezwał się, nie mogąc się zorientować, skąd i czyj głos go dochodzi.

— To ja, Zośka...

Poruszył się i zsunął w trawę z okna.

— Panna Zosia?... a gdzie paniusia jest?

— Tutaj-, w chlewku...

— W chlewku?... o tym czasie? A co tam panna Zosia robi?

— Mama mię tu zamkła.

— Mama?!... Wiecie ludzie!... A to na co?..

— Za karę.

— Pewnie za Pawła?

i — A za Pawła.

t — Wiecie ludzie!...

— Wypuści mnie pan ztąd?... Mój panie Kukułka!...

Płot zatrzeszczał, dał się słyszeć chrobot spiesznie wyjmowanego kołka i drzwi się uchylały, rozwarte ręką kochliwego organisty.

— Czemuż panna Zosia nie wychodzi? — szepnął po chwili czekania.

— Nie mogę przy panie... Niech pan odejdzie

„ — Dłaczego?

— Nie jestem ubrana.

—Phi! Wielkie rzeczy... Noc! To nie będzie widać...

—Właśnie że będzie.

—Cóż panna Zosia ma na sobie?

—Nic.

—Jakto „nic”?

—Ano nic.

—Całkiem nic?

—Całkiem.

—Nie może być!

—Jak bożię Kocham.

—Wiecie ludzie!... A to jakim sposobem?

—Mama mnie tak zagnała.

—Nie może być!

—Jak bożię Kocham.

—Wiecie ludzie!...

Umilkł na pół zdumiony, na pół uradowany przygodą dziewczyny, a nadewszystko jej negliżem, który w wysokim stopniu pobudzał jego imaginację artysty i Donzuana.

—Kiedy tak — rzekł po chwili — to jato ja... odejdę... pójdę do siebie, nie będę patrzył, jak panna Zosia do domu wróci...

Równocześnie szukał na okół oczyma ukrycia, z którego by ją mógł ile możności jak naj — 192 —

dokładniej widzieć, niezmiernie ucieszony cze< kającą go uczcią.

Lecz Zosia odrzekła:

— Ja tak nie chcę.

— A jak paniusia chce?

— Ja nie mogę, nie pójdę do naszego domu...

— Tylko gdzie?

— Gdziebądź, aby nie tam.

— Nie mająca na sobie niteczki?!... A do- kądże panna Zosia po nocy pójdzie w takim ubraniu?...

Miała na ustach propozycję, wahała się jednak wyrzec ją, niepewna, co usłyszy.

Po chwilce dopiero zdołała wybełkotać:

— Musi mnie pan Kukułka wziąć do siebie.

— Do siebie?!... — wyrzekł osłupiały wobec żądania, przechodzącego sny jego najśmielsze.

— Nie żartuje panna Zosia?

— Cobym miała żartować. i — Wiecie ludzie...

— Przysięgam sobie, że więcej do domu nie wrócę. Ciagle kije i wyzwiska... Już mam tego za dużo. Nigdzie mi gorzej nie będzie... Ucieknę. Jak mnie pan Kukułka do siebie nie

■ntjkl.

— 193 —

1S

weźmie, to polecę, jak jestem, do rzeki i utopię się.

— Alei wezmę! wezmę!... Jeszczebym też nie miał wziąć, ja, co pannę Zosię tak lubię...

— Idźże pan, tylko prędko, i przynieś mi swój płaszcz, ten długi..

— Zaraz przyniosę — zapewniał ochoczo, w drgawkach lekkiej, rozkosznej febry, jaką stwarza wielka, bojąca się zawodu, radość.

— Ale panna Zosia zostanie u mnie do jutra? bo gdyby tak ludzie ujrzeli...

— Rozumie się, że zostanę... Musi mi pan przecie dać jakie ubranie?...

— Dam... dam... postaram się...

— I najmie mi pan okazyć, żebym mogła dojechać do kolei?... -

— Dobrze, najmę...

— I na kolej mi pan pożyczycy?...

— Pożyczę, czemu nie.

— No to pan idź już, bo mi zimno.

— Lecę...

— Cicho! żeby Burek nie zaszczekał.

Burek był bardzo daleko w polach, od czego dziury w płocie!

Kukułka porwał się ku domowi co prędzej — ale wrócił. — Przewrotność nakazywała zamknąć Zosię napowrót. A nużby się rozmyśliła i zamiast czekać wyslizgnęła się do siebie?... Takiej rybki nie należy wypuszczać z sieci!...

Lecz zapodział mu się gdzieś kołek. W braku kołka, porwany sprawą, przetknął skubel u drzwiczek spiczastym munsztukiem klarnetu i znikł.

W pół minuty przelażł płot powtórnie, z płaszczem na ręce, otworzył chlewek, podał płaszcz do wnętrza, skąd prawie zaraz wysunęła się otulona weń szczelnie postać. Podpierając ją troskliwie, pomógł jej przebyć płot, nad którym błysnęła biała toczona łydka dziewczyny i znikli w cieniach domu, ścigani melancholijnym uśmiechem tłustej, rozlanej twarzy księżycy.

W drzwiach chlewka, zostawionych otworem w pośpiechu, ukazał się różowy ryj i zarechotał, węsząc. Po chwili wysunął się łeb o małych ślepkach i uszach obwisłych, dalej brzuch pękaty jak fasa, za nim drugi i obie świny wytoczyły się z wolna na podwórko, przebyły je wolnym krokiem i utonęły w ogrodzie warzywnym. Jakże tam pachło na grządkach!...

Pogrzeb.

Pogrzeb Teresy Pukło w Opłotkach odbył się w połowie jesieni z całym aparatem żałobnych ceremonij, za których pomocą żywi urozmaicać sobie zwykli szarą jednostajność codziennych rozrywek i zajęć. Deszcz wszakże i wichur odjął tradycyjną pompę wruszającemu aktowi zakopywania trupa.

Zabłocono się straszliwie, pokapano odzież stearyną, ponabawiano się katarów, a mowa proboszcza, zwanego w okolicy złotoustym, stworzona przy biurku, w dzień pogodny, wygłoszona z pod parasola, bez skrótów, zrobiła niebywałe fiasko. Złotousty kaznodzieja nietylko że nazwany został tym razem marnym gderą, ale jeszcze złośliwsi z słuchaczy na cały głos szukać poczęli drażliwego związku pomiędzy kadzidlakowym charakterem jego nieskończonych okresów a wysokością legatu, zostawionego przez zmarłą na kościół. Nie da się zaprzeczyć — mówili, kichając, najskrajniejsi czy też najbardziej przemokli, że rubryka pogrzebów z powodu świetnego stanu zdrowotności w Opłotkach przynosi parafii niewiele — ależ skoro się proboszczowi nareszcie jeden pogrzeb trafił, nie wynika z tego bynajmniej, by tak odrazu przygotowywać sobie miał na nim następne.

Gdy dusze, zatrute pesymizmem, usiłowały w ten niski sposób zachwiać kredyt kapłana (więc i kościoła w ogóle) — wśród zdrowej, umiarkowanej, pogodnie i trzeźwo rzeczy biorącej większości dawały się słyszeć żarty:

— Kto się przeziębł, brać na poty i pod pierzynę, nie obgadywać księży.

Deszcz i apetyt wnet rozproszyły gromadkę.

Osierocona jedynaczka tymczasem, wsparta na ramieniu kuzyna, w łzach cała, szła do pustego domu, pojąc się pierwszą, gryzącą goryczą świeżej żałoby, którą mrok, chlupot ulewy i wilgotne zimno powietrza, szarpanego wichrami, powiększały bez końca.

Cios tem był dotkliwszy, że niespodziany.

Nie wiedziała bowiem o niczem, zerwawszy z rodziną wszelkie stosunki po tajemnym opuszczeniu domu matki, wdowy, przed kilku miesiącami. Otrzymany wczoraj telegram jak grom w nią uderzył. Zaledwie znalazła czas i siły do zajęcia się czarną sukienką i kapeluszem.

Roztopiała się teraz w bolących łzach zgryzoty, która kąsała bez litości jej słabe i czułe serce, jej główkę ładną ale głupiutką.

Po za tłumem opłótczan kuzyn Kubuś, pisarz miejscowego sądu, był tym, który stawiając mężnie czoło opinii, wsparł swem ramieniem wykolejoną w kalwaryjskiej drodze na cmentarz, z takim współczuciem, jak gdyby nie miał prawa żywić do niej żalu odepchniętego i zdradzonego wielbiciela. Była mu wdzięczną bez granic. Niczego się bardziej, spiesząc na pogrzeb, nie bała, jak tej hańbiącej pustki, którą dawni znajomi piętnować zechcą upadłą. Przyjaźnie wyciągnięta dłoń tego chłopca uGzyniła Rózię ślepą na jego ospą podziurawioną twarz, jego zezowate oczy i nos zadarty straszliwie. Wydał jej się najmiłszym z ludzi, istotą drogą i bliską, w tej ciężkiej chwili bólu.

Zaraz po przybyciu do domu wyjęknęła też z pod pełnej łez chustki pokornie, żałośnie i cicho:

— Kubusiu ?... — bojąc się, aby nie odszedł.

Stał przy oknie w niepewnej pozie czekania na sposobność, zapatrzony w krople brudnej wody, ciekące na ziemię posepnie, niby łzy, z jego przemokłych spodni i kapelusza, i — Co?

— Jesteś bardzo dobry.

Mruknął:

— EL. — i westchnął.

— Jak Bożę kocham!

— Rózia przecie wie, jak ja jej życzę.

Więc trwał w swych uczuciach dla niej?

Nowem pytaniem zaprzątnięta, ponowiła nieśmiało, lekkomyślnie i nieroztropnie:

— Kubusiu ?

— Co?...

— ...Czy mama... — och jakże jej to trudno przyszło wypowiedzieć! — Czy mama... wiedziała ?...

Nie odrazu dał odpowiedź.

— Wiedziała — rzekł nisko, krótko, prawie surowo.

Wiedziała o jej grzechuO rozpaczy!...

Zaniosła się tak gwałtownym łkaniem, że pospieszył co żywo, aby ją uspokoić. Doznał przy tem sam dziwnej słodyczy, głaszcząc jej kaszmirowy rękawek, pod którym pełne, ciepłe ramię drgało nerwowo a kilka jej łez gorących, stoczywszy mu się na rękę, napęłniły go rozkoszą. Rózia tymczasem szlochała rozpaczliwie, że nie wie, co teraz pocznie, że ją ludzie ukamienują I...

— Ciekawym za co? — zaoponował.

— Przecież Kubuś wie...

— No tak, ja wiem, ale ludzie nie wiedzą.

— A skądże się mama dowiedziała, jak nie od ludzi?

— O tem wiedziała tylko jedna osoba.

— Kto?

— Ja...

— Kubuś?!

— Tak jest.

— I to Kubuś może mamie powiedział?!...

— Żeby cię wzięła i nawróciła na dobrą drogę.

— Cóż Kubuś najlepszego zrobił I... To ją zabiło!... Umarła przezemnie !...

— Ale zkad! Ciocia umarła względem żo

ładka, nie względem Rózi. Ja przecież wiem najlepiej.

W samej rzeczy przyczyną zgonu nieboszczki nie były zmartwienia lecz błąd dyetetyczny. Napiwszy się po czemś tłustem zimnego piwa, dostała zapalenia kiszek i zgasła.

Ale dziewczyna nie odrazu zdołała pogodzić się z rzeczywistością tak mało tragiczną.

— Tak Kubusiowi mówić wypada... żeby mnie nie martwić... Czyby po mnie nie była napisała, żeby nie była na zabój rozżalona?...

Nie miała już na to czasu ni przytomności. Tyle tylko, że zrobiła testament.

— Pewnie mnie wydziedziczyła... O! słusznie !...

— Właśnie, że nie wydziedziczyła Rózi.

— O moja matko!

— Tylko postawiła jeden warunek... Musi Rózia wyjść za mąż... Mówiła, że to jedno ochroni Rózię od zguby.

Więc ciągle myślała o jej dobrze!

— O moja matko!

Nie czując się jednak godną, odrzuciła tę deskę ratunku. Za mąż? Nigdy! Mój Boże! i za kogo?... A któżby ją zechciał!

Zaskoczony tern pytaniem, rzuconem przez szlochającą sierotę jak sonda, przelknął ślinkę i z drżeniem lekkiej obawy, zupełnie naturalnej u wielbiciela raz już odpalonego, wyszeptał:

— Za mnie... Tak stoi w testamencie...

Podniosła nań oczy i spuściła je.

— Przecież mama musiała wiedzieć, że Kubuś nie zechce...

— Ciocia wiedziała, że ja Rózię Kocham i... Sama mi powiedziała: „Musisz się z nią ożenić. Nikt nie wie, co się działo, tylko ty, a ty jej, chłopczyno, przebacysz”.

— O moja matko!

I nowy potok płaczu.

Gdy wreszcie zmęczonej tą nadprodukcją łez zaczęło braknąć sił do łkania, a dyablik przesady nie pozwalał przecież chustki odjąć od twarzy — naraz, aby się utrzymać na wysokości sytuacji, wykrzyknęła tragicznie:

— ja się utopię!...

Kuzyn poruszył się zgorszony. Zaczął jej przekładać nieroztropność tej myśli, uroki życia, kreślić nader pochlebny obraz swych uczuć i szczęścia, jakim ją obdarzy.

Słuchała a jednocześnie rzucała ukradkowe spojrzenia na dziobatą twarz i nosk mopsi, zadarty amanta, jak gdyby uderzeniem pięści nakierowany ku niebu raz na zawsze. Ach! był szkaradny! — Lecz odtrącając go, naraził schedę i opinię swoją zda na łaskę jego mściwości.

Po długich prośbach bąknęła w końcu z przymusem:

— Ha no zobaczę. Ale w takim razie nie wiem teraz sama, co zrobić z jedną rzeczą...

— Z czymże?

— Muszę odjechać...

— Co?!

— Nie na długo... Obiecałam...

Zaczerwienił się i zawołał:

— Jemuś obiecała!! — nacierając otwarcie, jak człowiek zagrożony, by ją znaglić do zostania. — To nie jest żaden mus. Takiej obietnicy się nie dotrzymuje, chyba że chce się tego koniecznie!...

— Kiedy bo Kubuś nie wie... — Ta osoba tu czeka...

— Tu?... Gdzie?...

— Na kolei.

— Zkądże się tu wziął? !...

— Przyjechał.

— Pilnować cię! Bał się, że nie wrócisz! Możeś mu co winna?

— Ależ nie...

— To pięknie!!

Zgrzytnął zębami i nastroiwszy marsa, zaczął biegać po pokoju, rozwścieklony temi szczegółami, nadającymi jej grzechowi drastyczną plastykę żywego, o pięć minut drogi czekającego na nią i na jej usta, tytułem praw zdobytych, kochanka.

Nie mogąc zapanować nad sobą, wyrzucił z pasyą, jak obelgę:

— To ten porucznik!

— Nie... — wygadała się z zmieszania i lęku.

Ach! przypomniał sobie. Wszak po poruczniku — który ją uwiódł — miała się ukazywać z malarzem.

— To ten malarz!... — poprawił ze wzgardą i podniósł groźnie pięść w stronę, w której przeczuwał malarza.

— Ależ nie — zaprzeczyła, zaniepokojona o artystę, który był ładnym i dobrym chłopcem. — Inżynier...

Inżynier?... Co za inżynier?... Więc żaden z tamtych dwóch, tylko ktoś inny?... trzeci?... Do diabła! Iluż ich było nareszcie! Obelżywy wyraz cisnął mu się na usta, czuł szaloną ochotę rzucić się na tę bezwstydnicę, która tarzała się w błocie, kiedy on o nią walczył z takim mozołem, i zbić ją, zbić na kwaśne jabłko!... Jej twarz różowa, zapłakana, jak świeży kwiat jaśniejąca wśród kuru sukni, ozłocona obłokiem puszystych włosów, promieniejąca wszystkimi pokusami jej płci i wieku, rozbroiła go. Kiedy w dodatku pomyślał o schedzie...

...Kubuś był młodym człowiekiem z ambycją, jednym z tych, co przez życie kroczą z hasłem: „excelsior!” Nie życzył on sobie wcale pozostać do śmierci marnym pisarczyną w sądzie obwodowym. Pragnął czegoś więcej. Chciał zająć wyższe, wybitniejsze stanowisko, znaleźć się na wierzchu, na czele, być właścicielem domu, mieć pieniądze, robić interesa, wybierać radnych, sam radnym, może burmistrzem kiedyś zostać, używać, przodować, błyszczeć!... Należał do duchów silnych, do tych, którzy „znają życie” i nie dadzą się lada błahostce, skrupułom naiwnego marzycielstwa zepchnąć z wytrwałej drogi do celu, lecz kroczą śmiało u boku najszanowniejszych okazów starszej, znajdującej się u

steru generacji, aby sobie najpierw pozyskać jej łaski a potem wstąpić w jej ślady godnie...

Więc... jeden kochanek, czy trzech — mój Boże! przecież to w końcu wszystko jedno. Dość, że nie żaden! Odpowie ona za to po ślubie...

Wyprostował się, obciągnął na sobie surdut energicznym ruchem i:

— Nie możesz iść do niego! — wyrzekł z siłą nowego władcy, obejmującego kierunek nad wypadkami.

Zaniepokojona poczęła przedstawiać:

— Będzie mnie szukał!... Będzie łąził po mieście... pytał się ludzi... rozgada...

Hm — miała rację.

— To ja do niego pójdę — i ruszył się z miejsca, jakby do wyjścia. — Powiem mu, żeby nie czekał... że zostajesz... że wszystko skończone.

— Czy uwierzy?!

— Musi!

— Spyta się: co ci do tego?

— Powiem, że jestem... twoim bratem.

— Wie, że nie mam brata.

— To powiem, że jestem narzeczonym i koniec. A gdyby się chciał stawiać....!

Zadrżała, przestraszywszy się awantury. Opuścić wczorajszego kochanka, ponieważ tak kazała okoliczności — mój Boże! przecież to zwykła kolej rzeczy. Ale narażać go na kłopot?... Nie!., Za co zresztą?... Tak złą, niewdzięczną i zmienną nie była. Zbyt dobre miała serce. Przez nie upadła przecież.

Poczęła go zaklinać, aby panował nad sobą i zachował się z godnością. Kontent z jej uległego tonu, zawołał:

— Siadaj i pisz! — i dyktował:

„Szanowny Panie! Familia mnie zatrzymuje—
zostaje — proszę nie czekać. Róża”.

Drżącymi palcami złożył ćwiartkę. Już miał odejść, kiedy na progu przypomniała mu się ważna kwestya.

— Jakże on wygląda?... bom gotów jeszcze list oddać dyabeł wie komu...

Prawda! Jak można było zapomnieć o tem!

Pełnemi żywościami giestami szkicując w powietrzu sylwetkę mężczyzny, zapłakany głuptasek począł opisywać spieszenie, wyraziście i bez ładu: krój, barwę wszystkich części ubrania, rysy, cerę, kształt

wąsów, kolor oczu, układ włosów, kołnierzyk, krawat, szpilkę w krawacie, kapelusz, laskę, o- buwie, rękawiczki, wszystko, wszyściutko, z dro- biazgowością zażyłej przyjaciółki, nie opuszczając żadnego szczegółu...

Lecz Kubuś nie czekał końca. Zacisnął zęby, trzasnął drzwiami, aż szyby dźwiękły i wybiegł pędem.

Propaganda czystości.

¹ — Nie myślę — paplał Antek z wesołą ironią niepoprawnego pustaka — nikogo z was demoralizować ani gorszyć. Nie mam również zamiaru wykpiwać znanych fantazj obyczajowych Bjórnsona i Tołstoja, o których treść przygoda moja zlekka, niby skrzydłem płochego motyla o spiżowy posąg chimery potrąca. Bo i po co?... Czyż miłość słuchała kiedykolwiek czegoś więcej oprócz słowicznych śpiewów i bicia młodych serc ?... Figlarny łucznik złotowłosej równie mało sobie robi z piór nawet genialnych jak i z kropideł całego świata. Tylko boska śmierć i jej brutalna siostrzyca, starość, zdolne są wytrącać berło wszechwładnemu poganinowi, nie umniejszając jednak ani na włos jego słodkiej tyranii w olbrzymim świecie młodych.

...Było to w zimie, u samego zenitu mroźnej zimy i szalonego karnawału. Tańczyłem owego roku wiele i pewnego wieczora zapotrzebowałem na dzień następny na gwałt fraka, oddanego krawcowi właśnie do odprasowania.

Aby go mieć na czas, zapiąłem się szczelnie w paltot, naciągnąłem czapkę na uszy, wsunąłem ręce w kieszenie i puściłem się na drugi koniec miasta przez mróz siarczysty, który ścisnął mi nos, szczypał w policzki, wbijał się w całe ciało tysiącem lodowatych igiełek i wstecz zaganiał, do pieca, do łóżka, przed tą wyprawą milową w godzinie snu wszystkich ludzi rozsądnych. Lecz czemuż jest w dwudziestym roku życia zdrowa noc w ciepłej, miękkiej pościeli wobec widoków kilkogodzinnego męczenia anemicznych panien waryackimi skokami wszystkich tańców w ciasnocie i zaduchu jakiegoś małego mieszkanca, w którym swąd taniej kolacyi mięsza się z kakofonią starego fortepianu?!...

Kiedym, na wskrós przeziębły, stanął u celu, brama domu już była zamknięta. Odszukuję rękojeść dzwonka i pociągam za nią z energią człowieka dygocącego z zimna, zaklinając w duszy stróża, aby otwierał bez zwłoki. Nim to nastąpi, poczynam tupać nogami w bruk z całej siły.

Wtem słyszę z tyłu, od strony ulicy, uprzejme:

— Za pozwoleniem pana...

Odwracam się — trzy męzkie postacie, trzech podstarzałych ichmościów stoi tuż za mną. U- chylili czapek. Najbliższy, wysoki, wygolony, chudy, z ogromnym jezuickim nosem, wystrzelającym pomiędzy szkiełkami okularów nakształt dzioba, i z długim, nagim karkiem, wysuwającym się z kołnierza futra jak naga szyja kondora z kołnierza z piór, zbliża się i rzecze w tonie przyjaznej prośby:

— Nie chodź pan tam...

Wystrzeszczyłem oczy, nie mogąc pojąć żądania.

— Dokąd?

— Do tego domu...

— Dlaczego?

— Prosimy pana...

W jego głosie był słodki, łagodny nacisk, tamci zaś dwaj, jeden z gęstą jak bór brodą, drugi z ogromnym, teatralnym brzuchem, schowani w swe futra, zakapturzeni czapkami wsu-

niętami na uszy, jak postacie z sensacyjnych romansów, poparli go maskaradowemi głosami czule:

— Prosimy bardzo...

Wyteżywszy całą przytomność, starałem się zorientować. Czego oni chcą?... Na figlarzy wydawali się za starzy, za przyzwoicie ubrani, za trzeźwi. Na tajnych agentów za dobroduszni. Więc co to znaczy?...

Oświadczyłem po chwili swobodnie:

— Ten powód mi nie wystarcza.

Kondor przystąpił wówczas do mnie i kładąc delikatnie rękę na moim rękawie, wyrzekł z u- czuciem:

— Nie wystarcza panu, że trzech poważni, siwowłosi ludzie, z których każdy mógłby być twoim ojcem, proszą, abyś zaniechał swego zamiaru ?-

— Naturalnie, że nie! Mam w tym domu interes...

— „Interes” !... — powtórzyli w fałszywym akordzie wszyscy trzech jak echo. Kondor zaś, spojrzawszy na mnie łzawo z ojcowskim wyrzutem, dodał ciepłym tonem matki:

— Nie zasłaniaj się pan interesem... My

przecież znamy tego rodzaju interesa... Wiek pański dostatecznie to objaśnia... Niechże pańska nieszczerłość, szlachetnym podyktowana wstydem, sama otworzy ci oczy i poprzez w twem sercu prośbę starych, przychylnych, choć obcych ludzi, którzy ojcowskim głosem radzą: nie chodź tam!...

Byłem wściekle zaintrygowany, lecz byłem i zmarznięty. Moja imaginacja zaczynała pracować, zapędzając się w setki domysłów, lecz zimno paraliżowało jej lot. Chcąc wyjść jak najprędzej z głupiej sytuacji, zawołałem w końcu z energią:

— Przeciwnie! pójdę panie i to niezwłocznie.

To rzekłszy, wyciągnąłem rękę do dzwonka, bo brama nie otwarła się dotąd.

Ale jegomość z długim nosem i karkiem zastąpił mi drogę, wygłaszając jak z ambony:

— Młodzieńcze! Nie rób nam ani sobie tej krzywdy ! Czyż my nie chcemy pańskiego dobra

— Czyście panowie powaryowali?! Co to za żarty?!... Dość już tych głupstw! Proszę nie zastępować mi drogi.

Przemowa ta, wypowiedziana z werwą,

uczyniła wrażenie. Zauważyłem, że właściciel dużej brody zrobił w kierunku posiadacza wielkiego brzucha taki giest głową, jakby chciał powiedzieć: „a to uparta bestya!” albo „to dopiero grzesznik zatwardziały !* Inaczej jednak zachował się przywódca tria. Ten pochwycił mnie w objęcia i począł całować jak kochankę, wśród zaklęć, abym ocenił ich życzliwość i poświęcenie, tak pieszczotliwych, że zacząłem go posądzać o pewną przewrotność instynktów... „Czyliż nie wzruszą — mówił — twego świeżego serca starcy, którzy wśród wichrów i zamieci spieszą wstrzymywać młodzież nad brzegiem strasznej przepaści?... Nie wspominaj pan po raz drugi o krawcu. Tak wszyscy mówicie, szyld służy wam za pretekst...” A potem zaczął mi pleść o ojcu, matce, o moich „przyszłych dziatkach” i jednocześnie napychać mi kieszenie wydobywanymi z pod futra broszurami, które miały mi resztę jego myśli i uczuć dopowiedzieć-

Ale mnie już tego było za wiele. Skoczyłem do dzwonka i szarpnąłem za gałkę z taką siłą, jakby była uchem niedbałego stróża domu.

Wówczas wszyscy trzej rzucili się na mnie. Myślałem, że chcą ze mnie zedrzeć palto f
Już

— 214 —

miałem wołać ratunku. Im jednak nie o palto szło ale o moją duszę, którą uparli się ocalić od zguby niechybnej, a także o ciało, zagrożone nią również.

Wtem klucz zgrzytnął w zamku, brama rozwarła się szeroko, a z otworu wylał się na ulicę blask lampy i gwar kobiecych głosów, przed którymi trzej ichmoście pierzchli w jednej sekundzie jak ćmy pierzchają przed dniem.

Ujrzałem w sieni za progiem kilka kobiecych twarzy o dużych, nienaturalnie błyszczących oczach, o mocno czerwonych ustach, cerze dziwnej świeżości i trefionych grzywkach. Poubierane były nader krótko i nader kolorowo. Śmiejąc się krzykliwie, witały mnie poufale, niby starego znajomego, wołały, abym wszedł i zagrzał się. Głos starszy, altowy, zagłuszył inne:

— To znowu te stare waryaty!... Jak matkę kocham, muszę ja przecież raz z tem koniec zrobić...

I nagle znalazłem się w sieni, gdzie pochwyciło mnie za ręce, za paltot, za szyję, pięć czy sześć mniej lub więcej młodych i kształtnych ale bardzo serdecznych ramion, jak gdybym niespodzianie wpadł w sam środek grona nie-

— 215 —

zmiernie wesołych i przychylnych mi siostrzyczek. Oszołomiony przyjęciem, równajacem się owacyi, anim się spostrzegł, jak zaciągnęły mnie w tryumfie niby łup wojenny wysokiej wartości do drzwi w głębi sieni, po za którymi ukazał się apartament, pełen takich samych jak one jaskrawych i narzucających się mebli i obrazów.

Uczułem się zażenowanym i onieśmielonym, przestąpiwszy podobny próg po raz pierwszy w życiu. Do owej chwili bowiem hołdowałem przesądowi, że pocałunek dyletantki naprawdę wart jest coś więcej od pieszczot upoważnionych szafarek miłości. Lecz ciepło pieca i ciepło personelu podziałały na moje skostniałe ciało i umysł wzburzony tak ujmująco, że przemogłem zmieszanie i niesmak, i wdawszy się z kobietkami w gawędę, począłem je rozpytywać ciekawie, co to wszystko znaczy? kto są ci starzy panowie? czego chcieli odemnie? etc.

Starsza niewiasta, pełna powagi i tuszy, uciszając krzyki, zabrała głos:

— A to, uważa pan, trzech takich starych osłów, którzy mają kiepsko w głowie i odmawiają mi gości przed domem...

— Jakto?... dlaczego ?...

Dziewczęta poczęły jedna przez drugą pleść głupstwa i śmiać się z nich do rozpuku.

...Dlatego, bo im zazdrość... Dlatego, bo sami żonom nie mogą się opędzić... Dlatego, bo ich nie chcemy... — wołały — i wiele, wiele innych rzeczy, których nie mam doprawdy odwagi powtarzać.

Przełożona uciszyła powtórnie wrzaskliwe stadko.

— Niby to, że się młodzież psuje, dlatego — objaśniła mnie. — Jakie to głupie, proszę pana. Bo przecież to jak świat światem było i będzie zawsze. No nie?... Bzikują po prostu stare pryki i nic więcej. Albo ich też ktoś podmawia, żeby mi na złość robili. Czy pan wie, że mi umyślnie popsuli dzwonek u bramy?... Ale i mnie się cierpliwości przeberze. Ja ich zaskarżę! A cóż to? Ja z kawiarni płacę podatek, mnie dziewczęta zarywają, ja sobie nie pozwolę byle komu psuć interesu! Każdy żyć potrzebuje !...

— Ależ szanowna pani! — perswadowałem. — Pani się myli! Pani ich obwinia niesłusznie. Zamiast skarżyć — powinna pani owszem dać tym panom jakiś procent, bo oni działają dla

pani dobra... Ja na przykład nie byłbym wcale zjawił się w tym... salonie, gdyby nie oni...

— A przecież pan dzwonił do bramy?!

— Ale przyszedłem do krawca, tego na pierwszym piętrze, nie wiedząc wcale, że na parterze... znajdę tak miłe towarzystwo.

— A ci starzy myśleli- Ha! ha! ha!... To heca!...

Nie posiadały się z radości, śmiały się, klaskały w ręce i zdawały się wszystkie sześć mieć ochotę rzucić się w me objęcia, nie czyniąc tego dlatego jedynie, by mi zostawić wolny wybór.

Tymczasem przełożona poczęła mnie uga- szczać.

— Cóż pan pozwoli ? — wyrzekła uprzejmym tonem gościnniej gospodyni. — Kawy czy herbaty dla rozgrzania?... Jest świeża babka...

Podziękowałem bez namysłu za kawę, herbatę i babkę, o co się nikt nie obraził. Natomiast wskazałem palcem w sposób objawiający żywą sympatyę na przytuloną do pieca małą, pulchną, z gęstymi jak wełna włosami blondynkę, która założywszy w tył ręce, uderzała raz po raz

w kafle krzyżami, nie dlatego oczywiście, by chciała piec rozwalić — i zapytałem:

— Jak tej małej grzesznicy na imię?

Pytanie wywarło efekt chustki, rzuconej przez baszę.

— Lola — odparła gospodyni uroczyście, poczem zaprosiła mnie w głąb apartamentu majestatycznym ruchem całego korpusu, który wydymał się jak balon przed wzlotem pod pokrowcem wiotkiego, perkalowego szlafroka. Równocześnie pięć pozostałych piękności, które aż dotąd zdawały się tracić głowy dla mnie, odwróciło się obojętnie, prawie z urazą, przy- czem na obliczach ich, promieniejących ciepłem przed chwilą, rozpostarły się nagle martwe, gipsowe, apatyczne maski.

Przejęło to lekkim bólem zawodu moją miłość własną, lecz Lola rzuciła - mi się nagle na szyję z tak doskonale udanym zapalem, że ból ten uśmierzony został zupełnie.

— Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Nie może być!

Zadała się. Czyliż wygląda tak staro ? Musiałem ją przeprosić, najpierw dla oka, lecz

wkrótce potem szczerze, zdobywszy dowody niezbite.

— Wiesz co? przeczytajmy którą z tych książeczek !... — wpadło mi do głowy po wyczerpaniu pierwszych żartów, na jakich zbudowaliśmy prawie w mgnieniu oka naszą przyjaźń, — i wydobyłem wciśnięte mi na ulicy broszury.

— Dobrze, uśmiejemy się.

Śmiałyśmy się do rozpuku, przerzucając surowy traktat moralny, przyczem trzymaliśmy się naturalnie za szyję i łamali jego przepisy co kartka. Inaczej jednak nie dałoby się go doczytać do końca. Najważniejszą rzeczą, jakiej się z niego dowiedziałem, było, że jest to publicy- kacya „Towarzystwa propagandy czystości” w myśl teoryj Bjórnsa i Tołstoja, i że przedstawicielom tego to towarzystwa mam do zawdzięczenia wszystko, co się ze mną działo owej długiej, grzesznej, zimowej nocy.

IHHH

WSBBEFiyg' v j

1

WdoWiec.

Trzy miesiące temu utracił Fabian kobietę, od lat ośmnastu dzielącą z nim ciche i jednostajne życie małego kapitalisty w ładnym domeczku z ogrodem na przedmieściu. Żałobne wypustki u kołnierzy surdutów już mu się przy- brukały, znajomi przestali go zapytywać o znaczenie krepy na kapeluszu, natomiast coraz częściej wieszowano mu doskonałego wyglądu, co oblewało go za każdym razem różową łuną radości, nic bowiem na świecie większej przyjemności sprawić mu nie mogło nad dowiedzenie się, że tyje, że ludzie zwracają uwagę na jego podbródki i brzuch.

Fabian był komiczną figurką. Z głową bez karku, osadzoną na bakier, z jednym ramieniem wyszmem, z kiskowatym tułowiem, który za

okrągłał z przodu starannie pielęgnowany brzuszek, jak bąbel, na kobiecych, wykrzywionych do środka nogach, przypominających rysunkiem nogi baranie, miał twarz tłustą, świecąca, głu- powato zadowolona, o silnie owczym typie, w której każdym rysie powtarzały się łuki baraniej fizygnomii: w nozdrzach, ustach, uszach, podbródku, poduszkowatych policzkach i brodzie z dołkiem.

Nie potrzebując pracować, za głupi, by zajmować się czemkolwiek prócz siebie, za brutalny, by o cokolwiek prócz siebie dbać, leniwy ten tłuścioch bez celu w życiu, żył biernymi rozkoszami domowej kuchni, kawiarnianej lektury, spacerów po mieście, grzebania motyką w grządkach i rzadkich, umiarkowanych pieszczot miłosnych flegmatycznego sobka, mającego przede wszystkim swe zdrowie i swój spokój na względzie.

Jeżeli gatunek ludzki wydaje czasem indywidua, podobne do dzikich kóz, spinających się nieustraszenie na szczyty lub orłów śmiało szybujących nad przepaścią, to Fabian najpodobniejszym był do cichej, spokojnej, dobrodusznej świnki, której po za pełnem korytem i chłodną kałużą nic więcej do szczęścia nie potrzeba.

Co rano polewała go Władzia wodą z blaszanej koneweczki, według metody Kneippa, wycierała starannie zgrzebne płótnem, ubierała, podsuwała śniadanie, wkładała papierosa, zapalonego już, do ust, podawała kapelusz i laskę, a po całodziennem otaczaniu go najtroskliwszą pieczą, otulała wieczorem do snu w kołdrę. Kiedy chciał usiąść, położyć się, musiała mu ustępować krzesel, kanapy, kiedy siedzieli przy jedzeniu, gospodarował w jej szklance i talerzu, jak w swoim. Tak było rok za rokiem. Nie doświadczywszy trosk, nie wzleciawszy nigdy samodzielnie myślą ponad prozę materyalnych wygod, tył i uśmiechał się z zawsze tymsamym humorem sytego głupca, który aprobejuje wszystko na ślepo, obawiając się tylko trzech rzeczy: socyalistów, krachu i wojny — ale w którym widok policyanta z służbowym półksiężycem i wojska, wracającego z musztry, rozprasza te obawy zupełnie.

Pierwszy to raz od lat ośmnastu choroba i śmierć Władzi obarczyła go trochę silniejszych wzruszeń, nie zaprzatając bynajmniej jego serca,

które pod pokładami tłuszczu jedynie dla niego było — burząc jedynie na kilka tygodni ukochaną monotonię regularnego trybu życia, godzin snu, jadła, spacerów i kąpieli. Skoro jednak z mieszkania wywietrzył zapach lekarstw i katafalku, i zatarł się ubytek jednej osoby, Fabian uczuł się niebawem szczęśliwym jak dawniej, nawet szczęśliwszym.

Bądź co bądź kobieta ta, nie kochana wcale, bo czyliż on był zdolnym kogoś kochać? — sprzykrzyła mu się porządnie. Nie uznając nigdy w nienasyceniu swego samolubstwa pożytków, jakie z niej miał, uważał zawsze skrycie za ciężar tę wierną niewolnicę, którą za tysiące jej psich usług i drobnych poświęceń konkubiny, daremnie spekulującej na ślub, trzeba jednak było ubierać, karmić i traktować przynajmniej jak żonę, nie zrobiwszy jej nią oficjalnie dla tem większej nad nią przewagi. Z jej śmiercią doznał uczucia, jak gdyby nie tracił, lecz zyskiwał; jakby odbierał jakieś zabierane sobie dobro, część swego domu, ogródka i spiżarni, kawał swego czasu i swej wolności, zagarniane dotąd przez drugą, nieodstępną osobę; jakby już odtąd niczem nie potrzebował się dzielić, z nikim liczyć, jak gdyby wszystko swoje miał na przyszłość posiadać, wszystkiego używać sam jeden! bez podziału!... Co za szczęście!

Lecz przed miesiącem zaszedł fakt niespodziany. Marcysia, sługa, będąca w ich domu od lat siedmiu, od dziecka, pocałowawszy go uroczyście w rękę jednego wieczora, czerwona i zmięszana, poprosiła ze drżeniem, by ją uwolnił z obowiązku.

Ubawiony niespodzianką, rozśmiał się i zawołał:

P — Oszalałaś? Czyż ci tu u mnie źle, czy co?... Skąd ci to strzeliło do głowy?!...

A kiedy nie będąc w stanie wykrztusić odpowiedzi, stała onieśmielona, ze spuszczonej oczyma, dodał pobłażliwie:

— Idź no idź, nie dziwacz — i odprowadził ją do kuchni.

Po jej odejściu rozśmiał się raz jeszcze sam do siebie i mruknawszy: „zgłupiała” — zapomniał o tem w pięć minut

Ale po upływie dni kilku dziewczyna ponowiła śmieiej prośbę, a choć ją zburczał tym razem, zjawiała się z nią niebawem ponownie,

powtarzając raz po raz w kółko swe żądanie w pewnych odstępach czasu, bez względu na jego gniew, śmiechy, perswazyje, obietnice, jak gdyby od powziętego zamiaru nic odwieść jej nie mogło. Najbardziej go jednak drażniło, że skoro zapytał o powód, stawała cała w pąsach i słowa z niej niepodobna było wydobyć.

Co u licha!... Zirytowany zagadkowym uporem, oświadczył z udaną stanowczością, że jej nie puści, ponieważ mu jest potrzebna i basta.

W gruncie rzeczy jednak był w strachu. Jeżeli ta oślica wytrwa w swem niepojętem postanowieniu — co począć? Wydała mu się bowiem teraz, kiedy zagrożony jej utratą dopiero spostrzegł jej istnienie i wartość — nieocenioną!... I miałyby odejść? miałyby ją postradać?!... Ależ to przewrót formalny! to katastrofa!... Jak bez niej się obejść? Kto ją zastąpi?

Był to filar gospodarstwa, nieoceniona sługa ze szkoły jego Władzi, kobiety, która żyła spizarnią i kuchnią. Patrzyła ona lata całe, jak
O niego dbano, znała na wskrós jego gusta
I zwyczaję, potrzeby i słabostki, lepiej niż on sam, oddający im się bezwiednie; wzrosła w atmosferze kultu dla niego i przejęła się nim.

Postradać ją—znaczyło: stracić wszystkie dobre i miłe strony życia a znaleźć się w nieznanych, wrogich...

Nowa sługa!... brr... sama myśl o tem przerażała go. Wpuszczać do domu obcą zupełnie istotę, której nie znał, która nie zasługuje może na jego zaufanie, śledzić ją, strzedz, studyować, uczyć, wtajemniczać w święte reguły swego życia, tresować i urabiać z mudnie to zwierzę, które może nie nada się do tresury lub odpłaci zdradą, a potem szukać na nowo innej i przechodzić to samo po raz wtóry, trzeci, dziesiąty?... Ależ to się równa zburzeniu całego spokoju, zatruciu reszty swych dni, zamianie regularnego i cichego porządku żywota na awanturniczą egzystencję bez jutra!...

Nie !... Marcysi niepodobna z rąk wypuszczać!

I postanowił zatrzymać ją jak rzecz, jak niewolnika, jak swoją własność, tytułem lat posiadania i używania, tytułem tego, że mu się tak podobało, do stu dyabłów!...

Wtem, przycisnąwszy ją do muru, zdołał nakoniec wydobyć tajemnicę jej prośby: oto... służąc u bezdzietnego wdowca, Marcysia lękała się narazić na szwank swą sławę...

Jakże się uśmieł!...

— A niechże cię nie znam!... Toś sobie dopiero miała co przybierać do głowy!!... Ale czemuż mi tego od razu nie powiedziała!... Ja myślałem, że niewiedzieć co... A to głuptas dziewczyna.

Teraz oczywiście da się sprawę załatwić paru żartami.

I wyłożył jej tonem przyjaznym i przystępnie, że o swoją reputację może być zupełnie spokojną. Nie przystoi?... Głupstwo. A to czemu? Kto ma czyste sumienie, powinien drwić z plotek.

Odkrycie to jednak stawiło mu pierwszy raz w życiu przed oczy jej płeć...

Więc odczuwała bliskość mężczyzny?... jego bliskość!... Hm, a on nie zwrócił na nią dotąd uwagi, choć była, jak to spostrzegł teraz — i młodą i miłą.

— Za często ją miałem przed oczyma.

Zresztą nie był kochliwy. Władzia wystarczała mu zupełnie, nie budząc w nim wprawdzie nigdy zapału, ale też nie pozostawiając przesytu. Naraz uczynił zdumiewające spostrzeżenie: od jej śmierci dobiegał już drugi miesiąc!... Tak jest, drugi miesiąc!...

Usłyszawszy w tej chwili skrzyknięcie drzwi kuchni, przysunął się do okna i zerknął na podwórze. Marcysia wyszła z konewkami po wodę do studni. Naciskając z siłą pompę, kołysała lekko i elastycznie wyprężonym ciałem, którego bujne mięśnie rzeźbiły się wyraziście poprzez cienką i wiotką powłokę perkalików...

Bardzo przyjemne wzruszenie załaskotało go na ten widok w skórę od karku po grzbiecie i naraz wyskoczyły z jego ślimaczych myśli płochy pytania motyla: co się właściwie dzieć może w duszy dziewczyny?... Czy niepokoi ją jego bliskość, czy drażni chłód? A może ona tego właśnie chce, czego udaje, że się lęka?... Gdyby ją tak zbałamucić?... co?L. Byłby to chyba najpewniejszy sposób zatrzymania jej i przykucia do siebie raz na zawsze a przytem jakież przyjemny!... Na wspomnienie rumianych policzków Marcysi i jej piersi dziewiczych zatrzymanie jej u siebie wydało mu się najświętszą powinnością dbałego o swą opinię i dobrobyt mężczyzny.

Lecz jak się wziąć do tego?!... Zbałamucić dziewczynę... niełatwe przedsięwzięcie! Nigdy w życiu nie dokazał tej sztuki, nie necony am-

bicyą także i w tym kierunku. Popsuty natręctwem kokotek, w dwudziestym drugim roku życia wpadł w ręce młodej wdówki, której tłuściutki i spokojny młokos wydał się ideałem po starym, niedołącznym i zapitym mężu, więc zatrzymała go przez lat ośmnaście siłą swej wiernej służby, sprzymierzoną z jego lenistwem i brakiem smaku. — Zbalamucić dziewczynę... Wiedział on w końcu teoretycznie, jak się to, mniej więcej, robi — ale wykonać?... To było stanowczo za trudne, za nużące dla jego niezdolności do czynu, w którą popadł, wiodąc byt bez troski, jak drób, karmiony sztucznie, popada w niezdolność szukania sobie zera. Obmyślając mozolnie misterne plany, których nie wykonywał z braku odwagi, zręczności lub okazji — zaatakował nagle cnotę dziewczyny tak niezgrabnie i nie w porę, że popsuł od razu całą sprawę.

Wybuchnąwszy gwałtownym płaczem znieważonej niewinności, załkała żałośnie:

— Widzi pan?!... Nie mówiłam?!... Teraz mnie pan już musi puścić, żeby tam nie wiem co!... Za nic w świecie nie zostałabym dłużej jak do pierwszego...

— 230 —

Był bardziej, niż ona zaczepką, zawstydzony fiaskiem. Dziewczyna była uczciwą, nie miała żadnych grzesznych rachub — teraz wszystko przepadło!...

Przez dwa dni nie śmiał jej w oczy spojrzeć, chował się przed nią jak złoczyńca i łamał głowę, jak zażegnać fatalne następstwa swej niezręczności. Do pierwszego pozostawały zaledwie dwa tygodnie!... Po pierwszym miał zostać sam, bezradny jak paralityk, którego wózek porzucono na środku drogi...

Uczuł niezbędność energicznego działania. Ponieważ figlami nie nie wskóra, nie mając do tego talentu ni wprawy, należy więc przemówić do rozsądku dziewczyny.

Przywoławszy ją do siebie, oświadczył, że powinna zapomnieć o wszystkim, co zaszło, i zastanowić się dobrze nad tem, co jej uczynić wypada. Wszak tyle lat było im dobrze razem — dlaczegóż nie mieliby pozostać z sobą nadal... jedno obok drugiego... we dwoje ?...

— Przyjmę ci kobietę do posług i będziesz sobie jak nieboszczka pani...

Była to formalna propozycja małżeństwa na lewą rękę.

— 231 —

Ale Marcysia nie chciała o niczem słyszeć. Z zadziwiającą niewzruszonością zasad i wszel- kiemi oznakami niekłamanego wstrętu odtrąciła zgorszona ofertę. Daremnie misterną argumen- tacją starał się zbić jej skrupuły, powoływał się na swój przykładowy stosunek z nieboszczką, zapewniał, że to się bardzo często zdarza, że temu nikt się nie dziwi, a tylko głupcy się tem gorszą, że doła, jaką jej ofiarował, w niejednej budzić będzie zazdrość. Wszystko, co mówił, uważała za nową tylko rację do opuszczenia jego domu jak najprędzej.

Co tu robić ? Co robić ?... Za tydzień więc odejdzie! opuści go i ta druga, osieroci tym razem naprawdę...

Zachowanie dziewczyny było jednak w dalszym ciągu nienaganne. Żadnych dąsów, żadnego lekceważenia najdrobniejszej z powinności. Z wzorową precyzją długoletniej rutyny uwijała się niezmiernie po kuchni, domu i ogródku, lekka, zwinna i uśmiechnięta, podsuwająca mu najulubieńsze przysmaczki, ciągle zajęta myślą o swym panu i jego wygodkach, przepasana zawsze świeżym fartuszkim, czysta, pachnąca młodością i rumiana, dziwnie smaczna z obna- żonemi po łokcie jędrnymi łapkami młodej, zdrowej gospośki. Zdawaćby się mogło, że daje z umysłu koncert swych nieocenionych zalet w oczach ciężko strapionego słuźbodawcy, w którego duszy robiło się żalobnie na myśl, że niedługo będzie musiał utracić ten skarb, pozostawiony mu w spuściznie przez zmarłą, która ją odnalazła, odchowała, wykształciła i u- robiwszy na jego użytek, gdy dzieło było skończonem, odeszła, jak gdyby spiesząc ustąpić miejsca godniejszej...

Wówczas jałowy mózg Fabiana zdobył się na pomysł gienialny.

— A więc dobrze L. — rzekł jej — ożenię się z tobą, kiedy tak... Oddawna miałem to na myśli, chciałem cię tylko wybadać... Ponieważ widzę, że jesteś naprawdę uczciwą dziewczyną, przekonam cię, jak dobrze ci życzyłem...

I po raz drugi, śmielej tym razem, począł się do niej umizgać, d conto przyszłego związku.

Ale dziewczyna miała z swej strony równie gienialne natchnienie, jedno z tych natchnień zwykłego kobiecego instynktu, jakie niektórym biedaczkom pomagają czasem robić tak zwane świetne partye. Nie dała się złapać na podstęp.

Czyż nie słyszała tyle razy, przez drzwi od kuchni, zmarłej, daremnie usiłującej lata całe wyzbrać od wyrachowanego egoisty ślub, ten wymarzony, najwyższy awans kobiety-gęsi, który urzędownie stwierdza tryumf jej płci i zabezpiecza egzystencję.

— Do stu dyabłów! — obruszył się Fabian w duszy na jej opór — ależ nie ożenię się z nią przecież naprawdę I... Służąca I... własna służąca I... Marcyanna Ząbek moją żoną I... PhiL. Tego by tylko brakowało i...

I wydał się sobie naraz zbyt wysoko urodzonym do podobnego mezaliansu, zagrożonym w opinii, wystawionym na śmiech, wzgardę i szyderstwo, zdegradowanym towarzysko i społecznie, zdyskredytowanym intelektualnie i moralnie, gdyby coś podobnego uczynił. Nie! nie! Raczej całe życie cierpieć wszelkiego rodzaju przykrości i niewygody, niżeli tak nisko upaść!

A jednak kawusia i herbatka, podana ręką Marcysi!... Jej zupki, rosoly, jarzyny, pieczyste!... Jej leguminki L. Rozkoszny ład, jaki utrzymywała dokoła!... Błogie niebo sytości i wygod, w jakie umiała zakląć dom ta dwudziestoletnia rumiana i jędrna czarodziejka, nie umiejąca wprowadzić

— 234 —

pisać i chodząca w pstrokatej chustce na głowie, ale jaka mistrzyni w gotowaniu!... Jaka mistrzyni !

I odtrącając „głupie” przesady, nad które zawsze umiał się wznieść, kiedy mu szło o brzuch — postanowił w końcu po długiej walce ożenić się z nią naprawdę, przekonany, że zrobi złoty interes, jeśli przykuje do siebie na zawsze tę istotę prostą, uczciwą, potulną, pracowitą, która bez granic będzie mu wdzięczną za świetny los, jakim ją w swej wspaniałomyślności w nagrodę cnót jej obdarzył raczył, jji Krok taki wydał mu się nawet teraz, po |przebytej walce, skoro się z nim już pogodził, na wskrós nowoczesnym, demokratycznym, liberalnym. Pomyślał że na coś podobnego nie każdy zdobyćby się potrafił, że potrzeba było tutaj mieć duszę śmiałą, wolną, a umysł rewolucyjny. Zdumiony ilością odkrytych naraz w sobie zalet — ogromnie z siebie i swego czynu był kontent.

W pół roku po ślubie oboje małżonkowie zmienili się do niepoznania. Marcysia, zrzuciwszy kwiecistą spódniczkę sługi, stała się zupełnie

— 235 —

inną kobietą. Utyła, nabrała rezonu i pańskiej buty i trzęsła domem, gdy tymczasem on zmierzniał, spokojniał i z absolutnego pana i władcy stał się potulnym wykonawcą rozkazów kobiety, która z po za cebrzyka i balii przypatrując się jego pożyciu z inną, odgadła, w jaki sposób do mężczyzny brać się potrzeba.

Co rano polewa dzisiaj Fabian swą żonkę świeżą, orzeźwiająco wodą z blaszanej koneweczki, według metody Kneippa, poczem obrzuca ją płaszczem z grubego płótna, wyciera starannie jak łaźiebna, pomaga ubrać się, nadskakuje na wyścigi z nową służącą przy śniadaniu, z promiennym uśmiechem szczęśliwca i komiczną czułością zakochanego orangutana mozolnie ubiegając się o najmniejszy objaw jej łaski — on!... którego tutaj czczono!... przed którym zmiatano prochy, który był niegdyś w tym domu przedmiotem religijnego niemal nabożeństwa, jak brzuchate bożki bałwochwalców.

Rozżalony.

— Stój! Dokąd tak pędzisz?... Jaki zachmurzony?!... Siadaj-no... Co ci jest?

v — Szukam świadka.

— Żenisz się? procesujesz?...

— Nie. Pojedynkuję.

— Do dyabła!... Wyzwany?...

— Wyzywam. : — Kogo?

. — Karola.

— Karola?!...

— Karola.

— Niepodobna.

— Daję słowo.

— Najserdeczniejszego z przyjaciół wczoraj jeszcze!...

— Jeszcze dziś rano.

— Cóż się stało?...

— Czy zechcesz mi sekundować?

— Hm... to zależy od sprawy...

— A prawda. Posłuchaj zatem. Masz rację. Karol był rzeczywiście najserdeczniejszym z moich przyjaciół...

— Tak wszyscy myśleliśmy...

— Ja sam tak myślałem. Takim się ufa?...

— Hm... tylko takim...

— We wszystkim?

— Hm... naturalnie.

— I ja byłem tego zdania, tymczasem... Posłuchaj.

...Pół roku temu siedzę sam jeden u siebie w domu, uwięziony straszliwym deszczem. Siedzę i nudzę się. Myślę sobie: jakby to dobrze było mieć jakiś stały stosunek, lekki, miły, dyskretny, jak to bywają w powieściach francuskich, z kobietą, z którą lub u której można spędzać takie szkaradne dni i zamieniać je w piękne. Wzdychałem oddawna do takiej znajomki... gotów byłem nawet sporo na nią... wydać... Ale ja nie mam szczęścia!... Karol je ma. Zwierzałem mu się nieraz z moim marzeniem.

...Jakby je teraz podsłuchał — drzwi nagle otwierają się i wchodzi strugami wody oblane dwie osoby: on — i kobieta.

...Nie znałem jej. Była młoda, ładna, trochę zakłopotana, bardzo przyzwoita, ubrana skromnie ale z szykiem. Bardzo miła

...Karol przedstawia mnie — jej imienia nie wymieniając. Nie wiem, co o tem myśleć.

...Poprosiłem ich siadać, trochę zmieszany, trochę zdziwiony — ale nie zanadto. Karol w towarzystwie ładnej kobietki — cóż w tem dziwnego!... Jego się z innymi nie widuje. Począłem bąkać, że... bardzom rad... że, nie wiem, czemu mam do zawdzięczenia... aby coś z nich wydobyć. Lecz Karol jakby udawał, że mnie nie rozumie. Zresztą ulewa tłómaczyła ich do pewnego stopnia: byli bez parasoli, deszcz dał mi to miłe najście...

..JBardzo miłe!... Nieznajoma zachowywała się bez zarzutu, z iekkiem onieśmieleniem, zresztą... ot, urodziwa mieszczańeczka... średnia ilość powierzchownej ogłady i dużo sztuki podobańsja się. Ogromnie miła! Pochłaniałem ją oczyma i w ogóle od jej wejścia zdawało mi się, jakby... Wiesz przecie, co z nami robi widok ładnej kobiety. Karol zaś był dla niej pełen respektu.

...Naraz wstał i z słowami:

„Pani pozwoli, że przyprowadzę dorózkę?...” — wyszedł.

...Zostajemy sami... Na mnie buchają ognie!

...Lecz zawiązuję na gwałt rozmowę, aby wyzyskać kilkuminutowe sam na sam. To mnie uczyniło wymownym a nawet dowcipnym... Ożywiła się stopniowo, rozśmiała się parę razy, usiadła swobodniej i zaczynamy się powoli bawić.

...Tymczasem deszcz ustał — a karetki nie widać. Minęła godzina, zrobiło się ciemno a Karol nie wraca — i ona, powstawszy, chce iść, mimo mych próśb, żeby została... skoro już jest tutaj... Nie mogąc nic wskórać:

„Odprowadzę panią” — zaproponowałem.

...Nie przystała.

„Ale będę miał szczęście jeszcze raz panią zobaczyć?...”

...Prosiłem bardzo czule i po pewnym targu zdołałem z jej ust wydobyć dosyć niewyraźne przyrzeczenie schadzki, przyzwoitej schadzki w samo południe, w pryncypalnym punkcie ogrodu miejskiego. Ściskając jej rękę przy pożegnaniu, starałem się dać jej poznać spojrzeniem, miną, postawą, że jestem podbity. Sposób, w jaki się odzwajemniła, nie przyrzekał niczego, lecz nie odbierał nadziei. To było dla mnie wy- starczającym na pierwszy raz.

...Oszołomiony, uradowany, zaintrygowany, cały wieczór rozbijałem się za Karolem, aby go wybadać. Nie zdołałem go złapać aż nazajutrz. Uśmiechnął się tajemniczo, może trochę ironicznie, na moje zapytanie i nie dał mi żadnej określonej odpowiedzi.

„Masz z nią schadzkę?” — zapytał tonem twierdzenia, jak inkwizytor.

„Wyparłem się.

„Więc miałeś?”

„I to nie.

„W takim razie staraj się ją uzyskać, skoro ci się tak podobała.”

„A czy zdołam ?...”

„To zależy zawsze od starającego się.”

„Ba! gdybym nie był pechowcem!”

„Trzeba umieć drwić z pechu.”

...Wtedy wyznałem mu z dumą, że otrzymałem rzeczywiście schadzki, nie chciałem jednak korzystać z niej, nie wybadawszy wprawdzie, czy on nie będzie mieć coś przeciwko temu.

■ratykl.

— 241 —

„Dziwny skrupuł!” — zauważył i zdaje mi się, że się przy tem uśmiechnął po raz drugi.

...Uspokojony, począłem go rozpytywać, kto jest ta kobieta? Odpowiedzi jego były niedbałe, żartobliwe iub wymijające. Mogłem tylko domyślić się, że jest najprawdopodobniej wdówką.. albo rozwódką... albo dziewczyną, która, jak to mówią, zapomniała się co tylko... Zresztą nie powiedział tego wprost — rozłakomił mię jednak do najwyższego stopnia...

„Powiedz mi przynajmniej, gdzie mieszka?”

„Wszak masz się z nią widzieć, powinna ci to sama powiedzieć”.

...Nie powiedziała. Dowiedziałem się natomiast wielu innych rzeczy przy tem spotkaniu w dzień jasny, w potopie słońca. Była bardzo świeżą i wcale łaskawą.

...Po jednym jeszcze platonicznem spotkaniu została, prawie niespodzianie, moją kochanką u mnie w domu, w największym sekrecie, w bardzo przyzwoity, szlachetny, estetyczny sposób, który mnie oczarował, napełniając bezgraniczną rozkoszą ziszczonych nadziei.

...Miałem więc nareszcie przyzwoitą kochankę!... młodą, ładną, bezinteresowną, ani za chudą ani za tłustą, tak jak w francuskich powieściach, zupełnie w moim guście!... Zdawało mi się, że mnie kocha, że będzie, że już zaczyna mnie kochać — co do mnie, zadurzyłem się w niej po uszy.

...Trwało to całą wiosnę, całe lato. Spotykaliśmy się głównie u mnie w domu, bo postawiła taki warunek. Tylko nazwiska swego i mieszkania wzbraniała się powiedzieć, w taki jednak uroczy sposób, który rozbrajał moją ciekawość.

...Czyż nie jest zresztą obojętnem, na której z stu ulic mieszka i jakie z tysiąca nazwisk nosi?— skoro dwa razy w tygodniu składa mi niewątpliwe dowody, że kocha mnie tak, jak żadna nie kochała mnie przed nią?!...

...Robiliśmy także wycieczki za miasto, do lasu i na wieś w towarzystwie Karola, który patrząc na nasze karesy robił trochę protekcyjne miny jak człowiek, co czuje się sprawcą cudzego szczęścia. Podejrzewałem go naturalnie mocno, że je po nim dziedziczy, nie martwiłem się tem jednak. Taki poprzednik!... byłem dumny z poprzednika i z spadku.

...Wobec niej Karol był zawsze pełen taktu, traktował ją z wyszukaną uprzejmością i całował

w rękę. Uparcie tylko milczał. Lecz raz, rozdrażniony tajemniczością, jaką ją otaczał, zdołałem z niego wydobyć jej adres. Wyrzucił go z ust opryskliwie, jakby myślał: „masz czegoś chciał”. Przez chwilę zdawało mi się, że czeka na moją odpowiedź i że mnie obserwuje. Nie doczekawszy się niczego, dodał:

„Ale nie chodź tam”.

„Dlaczego?”

„Zrobisz jej przykrość i sobie”.

„Sobie?!...”

„No tak — skoro zobaczysz, jak to zostanie przez nią przyjętem”.

...To mi wystarczyło. Nie chciałem robić przykrości jej ani sobie. Zresztą od chwili, kiedy mogłem pójść, zdobywszy adres, straciłem do pójścia ochotę.

...Stosunek nasz trwał w niezmiennej sile. Przywiązałem się do niej tak, że przestałem zwracać uwagę na inne kobiety. Mając ogromnie dużo do walczenia z jej oporem, ile razy próbowałem dać wyraz mej wdzięczności w formie najdyskretniejszego choćby podarunku — a nakazywały to jej skromne toalety — zacząłem myśleć o trwalszym zabezpieczeniu jej bytu, a za

łożeniu dla niej sklepiku lub pracowni, bo coraz częściej nawiedzającą mnie pokusę urządzenia sobie życia we dwójkę odpędzała straszliwie przykra myśl o kochanku, jakiego musiała mieć przedemną...

...Tymczasem nagle dzisiaj napadła mnie ni stąd ni zowąd piekielna ochota zobaczenia się z nią, chociaż nie umówiliśmy się wcale. Pisać? — nie znałem jej nazwiska. Pójść do niej!...

...Walczyłem z sobą cały wieczór — w końcu poszedłem! tak jest, popełniłem to szaleństwo, a raczej... Czy ja wiem!... Dość, że poszedłem...

...I co tu dużo gadać: wiesz, dlaczego Karol i ona tak niewzruszenie przemilczali jej adres i nazwisko?... jest kokotką! mieszka w pensjonacie!... Zobaczyłem ją na własne oczy podającą palto jakiemuś kantorowiczowi, ubraną — o ile się tak wyrazić wolno — w najgłębszy negliż.

— I cóżeś uczynił?

— Wrzasnąłem na całe gardło jakieś bardzo obrzydliwe przekleństwo i uderzywszy z wściekłości laską aż pękła w drzwi, które mi zatrzęsnęła przed nosem ze wstydu czy strachu — uciekłem... Biegnę wprost stamtąd... Szukam Karola... a raczej unikam go, aby się na niego nie

rzucić!... Widzisz przecie, że muszę go wyzwąć!... Czemu nic nie mówisz?... Ty się śmiejesz?...

— Ależ tak! do pioruna!...

— Nie myślisz go chyba bronić?

— Ani obwiniać.

— Oszalałeś?...

— Bynajmniej.

— Więc bierzesz jego stronę?

— I to nie, patrzę tylko na wypadek z zimną krwią, której tobie brak.

— Ba! to całkiem naturalne...

— Ale niepotrzebne.

— Mam się może śmiać, cieszyć?

— Z ust mi to wyjąłeś. Powinieneś się bawić wyborym figlem.

— Proszę cię, nie żartuj!

— Ależ ja nie żartuję!... Zastanów się tylko, co robisz... Spłatanu ci psikusa — wielkie rzeczy! i komuż się to nie zdarza!... Lecz co na tem straciłeś? — pytam. Nic! — zyskałeś raczej. Przez pół roku za cenę kilku podarunków miałeś przyjemne złudzenie, że kochasz t. zw. kobietę uczciwą — które inni z równym prawem miewają całe życie, płacąc za swą łatwowierność swojemi dochodami, swoją pracą, swoim nazwiskiem. Kochanka twoja — 246 —

miała duże zalety, sam to przyznałeś — brakło jej tylko etykiety, wymaganej przez twoją próżność; szampan był wyboryny, podano go tylko w niedość paradnej butelce. Ależ etykiety tej ona nie sfalszowała — chciała tylko pozostać bezimienną. Nie okłamała cię ani słówkiem — to ty okłamywałeś sam siebie i masz teraz o to do niej i do niego pretensyę. Prócz tego, kto wie, czy nie sprawiłeś może ze swej strony — tej sprzedajnej wielkiego, szczerze upragnionego szczęścia, pozwalając i jej także zakosztować złudzenia, że jest uczciwą, jaką musiała być kiedyś, że jest pieszczoną i całowaną z prawdziwym biciem serca, bez wzgardy, że ją ktoś jeden przecie kocha naprawdę, nie kupuje. Ta kokotka dawała ci może więcej, niż ofiarować by ci mogła niejedna dziewczyna uczciwa na jej miejscu — bo dawała ci opierający się nawet tej brudnej atmosferze, w którą lichu wie co ją wtrąciło, popęd do miłości bezinteresownej. Czy Karol, podsuwając ci ją, chciał spełnić jej marzenia, czy twoje, czy zakpić sobie z kogoś, — nie wiem, dość że cię przestrzegł wyraźnie: „nie chodź tam, bo zrobisz przykrość jej i sobie”. Sam widzisz, jak dobrą była rada, nie

— 247 —

chciejże mścić się na nim za to, żeś jej nie usłuchał.

— Paradny jesteś! Więc koniec końców ja mam mu może jeszcze dziękować, że mnie wystrychnął na dudka?...

— Nie bierz tego z tej strony. Powinieneś się pierwszy śmiać z całej farsy, to rzecz główna, dalej wyprawić dla niego i dla niej bankiet, na który i ja byłbym zaproszony i zobowiązać Karola, aby ci jak najwięcej płatał równie zabawnych psikusów, jakby z francuskiej powieści. Ja przynajmniej tak bym postąpił na two- jem miejscu.

Kubuś.

Kubuś — to mój służący.

Aby nikogo nie nudzić drobiazgową charakterystyką, powiem treściwie: większego łotra świat nie oglądał. Wziąłem go, złapawszy się na jego głupią minę, sam nie wiem, dlaczego trzymałem go całe dwa lata, a oto czemu go w końcu postanowił bezwarunkowo wypędzić.

Pewnego wieczora bawiłem się długo u jednego z znajomych. Żenił się. Za dwa dni miał się odbyć ślub, urządzał więc pożegnanie kawalerskiego stanu. Łatwo się domyśleć, co tam się działo, niepodobna jednak przytaczać szczegółów. Stan kawalerski żegnają uroczyście tylko skończone łobuzy, tacy, co nimi całe życie zostają. Zresztą nazajutrz, po przebudzeniu, pamiętałem z szalonego wieczora tylko dwie rze

czy: zem się straszliwie upił — i że dałem sobie rendez-vous z jedną z uczestniczek tej fety, oto wszystko. Kto ona była? gdzie?., jak? kiedy mieliśmy się spotkać? — żeby mnie kto ubił, nie umiałbym był powiedzieć. Zapamiętałem tylko, że była młodą, bladą, szczupłą, wesołą brunetką z zadartym noskiem i nieskończenie małymi ustami, za jakimi krwiożerczo przepadam i że ją tam widziałem po raz pierwszy.

To śliczne zwierzątko musiało na mnie chyba rzucić urok, taki wściekły upór odnalezienia jej owładnął mną. Lecz jak odnaleźć zupełnie nieznaną w stutysięcznym mieście, w tym lesie ulic, domów, zaułków i kątów, z których każdy równie dobrze służyć jej mógł za schowek.

Niezdolny zrezygnować z zachcianki, wydałem Kubusiowi polecenia, dotyczące się kolacyi, w domu, na dwie osoby i puściłem się na tropy, rozpoczynając od odwiedzenia wszystkich towarzyszków wczorajszej stypy, których adresy były mi znane. Napróżno... jednych nie zastałem wcale, drudzy spali jak zabici, reszta nie umiała udzielić mi żadnych objaśnień. Postanowiłem wtedy przeszukać miasto, licząc na moje własne wiadomości i trochę na szczęście. Zacząłem od

ulic i punktów, których „one” się trzymają. Przemierzałem je wszereż i wzdłuż, zaglądając pod każdy kapelusz, przenikając każdą woalkę, zatrzymując się na widok każdego zadartego noska i małych, maleńkich usteczek, podobnych majaczącym jakby w mgle — w mojej pamięci. Ilu podlotkom mój wzrok badawczy zamaćił dnia owego po raz pierwszy spokój I... ile niewinnych lilii spłonęło rumieńcem, widząc się przezemnie ściganymi!... A ile mnie samego spotkało przygód!... O mało n. p. nie wpadłem w awanturę z jakimś wojskowym, zaczepiwszy jego żonę, którą zostawił na chwilę przed trafiką. Pół godziny straciłem daremnie, zapędziwszy się za znajomą panią, której nie poznałem z tyłu, a która kazała mi się do domu odprowadzić. Co krok zaś jakaś zacofana, przedpotopowa cnota piętnowała mój piękny, młodzieńczy zapał przeszywającem spojrzeniem wzgardy lub pełnem duszy słówkiem „osioł jeden I” Ale ja nie zważałem na to. Za każdym zawodem szepnąwszy do siebie w myśli: „to nie ta!” — pędziłem dalej, z ulicy na ulicę, z lokalu do lokalu, po wszystkich podrzędnych i coraz to podrzędniejszych restauracyach, cukierniach i

kawiarniach, gdzie miłość chowa się przed za- zdrosnemi oczyma niezdolnych kochać. Potem zwiedziłem pensjonaty — i te bez skutku. Zacząłem wypytywać o nią przedstawiciele podejrzanych fachów, kelnerów, ekspresów, stróżów, dorożkarzy i portyerów hotelowych, a w końcu wszystkie znajome i nieznajome, rzeczywiste i domniemane kokotki, próbując pochlebstw, obietnic, napiwków i mnóstwa innych forteli, ęna jakie doprawdy tylko w niezwykle natchnieniu duch ludzki zdobywać się umie. — „Aha I to Władka — odpowiadano na mój rysopis — Zielony plac 21” — albo: „Tak, tak, to Zośka, znam ją... Liliowa 5” — lub wreszcie: — „Ależ to Józia!... tydzień temu wyjechała do Wiednia!” Daremnie biegłem, jechałem pod wskazanym adresem, daremnie zapędziłem się aż do policyi, aby wybadać poufnie kolegę komisarza — nigdzie! nigdzie jej nie było, nigdzie nie natrafiłem nawet na jakiś jej ślad, jak gdyby nie istniała naprawdę, lecz była tylko czarującym utworem mej bujnej wyobraźni.

Nakoniec po nie wiem już ilu godzinach wścieklej gonitwy, wśród ciągłej pracy mięśni i wyczerpania komórek mózgowych, zawiedziony, wyczerpany i zniechęcony, przemokły, zziębnięty i głodny, zrobiwszy jakie 70 kilometrów drogi od południa po schodach, szynach i bruku, piechotą, tramwajem i na bicyklu, — o godzinie 12 w nocy, zmuszony stanem ciała mego i duszy a także i deszczem, którym niebo zdawało się chcieć uragać mym wysiłkom, zatrzymałem przejeżdżającą dryndę i kazałem się odwieźć do do u, pewny, że moją gonitwę po mieście dnia tego zanotowano w aktach policyjnych, a nazajutrz opiszą w dziennikach jako sensację pod jakimś rokokowym tytułem.

Otwarłem sobie sam drzwi mieszkania, w których jest zatrask, i napół umarły wszedłem przez ciemny przedpokój do sypialni. Zaledwie jednak próg jej przekroczył, zmartwych powstałem z wściekłości!...

W suto oświetlonym pokoju znajdowały się na stole resztki zadysponowanej przezemnie kolacyi: wędliny, ciasta, owoce, likier, wino, — a na szezlongu znajdowała się ta, za którą rozbijałem się od pół doby po mieście — w ramionach Kubusia!... oboje snem słodkim ujęci...

Podniosłem laskę!... Wiem, postąpiłem nie-

pięknie... ale też nie zdołałem podnieść jej powtórnie, złamała mi się po pierwszym razie.

Ktokolwiek ma serce, dziwić mi się nie będzie. Bo proszę tylko pomyśleć: w chwili kiedy ja na wicherze i słońcu, borykając się z ludźmi i żywiołami, szukam jej na złamanie karku we wszystkich częściach świata, ona w ciepłe, zaciszu i sytości uszczęśliwia mego służącego, który spożywa i wypija z nią to wszystko, na co ja się cieszyłem przez godzin dwanaście!...

— Co to ma znaczyć, łotrze jakiś!... — zawołałem na zbudzonego, ot, aby coś zawołać, sytuacja bowiem nie wymagała żadnych zgoda objaśnień.

A no cóż... pokazało się, że czekała na mnie od samego wieczora, od godz. 6-tej, przybywszy pod adresem, wydrukowanym na mej karcie wizytowej, którą sam dałem jej wczoraj w tym celu...

A ja jej szukam Bóg wie gdzie 1... jak szuka się szczęścia w przysłowiu...

Wypędziłem oboje natychmiast za drzwi, najpierw jego, z bezgraniczną rozkoszą, potem ją, z nieklamany żalem. Lecz honor nakazywał tak postąpić — honor i znużenie.

Wyrzuciwszy

za nimi na schody ich garderobę, zatrzasnąłem drzwi i położyłem się spać, owijając głowę w kołdrę, aby nie słyszeć ich błagań, przebijających drzwi. Już zasypiałem, kiedy zbudził mnie ogromny hałas. To pobudzeni ich objaniem się w ciemnościach sąsiedzi moi zajęli się zbiorowo wyrzuceniem ich z kamienicy z pomocą stróża. Będę jutro przedmiotem śmiechu i plotek całego domu przez tego łotra!... Jakżem go przeklinał!! Bo to: podbierał mi bestya cygara, kradł koniak, wysypiał się na mem łóżku, używał ukradkiem mej bielizny i garderoby, wyzykiwał mój gniew, podstawiając się pod policzki, za które mu płaciłem według taksy, i mój humor, wyludzając odemnie całkiem świeże jeszcze krawaty i kapelusze — a teraz... teraz !,,

Przez tydzień obsługiwał mnie stróż. Kubuś, któremu złorzeczyłem z całej duszy, wzdychając jednocześnie, aby wrócił i uwolnił mnie od tego niedołągi, nie pokazywał się wcale. Może sobie wynalazł nową służbę?!... Przeląkłem się, czym nie był względem niego i jego winy zbyt ostro.

Po tygodniu istnych mąk otrzymuję list, nagryzmołony nieznanym mi ale bardzo nikczemnym charakterem. Otwieram i czytam:

„Wielmożny Dobroczyńco!”

— dalej cztery ćwiartki nieczytelnych kleksów, podpisane: „całuję rączki i czekam na odpowiedź, wierny aż do zgonu Jakób Fiutek.”

W liście tym błagał mnie, o ile się zdaje, o przebaczenie i dawał do zrozumienia, że ma jakąś prośbę, od której zawisł jego „los”.

Budzę się nazajutrz po tym liście — mój Kubuś uwija się w sypialni z moją garderobą, jak gdyby między nami nic nigdy nie zaszło.

— A ty tu co robisz, gałganie jeden? — wołam, marszcząc się jak najgroźniej, aby nie poznał, jak jestem jego powrotowi rad, i wydzierając mu rękaw mej nocnej koszuli, który uważał sobie za obowiązek poślinić nieco na dzień dobry, skoro tylko zobaczył moje otwarte oczy.

— Przyszedłem prosić, żeby pan był taki łaskawy i wzion mnie nazad — wyjęknął błagalnie.

— Idź do dyabła!... Takich łajdaków zamyka się do kryminału, niedopiero żeby ich napowrót brać do służby.

— Już nigdy więcej nie będę...

— Spodziewam się, że nie. Przynajmniej nie u mnie...

Zaczął szlochać, ocierając łzy czy udając, że je ociera, memi spodniami, które właśnie miał w ręku.

— ja pana, proszę pana, nie chciałem zgni- wać, jak se zbawienia pragnę...

— Tylko może ucieszyć? co?!... Patrzaj, a ja się nie domyśliłem.

— To ino było takie nieszczęście, proszę pana, taki dzień...

— Właśnie. Każdy łajdak ma swoje dni. U ciebie ich bywa trzysta sześćdziesiąt w roku.

Staralem się przemawiać z jak największą surowością, ale ten dureń, płacząc, robił tak komiczne miny, że w obawie rozśmiania się wrzasnąłem nagle:

— Czy ty wiesz, łotrze jakiś, coś ty zrobił?!

Uderzył się w piersi i odparł z pokorą:

— Wiem, proszę łaski pana... Do śmierci mi sumienie wyrzucać będzie... Chciałem się nawet utopić...

— Szkoda, żeś tego nie zrobił.

— Nie mogłem przez jedną rzecz — odparł z tragicznym westchnieniem.

Byłem ciekaw, co to?... niepodobna jednak było go pytać. Kubuś, czekający na to wido

cznie, po dłuższej pauzie, którą przerywał od czasu do czasu z pod pieca melodramatycznym jękiem bóleści, wypłakał raz jeszcze:

— To pan mnie naprawdę nie weźmie?

— Ani myślę.

— Niech się pan ulituje.

— Daj mi pokój, nie nudź mnie.

— Bo proszę łaski pana, jak mnie pan odprawi, to ja się nie będę mógł ożenić.

— A cóż mnie to obchodzi?... Czy ja ci się każę żenić ?..

— Nie żeby pan akuratnie kazał.. ale że to zawsze pańska przyczyna, że ja się muszę żenić...

Otwarłem szeroko oczy.

— A to skąd?!..

— A no... bo żeby pan był wcześniej wrócił do domu, nie byłbym tej panienki zbałamucił i nie musiałbym się teraz przez to z nią żenić.

Co za logika!!... Wyobraźcie sobie coś podobnego!... Skończyło się więc na tem, że ja byłem właściwie winnym wszystkiego!... Gotów jeszcze wmówić we mnie, że mu tę „panienkę" umyślnie chciałem podsunąć, że go świadomie wepchnąłem w całe to „nieszczęście".

Podniosłem się na łóżku dla efektu i oświadczyłem mu z ogromną powagą:

— Słuchaj, cymbale. Widzę, żeś zwaryował. Wynoś że mi się więc, pókiś cały, jeżeli nie chcesz, ażeby cię na łeb ze schodów zrzucił.

Zamiast umykać, ta bestya uderza w serdeczną nutę i klękając, błaga mnie patetycznie z wyciągniętymi rękoma:

— Dobrodzieju wielmożny!... Jestem sierota !... Ni mam ojca ani matki!... Nie opuszczaj mnie w takim momencie...

Nie stało mi już cierpliwości. Schyliłem się błyskawicznie i porwawszy jeden z stojących przy mem łóżku kamaszków, rzuciłem go całą siłą mięśni prosto w łeb Kubusia. Gdyby się nie był schylił, kosztowałoby mnie to znowu z dziesiątkę, ale ten łajdak ugiął się przed pociskiem, który trafił w gipsowy biust mojej ciotki i rozbił go na sztuki; biust, którym zaskarbiałem sobie ciotczyne łaski! biust, który kazałem zrobić d conto schedy po niej !...

Byłem już teraz zdolny nie wiedzieć co zrobić z tym drabem, ale widząc, że wyskakuję z łóżka i sięgam po kij — zniknął w okamgnieniu jak rękawiczka z rąk magika.

Musiał jednak zostać pod drzwiami i śledzić mnie przez dziurkę od klucza, bo skoro tylko położyłem się napowrót i uspokoiłem nieco, ukazał się znowu, tym razem z nią, puszczając ją naprzód. Nudzili mnie ze dwie godziny i wymogli nietylko przyjęcie go napowrót do obowiązków, ale i coś w rodzaju przyzwolenia na małżeństwo. Mruknąłem mianowicie: „a żeńcie się w końcu, niech was dyabli wezmą, hołoto jedna” — na co Kubuś bezzwłocznie ucałował moje ręce i kazał to samo uczynić swojej przyszłej słowami:

— Podziękuj dobrodziejowi za błogosławieństwo.

To nic jeszcze 1... Ten łotr, pomimo wszystkich swoich wad i występków potrafił odemnie wyżebrać podwyższenie pensji w formie osobnego mieszkania na dole w tym samym domu, dalej całe urządzenie jego małżeńskiego gniazdka z moich mebli, które umiał mi obrzydzić, pchając mi w oczy ich skazy; wyłgał wreszcie odemnie wcale dobry frak zeszłoroczny i ledwie się zgodził na to, abym się uchylił od udziału w ceremonii zaślubin, zastrzegając sobie z góry, że będę ojcem chrzestnym jego pierworodnego.

A teraz zniknął — nie widuję go wcale, natomiast od rana do wieczora krząta się po moim pokoju jego „pani”, czysta i pachnąca, jak na ośmnastoletnią kobietkę, skromna, jak na młodą żoneczkę przystało. Ma zadarty nos i małe, nieskończone małe usteczka. Znacie moją naturę... Dyabli mnie biorą na jej widok, o mały ze skóry nie wyskoczę 1... Czuję się wobec alternatywy nieuniknionej: oddalić jak najprędzej Kubusia wraz z jego żoną — albo przyprawić mu rogi. I nie mogę oddalić go w żaden sposób L. Nie mogę i nie mogę... Pojmujecie?... Ach!.. jestem bardzo nieszczęśliwy...

Piana.

Trafem; oba pojazdy zjechały się równocześnie przed bramą willi, co pobudziło do hucznego śmiechu przybyłe strony. Ludwik, zeskoczywszy z kozła swego wysokiego trzciniowego wózka, oddał lejce stangretowi, siedzącemu z tyłu, a sam obiegł wehikuł i wyciągnął rękę z galanterią do Mimi, której biała toaleta jarzyła się w słońcu jak płomień łukowego światła, aby jej pomódz zsiąść. Wyglądała prześlicznie w swej białej sukience, z której różowy karczek i blade blond włosy wychylały się kusząco jak wyborny cukierek z opakowania pełnego smaku. Zeskoczyła śmiało, zgrabnie i z wdziękiem, niby woltyżerka, z widoczną rozkoszą, jaką jej sprawiło to wsparcie się na chwilę na silnej dłoni dorodnego ułana, który prostując

dziarsko swój smukły tułów w błękitnym opiętym mundurze oficerskim, pożerał oczyma kochankę przyjaciela, wierną kochankę, obiecującą mu wszystko na dzień zerwania z tamtym, jak dotąd wcale nie oznaczony. Ogromnie głupi i szalenie wesoły, był jednak taki miły, taki sympatyczny w swej czysto fizycznej piękności młodego zucha, zdatnego jedynie do uwodzenia dziewcząt, do niczego więcej, że chciałoby się doprawdy być kobietą, aby się bodaj raz jeden znaleźć w jego apolińowym uścisku, i rozgrzeszało się z góry wszystkie te, co mu się z zamknieniem oczyma na szyję rzucały, rzucają i rzucać będą.

Z doróżki zaś wysiadł Leon z Tecią i An-gelą. Całe towarzystwo poczęło witać się żartami i śmiechem, tykając się, i czekało przez chwilę na otwarcie bramy, u której najniecierpliwsza z wszystkich Mimi nacisnęła już guzik elektryczny. Od dwóch miesięcy przeszło nie widziała Wiktora!... — co więcej, od tak długiego czasu musiała być — o cudzie I — wdową, słomianą naturalnie ale wierną jedynemu wdówką... na lewą rękę.

Tamte dwie, widząc jej pośpiech, poczęły się śmiać:

—Mimi! jakżeż można?!... Ty się afiszujesz!...

Nie było w tem jednak ani źdźbła zazdrości, obie bowiem były tak ładne, świeże i smaczne, że podane wraz z Mimi do wyboru Parysowi, niezawodnie wprawiłyby go w kłopot.

Tymczasem otwarto bramę.

—Jest pan?!..

—Jest. Czeka na państwo od godziny.

—Ba! myśmy czekali półtrzecia miesiąca!...

Od bramy idzie się ku willi ze czterdzieści

kroków wglębieniem pomiędzy dwiema kamien- nymi ścianami dwumetrowej wysokości, rodzajem otwartego od góry korytarza, nad którym jaśniej niż najczystszy z plafonów: niebo! — z wieczyście zmienną ornamentacją chmur, gołębi i jaskółek. Potem, po przebyciu dziesięciu stopni — jest się naraz przed frontem willi w samym sercu okalającego ją ogrodu, który dzięki pasy Wiktora do kwiatów i doskonałemu ogrodnikowi, pomimo niezbyt wielkich rozmiarów, jest prawdziwym cackiem. Ostatni raz widzieli go w czarze wiosennej zieleni, w pierw

szych dniach lata, w powodzi kwiatów i woni, w zalewie lipcowego słońca, którego złocisty królewski płaszcz, buchający blaskami i żarem, jak świąteczna szata okrywał świat cały. Kobiety kokietowały słońce letniemi toaletami, dając mu czasem całować swe piersi, szyje, ręce, ale bardziej kokietowały mężczyzn, poświęcając im długie księżycowe wieczory w piekielnie obmyślanych alejach i zaułkach ogrodu, w którym rozbrzmiewał ich śmiech, dźwięki fortepianu i pukanie szampanowych korków. Dziś ogród zakopany był w zwiędłych liściach, cały żółty, rudy, brunatny, jakby w lachmanach potarganego złotogłowiu ukryty w kopcach szeleszczącego suszu, co poniewierał się u stóp kolosalnych pni i spadał co chwila lekkim deszczem z obumierających zwolna gałązek i konarów. W ukro- pie słońca, przypiekającego przykro, ogarnięte suchotniczą gorączką jesieni, konające liście, ponad główkami ostatnich smętnych kwiatów, zwarzonych rannym szronem i powiązanych srebrzystą przedzą pajęczyn, wrzeszczały w nie- bogłosy swą mosiężną żółtością, wszystkimi odcieniami krwistej i rdzawej czerwieni, pożegnanie niepowrotnej błogości lata. A ten prze

pych barw przedśmiertnych, strojących w przeddzień deszczów i śnieżyc drzewa, miał w sobie coś z rumieńca, wypieczonego na zwiędłej twarzy starca mocnem winem, coś hulaszczego i odrażającego jednocześnie. Czasem zaś, z cienia, wyłomem wśród drzew, wpęła tu zimny wilgotny powiew, który przejmował dreszczem i budził czającą się w duszy obawę i smutek pytań, sięgających w dal...

Ale przybyłym ani w głowie było pograżać się w melancholijnych nastrojach. Skapani w słońcu, które wypędziło stąd na parę godzin po raz ostatni może tego roku zimno przed jego rozkwaterowaniem się na dobre, biegli na wyścigi wśród wesołego zgiełku ku rozwartym na oścież drzwiom willi.

Lecz Mimi, wyprzedziwszy innych, zlustrowała już salon i dwa przyległe gabinety i powróciła z słowami:

— Nie ma nikogo...

— Hop 1 hooop!... — odezwał się w tej chwili za ich plecyma przytłumiony okrzyk niby nawoływanie w lesie. Obrócili się i ujrzeni na samym końcu głównej alei, o parę kroków przed ogrodowym pawilonem Wiktora, a raczej cień

Wiktora, rozpościerający powitalnie ramiona, z wychudłą twarzą, na której urosła mu broda, z łzawym blaskiem jakby powiększonych oczu, z dwoma laskami w obu rękach — ale koniec końców żywego, stojącego o własnych siłach, uśmiechniętego serdecznie i wrzeszczącego na całe gardło.

Za chwilę wszyscy byli przy nim. Posypały się przywitania, gratulacje, uściski, całusy. Mężczyźni szli w nich o lepsze z kobietami, ale przegrali. Wiktor, ściskając obu przyjaciółom ręce, równocześnie całował Mimi, Tecię i Anielkę po kolei raz, drugi, trzeci, bez końca, nie mogąc się nasycić tem młodem, pachnącem ciałem kobiecem.

— Rekonwalescencie!... dyeta!!... — przestrzegął Leon, grożąc.

— Ach nie bądźże tak surowy. To przecież najlżejsze danie — same biszkopty.

— Ale ile tych biszkoptów! ile!!

W końcu nacałowawszy się do syta, poprze- krzywiawszy kobietkom kapelusze na głowach i rozburzywszy włosy, objął i zatrzymał przy sobie Mimi, wierną Penelope, której zadał już oczyma pytanie i odebrał odpowiedź uspokajającą.

Mimi — to złote serce. Wiedząc, że Angela i Teca mają też słabość do Wiktora, bo zresztą któraż kobieta nie miałaby jej dla tak ładnego i hojnego chłopca, uspokoiła je:

— Nie bójcie się, przyjdzie i na was kolej. Wiś był zawsze Turkiem i zawsze nim będzie.

Tymczasem gospodarz, niezmiernie uradowany tą pierwszą, na jaką mu lekarz pozwolił, wizytą, począł im się przyglądać z pełnym ciepła zajęciem, zarzucił ich pytaniami i z twarzą przyrumienioną wzruszeniem zachęcał:

— Siadajcież... bo się boję, że mi puciekacie... Nie puszczę was dziś przed północą... Zaraz podadzą podwieczorek... Czy zostaniemy tu, czy też chcecie pójść pod dach?... Ale tutaj jest tak ładnie... Trzeba wam wiedzieć, że ja dopiero od kilku dni chodzę po ogrodzie.

A potem wyrwało mu się nagle samolubne:

— Wiecie wy, że ja o mało nie dałem susa na tamten świat?...

Zaczęli mu, przerywając jedno drugiemu, opowiadać wszystkie te bardzo tajemnicze i niedostateczne wieści, jakie krążyły o nim od kilkunastu tygodni, kiedy to drzwi jego zamknęły się nagle dla wszystkich znajomych słowem: chory.

Uśmiechnął się, rozkoszując się widocznie tem, co mówili, zajęciem, jakie wzbudzał, życzliwością tylu osób, lecz nadewszystko odniesieniem zwycięstwem, wyrwaniem się z szpon śmierci, powrotem... rozkosznym powrotem do zdrowia! do życia!... do wszystkiego i wszystkich, których kochał.

—Więc wiedziano, że jestem chory... A czy się domyślano, dlaczego?..,

Pod tym względem nie było pewności, krążyły najsprzeczniesze wieści...

—Naturalnie nie puścisz nas, nie opowiedziawszy wszystkiego?

—O i owszem... rzecz jest dosyć zabawna... — i już usta otwierał, aby ich objaśnić, kiedy Mimi, bawiąca się jego włosami i całująca go od czasu do czasu z lekka w skroń, pochwyciła naraz oburącz jego głowę, rozgarnęła mu włosy nad czołem i zawołała:

— Blizna!... On się bił! L.

Skupili się nad nim w okamgnieniu i rozróżnili rzeczywiście bliznę, przecinającą skórę pod włosami.

— Biłeś się naprawdę?...

Skinał głowę.

—O co ?...

—O co?... Dlaczego nie pytacie: o kogo.

—A więc o kogo?

—O „nią” — jak zawsze na tym świecie, tylko że w tym wypadku nie była to... Ale najlepiej pokażę wam ją, bo naturalnie pragniecie koniecznie dowiedzieć się, kto to?... Jest ona tam... na gazonie... Zobaczcie ją i przywitajcie, bo to wasza znajoma...

Powstał i postąpiwszy kilka kroków, kobiety za nim, zawołał w kierunku gazonu, który puszył się jeszcze piękną zielenią:

—Diana J...

Duży, foremny, poczciwy łeb czarnej nowo- fundlandzkiej suki podniósł się ponad murawę i spojrzął w jego stronę roztropnie a jednocześnie kiściasty ogon psiska począł bić żywo i zamiatać trawę.

—Oto ją macie ! — wyrzekł Wiktor z u- śmiechem, obrzucając figlarnym wzrokiem zdziwione kobiety.

Lecz Tęcia spostrzegła już, że Diana nie jest samą. Kilkoro szczeniąt tarzało się dokoła jej wezbranych piersi, pławiąc się w ciepłe słońca, zalewającetn cały gazon.

— Co ja widzę!... Diana ma młode I... Doskonale ! zamawiam sobie jedno

— I ja także I

— I ja, Wiktorze!...

—Zgoda! zgoda !,, tylko pozwólcie wpierw jej samej niemi się nacieszyć. Wzdychała do nich tak długo!...

—Właśnie!... Miałam cię zapytać, skąd tak nagle...?

—Zaraz wam to opowiem. Jest to przecież historia moich ostatnich miesięcy.

Kobiety poczęły wabić sukę pieszczotliwymi giestami i słowami, pociągnięte najwyższą sym- patią dla jej macierzyństwa. Diana zdawała się pochlebstw nie słuchać, nie rozumieć, cała zapatrzona wzrokiem obawy i troski w jednego z psiaków, który rozciekawiony widokiem tylu osób, odsunął się od niej ku kobietom, podczas kiedy dwa inne staczały na trawniku zażarcie symulowaną walkę, odgryzając sobie wzajemnie to głowę, to łapięta, a ostatni, uczepiony u piersi matki, ssał ją łakomie.

Tęcia chciała koniecznie popieścić którego psiaka i weszła już na gazon. Lecz Wiktor ostrzegł ją: Diana po raz pierwszy widziała ob

cych. Przytem po odebraniu jej trzech szczeniąt z siedmiu, aby jej zbyt nie wycieńczały, niesłychaną otaczała pieczę to pierwsze, od trzech lat upragnione potomstwo. Nie pozwalała nikomu zbliżyć się do niego z wyjątkiem pana. Sam przyniósł kobietom jednego szczeniaka a one o mało go nie udusiły, głaszcząc jego aksamitną sierść, całując na wyścigi małego, niezgrabnego grubasa z pocziwą, naiwną mordką i dużemi, grubemi łapami, na zadatek przyszłego ogromu. Potem oddał go Dianie a suka, wielce do tej chwili niespokojna, poczęła go czempredziej obwąchiwać, upewniając się, czy nie poniósł jakiej szkody i liżąc z radości.

— Pocziwa Diana!... gdyby wiedziała, jak drogo kosztuje mnie jej szczęście, prawda że odwleczone z mej winy.

...Wiadomo wam, że oglądałem się za towarzyszem dla niej oddawna. Nieszczęście chciało, że nigdy jakoś nie miałem w stosownym czasie pod ręką psa tej rasy. Stąd jej przydługie panieństwo, które doprawdy bolało mnie mocno. Ale niezmiernie szanuję dobór, i tak samo jak hodowcy, sportsmeni, chronią od mezaliansów swe stadniny, swój inwentarz — ja nie życzyłem

sobie, aby arystokratyczna krew Diany pospo- litować się miała dla pierwszego lepszego kun- dysa z psiego motłochu. ■ ...Wtem — o niespodzianko 1 — spotykam trzy miesiące temu na ulicy nieznanego mi zupełnie neufundlendera. Wojskowy sługa prowadził go na smyczy. Pies był wspaniały, mógł mieć najwyżej dwa, trzy lata, kark niósł wysoko, na nim głowę niezrównanej piękności. — Istny lew !.., bohater, którego właśnie szukałem, na którego Diana oczekiwała z takim utęsknieniem.

...Zapytałem służącego o właściciela. Wymienił nazwisko jakiegoś rotmistrza.

— Gdzie pan mieszka?

...Wymienił hotel.

— Kiedy go można zastać?

...Wyjechał na dni kilka.

— Szkoda. Nie zaprowadziłbyś ty tego psa do mnie ? Mam sukę taką samą.

— Nie mogę bez wiedzy pani.

— Więc jest i pani ?... Nie wyjechała także ?

— Nie.

...Hm... a gdyby tak... Ale ta materya drażliwa ...

...Gdyby jednak zwrócić się do rotmistrzo-

wej?... Zameżna kobieta nie jest dzieckiem, do dyabła. Zresztą żony wojskowych miewają coś z swych mężów, coś półmęskiego, bywają nawet sportsmenkami...

...Jeszcze jedna kwestya. jej wiek.

—Państwo dawno się pobrali ?

— Na wiosnę.

...Do licha, młoda kobieta... Pójść czy nie pójść?... Ale czas nagli — rotmistrz niewiedomo kiedy wróci — serce Diany gotowo tymczasem ostygnąć...

...Poszedłem.

...Wyszła do mnie kobieta elegancka, młoda, ładna, dosyć pewna siebie i tak miła!... tak miła... że wolałbym być w jakimkolwiek ludzkim, mniej lub więcej własnym interesie ubiegać się o jej łaskę niżeli w tym, z jakim przybyłem.

...Lecz koniec końców należało załatwić sprawę. Wyłożyłem ją jasno i delikatnie, tłumacząc ją śmiałością nieobecności męża, do którego właściwie zamierzałem zwrócić się.

— Sądzę, że mąż mój nic nie miałby przeciwko temu — odrzekła swobodnie — bo nawet zdaje rai się, że już raz.. ktoś... w podobnej sprawie...

...Nadałem czempredziej słowom tym sens obietnicy za pomocą gorących podziękowań, uprosiwszy sobie pozwolenie ułożenia szczegółów z ordynansem. Zawołała go i oddała do mojej dyspozycji.

...Tegoż samego dnia Diana zmierzyła po raz pierwszy na terytoryum ogrodu, który był dotąd dziedziną jej samotnej egzystencji, badawczym i nieufnym wzrokiem nieznanego przybysza. Gość stanął także w pierwszej chwili jak wryty z wlepionymi w nią oczyma, postąpił parę drobnych kroczków, znów stanął, znowu przysunął się bliżej, wreszcie znalazłszy ją prześliczną, poskoczył ku niej żwawo i począł od razu okazywać swą najwyższą skłonność, swoją werwę, swój doskonały humor, wszystkie jednym słowem kawalerskie cnoty. Wkrótce podbił jej serce.

...Ale po trzech czy czterech dniach wizyt, pełnych obustronnego ciepła, pewnego rana zamiast służącego z psem ukazało się w mej bramie dwóch wojskowych w gali, którzy zażądali widzenia się ze mną. Mieli bardzo poważne miny i przychodzili mnie wyzwąć w imieniu rotmistrza, który powróciwszy do domu, znalazł,

że prośba, z jaką zupełnie obcy mężczyzna śmiało zwrócić się do młodej kobiety, jest do-
statecznym powodem do wyzwania grubianina na pałasze i rozrąbania mu czaszki.

...Jacy ludzie są głupi!... jacy dzicy i głupi, że wyzywają a drudzy, że przyjmują podobne
wyzwania, jak gdybyśmy mieli więcej niż jedno życie i mniej niż wszystko wraz z niem do
stracenia każdej chwili. Ale jeżeli są szaleńcy, narażający się dla kochanek, które ich
zdradzają, trudno mi sobie wyrzucić, że się narażę dla sukki, co z pewnością do śmierci
pozostanie mi wierną...

Wiktor od dłuższego czasu zamieniał spojrzenia z Mimi, która zdawała się zupełnie nie o
tem, czego słuchała, myśleć, przewiercając go swymi brylantowymi ślepkami. Mimi
przepysznie umie się ubierać. Stanik jej skromnej, białej sukienki był lekko na piersiach
wycięty, tak że obnażał mały, maleńki kwadracik jej jedwabnego biustu. Ale ten kwadracik,
próbka, wykrojona sprytnie w najśliczniejszym miejscu, u podstawy szyi, pozwalała cudów
domyślać się o całości. Dopomagały jej do tego ręce, obnażone po łokieć, małe, tłusciutkie,
delikatne, pełne życia
i humoru łapięta, których ruchliwe paluszki u- kładały się na sukni, na parasolce, na
sprzętach, na wszystkim w ogóle, czego dotknęły, z jakąś rozpustną i kokieterijną
figlarnością, jak gdyby były osobnemi, własne życie, własną inteligencją posiadającemi
istotkami i budziły setki dyabel- skich pragnień, nietrudnych zresztą do ziszczenia z tą
swywolnicą.

W tej chwili nagięła ku sobie kłęb astrów i zrywała z nich powoli kwiaty w zamyśleniu.

— Mimi! o czym myślisz?., — zapytał jej Wiktor, zapaliwszy papierosa.

— O tem, jakie ty masz dobre serce.

Karyera.

Stanowczo Muniek przechodził dzisiaj delirium znanej swojej zjadliwości, która tym razem zwróciła swe żądło przeciwko temu, co kochał i nienawidził najmocniej — przeciwko kobietom.

Znalazł przed chwilą list. Podniósł tę kartkę w głównej alei ogrodu, przepelnionej spacerującym tłumem, napół stratowaną tysiącami stóp, tysiącami drobnych, lekkich nówek, obutych w letnie płytkie pantofelki z kolorowej skóry i wynurzających smukłe kostki — niby z odwróconego bukietu — z łechcącego zmysły tajemniczego kielicha atlasowych halek lub śnieżnych, pianistych haftowanych spódniczek.

Poznawszy pismo kobiece, otrzepał papier coprędzej z kurzu, rozwinął, i zaciągnawszy się papierosem, począł łakomie czytać pod pierwszym z brzegu pnem kasztana. Słaby wietrzyk, przepływający powietrze, odświeżone niedawnym deszczem, potraçał jego starannie ułożone wasy dwudziestosiedmioletniego chłopca, pragnącego nadewszystko podobać się kobietom. Figlarna i lekka jak lot ważki poleczka, sypiąc w przestrzeń perłami mieniących się dźwięków, zdawała się łaskotać jego słuch niby przekomarzanie kochanki, co nasycona jednym pocałunkiem, odmawia półzartem drugiego, dla dodania mu smaku i ceny. Z lubieżnem niemal rozciekawieniem przebiegał drobne i wątle litery pisma na bladofiołkowym arkusiku, który wypaść musiał przed chwilą z za czyjegoś gorsu lub rękawiczki, z kieszonki za koronkową chusteczką i pachł jeszcze perfumami tej, co go zgubiła, podobny do zagadki pomiędzy dwoma tajemni - czerni imionami kobiecemi w nagłówku i podpisie.

Wtem skończył czytać i syknawszy przez zęby popędliwie: „łajdaczki”, podał list nerwowym gościem gniewu towarzyszowi, mówiąc:

— Masz!... czytaj I... Albo nie, ja sam ci przeczytam. Słuchaj. „Kochana Gieniu! Odsyłając mi fotografię Emila, piszesz, że zdziwiłaś się raz

jeszcze, jak mogę iść za takiego brzydala Jak mogę!!... Ależ nie z miłości przecie, droga siostrzyczko, ty to powinnaś rozumieć najlepiej co wysłaś za mąż tak samo, poddając się doświadczeniom mamy, z których ja również korzystać zamyslam. A przecież mydlarnia Emila nie jest mniej wartą od sklepu twego męża. Lecz dajmy temu pokój. Nie mam w tej chwili czasu do stracenia. Spieszę się na zabawę, na której ma być porucznik... wiesz?.., ten... już ci o nim pisałam... co tak prześlicznie tańczy, co mi powiedział, że „takiej jak ja kobiety nie spotkał jeszcze nigdy” (!). Ach! co to za chłopiec?!... Wyobraź sobie: podał się — dla mnie! — o przedłużenie urlopu!... Gdybym ja miała posag!... o ileż dłuższe, częstsze, ciekawsze odbierałabyś listy od Twojej Hali, która i tak już może powiedziała za wiele... chociaż właściwie wszystko pozostaje jeszcze do opowiedzenia...” Krótkie, ale wymowne. Jak ci się to podoba ?

— Nie jestem oczywiście zbudowany, sądzę jednak...

— Że nie warto psuć sobie krwi ani maszyny myślenia zbyt skrupulatnym rozważaniem tego, co nas otacza? O pocziwczę, jakże go rąco umiłowałaś twój spokój!... co nie przeszkadza mi wcale, aby ci go zamącić...

— Mów, ulżysz sobie, czuję, że potrzebujesz się wygadać.

Uczył to po swojemu. Rzucił się jak zaczepiona żmija na tę Halę i milion jej sióstr, na całą pleć. Każde słowo wyskakiwało z ust jego z sykiem jak iskry ogniowych fontann, na każdej wyplutej sylabie zdawała się perlić ostra, piekąca kropelka jadu. Nie mówił o nich właściwie, ale je drapał słowami, policzkował, gryzł, szarpał do krwi jak mąż zdradzony lub odpalony kochanek.

A przytem pochłaniał je wzrokiem, mając ich tyle przed oczyma. Całował rozkochanem do nienawiści spojrzeniem tysiące ich uśmiechniętych główek, które wdzięczyły się swemi dziecięcemi i szatańskimi minkami z puchu włosów, z oprawy koronek i gaz, z blichtru biżuterij i kwiatów, fałszywych po większej części jak cera, zęby i blask oczu właścicielki. Okręzał bezwstydnym wzrokiem ich piersi, łona, biodra, lizał spojrzeniem ich skórę, wciskał się oczyma w zalotne okienka ich źrenic, wsysał się w ich usta, zwilżane ukradkowo koniuszkiem

różowego języka, wgrzyzał się jak namiętny kochanek w białe, pełne karczki tych, co już znały smak jabłka, lub pieścił dyskretnie z delikatnymi szyjkami dziewic, wciągając w wzdęte jak u o- giera nozdrza woń ich perfum, w których pobudzona wyobraźnia kazała mu odczuwać woń ich płci. Znać było z szczerego tonu jego uniesienia, że podeptałby je wszystkie i zmiażdżył bez litości, tak mu się wydawały nędzne — lecz pierwej każdą z nich chciałby porwać w objęcia i wpić się w jej usta na jedną droższą od wieczności chwilę szału, tak mu się wydawały piękne, rozkoszne, porywające.

— Ten list, głupi urywek z korespondencji dwu gąsek, to widzisz w moich oczach dokument psychologiczny. Większa część kobiet — nie chcę bezwarunkowo przypuszczać, że wszystkie — mogłaby go z ręką na sercu podpisać jako spowiedź własną. Ale na tobie nie może on jeszcze czynić takiego wrażenia, jak na mnie w tej właśnie chwili.

...Byłem dzisiaj u mojej ciotki. Zwykła środowa kawa, jeden z miliona sejmik bab, na którym robi się opinia, kształtują pojęcia, wykańczają obyczaje, na którym ostatecznie i nie odwołalnie bywa uchwalanem, co będzie na dany sezon, w danym kółku, dobrem, rozumnym, pięknym — a co złym, głupim, szkaradnym.

...Gdym wchodził, w powietrzu, wibrującem od kobiecej paplaniny, z całego tuzina ust, zacząwszy od ośmnastoletnich kwiatuszków z per- łowemi ząbkami, na które ciotka często stara się zwracać moją uwagę, przypominając mi mój wiek i moją przewlekającą się samotność, aż do sześćdziesięcioletnich pieczar z zębami od dentysty — dźwięczał okrzyk pełen entuzjazmu:

— Zrobiła karierę L.

...Kto taki?...

...Panna Józia.

...Dlaczego p. Józia zrobiła karierę?

...Odpowiedział mi krzykliwy koncert objaśnień, brzmiących jak hymn.

— Dał jej szmaragdowy naszyjnik!

— Przyniósł jej perły za dwa tysiące!

— Obiecał trzymać konie!

— Zapisał na jej imię kamienicę wartości pięćdziesięciu tysięcy L.

— Któż to był taki hojny!... — z trudnością zdołałem wtrącić pytanie — wuj panny Józi?... ciotka? stryj? dziadek?...

— Ale cóż znowu. Jej mąż!
— Wyszła za mąż?
— Dziś rano.
— Kiedyż małżonek zdążył zasypać ją tylu dowodami miłości ?
— Przed ślubem naturalnie.
— Naturalnie?... Hm... Ale przepraszam, bo może ja się mylę... Czy panie mówicie o pannie Józii F., tej idealnej blondynce, która...
— Którą się tak zawsze zachwycałeś. O niej.
...Więc to ona zrobiła tak niebywałą karierę...
ta pełna prostoty i wdzięku marzycielka z błękitnymi oczyma, model na cudowną dziewczeczkę z bajki, na anioła w obrazku !... Praktyczna.
— A za kogo wyszła p. Józia?..
— Jakto!... nie wiesz?... Za Rozpadlińskiego...
— Co?!... za swego kuzyna?... tego suchotnika, garbusa?!...
...Jak na mnie nie powstaną?! Wszystkie naraz podniosły głos karcący, jak gdybym wygłosił bluźnierstwo!..
...Garbus ?... I cóż z tego!... Ale ją kocha!... najlepszym dowodem podarunki. Czyż zresztą kaleka i chory nie ma prawa do szczęścia?... A przytem co znaczy garb wobec takiego ma
jątku i szczodrości!... Do garbu można się przyzwyczaić po paru dniach — pieniądze osłodzą całe życie. Toż on spełnia wszystkie jej życzenia!... Urządził książęcy apartament, kupił jej wspaniałą wyprawę!... Będzie szczęśliwą! będzie! Jest nią już dzisiaj. Zrobiła karierę!..
— Wychodząc za bogatego potworka... — wtrąciłem z cicha. — Więc na to kończy się liceum z złotym medalem...
— A cóż? może pan chciałeś, żeby z tym medalem szła umierać z głodu w wiejskiej szkółce za dwadzieścia pięć reńskich miesięcznie ?!..
— Tego wcale nie chciałem, pani dobrodziejko, tylko widzi pani...
...Ale nie, szkoda dysputować z tym światkiem. Wszystko to są zupełnie poczciwe kobiety, wierne mężom, niezłe gospodynie, niezmordowane w formowaniu swych dzieci na obraz i podobieństwo własne, — ba, większa połowa z nich to moje kuzynki i ciotki — ale niestety muszą im oddać tę sprawiedliwość żadną z nich nie przerasta przeciętnego typu gęsi pospolitej. Po za zdawkową treścią dobrodusznej kumoszki, przydatnej do jakiego takiego prowa

dzenia małego gospodarstwa i płytkiej gawędki

O nowinkach dnia — nie szukaj w nich niczego. Życie przyjmują, jakim je zastały, i uwalają sobie za święty obowiązek w nienaruszonej postaci przekazać je dalej. Wszelką krytykę uważają za mędrkowanie, wszelką nowość po za obrębem garderoby i mebli za głupstwo, wszelkie wyłamywanie się z pęt tradycji i utartych pojęć za bezbożność, szaleństwo, za zbrodnicze porywy. Doskonale na niańki dla małych dzieci — okropne są jako żony, matki, siostry, narzeczone, jako towarzyszkę dorosłych ludzi, jako czynnik społeczny. Zgnuśniałe umysłowo, psychicznie, w beztroskim bycie istot, zamkniętych w ciasnym kółku domu, nad których wygodami pocą się inni, prowadzą całe życie tę błogą egzystencję, jaka w naturze przypada samicy niekiedy tylko przez czas niedołęstwa młodych,

I w stosunku do szamocącego się z przeciwnościami bytu mężczyzny są prawdziwie pasożytami, zbrojniami w tysiącwiekowy przywilej. Naiwne jak dzieci, jak kozieł uparte, posiadają spryt w jednym kierunku tylko niesłuchanie rozwinięty, w kierunku przeprowadzenia swej woli — woli naiwnego, upartego dzieciaka, który w dodatku bywa czasem złym i przewrotnym jak szatan. Szczęśliwy, kto z niemi sojusz zawarze dość wcześnie, niższy się do ich głupoty, przesiąknie ich sentymentalizmem płytkim i obłudnym; zapewnił sobie sielankową dolę. Kto jednak poważy się wypowiedzieć im walkę — rzucił na zawsze swój spokój pod nogi istotom, mierzącym wszystko tą samą dozą inteligencji, jakiej potrzeba do taniego kupna materiałów na suknie, tą samą dozą uczucia, jaką pochłania pięcioaktowy melodramat.

...Ale ta Józia!... ta śliczna, idealna Józia z swemi czystymi, myśląciami oczyma!... Któżby się był spodziewał!...

...Ciotka-gospodyni musiała wyczytać z mej miny, co o tem myślę, bo zresztą zna trochę moje „przewrócone” pojęcia. Aby nie spróbował przypadkiem tych rzeczy wypowiedzieć, zatkała mi usta czempredziej wybournym papierosem i kawą, obracając rzecz całą w żart. Odgrodziłem się od bab ścianą dymu i na tym ekranie zobaczyłem „ją” w parze z tym, któremu przysięgła dozgonną miłość. Ujrzałem ich tak wyraźnie, jak gdyby stali o dwa kroki, jakby mnie dolatywał chrzest jej białego, jedwabnego sta

nika, wstrząsanego tętnem serca, jak gdybym słyszał stłumione rżenie jego podziurawionych przez tuberkuły płuc, od którego bukiet ślubny drży na klapie fraka jak trumna na karawanie.

...Dziewczyna ta wydaje się wcieleniem tej poezji, jaką zakwita u zenitu życia najbujniejsza dusza mężczyzny, uszlachetniona pragnieniem ideału, którego wszyscy po kolei na darmo szukamy w pustej, kłamliwej kapliczce kobiecej piersi... Jej usta małe, nietknięte, jej czyste jak rosa oko, jej dziecięco świeża skóra i lękliwy wstyd jej płci dokazują cudu: ujarzmiają w tobie krwiożerczy szal samca, napełniając cię dla niej czcią i tkliwością bezbrzeżną, żądzą spełniania dla niej wielkich, bohaterskich czynów...

...A on jest tak szkaradny jak ona precudna. Karzeł z długimi małpiemi rękoma, z krótkim tułowiem, z torbą na piersiach i plecach, z odstającymi uszama nietoperza, bezbarwnymi jak błony. Na wystających kościach policzków zastygły ceglaste wypieki, rzadkie włosy obklejają mu czaszkę niby topielcowi. Błady i zimny jak ślimak niknie pod głęboko pozalamywanymi fałdami ubrania, w którego pustem wnętrzu

zdaje się trzeszczeć suchy chrobot kości zaledwie skórą obciągniętych.

...I ona nie wstydziła się podać mu rękę w obliczu ludzi!... przysięgać miłość!... oddać swe zdrowie, swoją młodość, piękność, czystość na pastwę tego okazu z prosektoryum!...

...Ściągnąłem jednak cugle ckliwości. Para ta nie jest przecie niczem nadzwyczajnym. Miliony kobiet młodych i ładnych oddaje rękę mężczyznom brzydkim i chorym. Niedobór jest pozorny. Różnice ograniczają się do powierzchowności i wieku małżonków, ich dusze są pokrewne. Takie znajdują się zawsze. Piękność młodych kobiet, których los nie jest jeszcze rozstrzygnięty, nie ma w ogóle nic wspólnego z ich wewnętrzną wartością... Najpiękniejsza amfora zamiast wonnego balsamu wypełnioną być może...

...Ale daremnie starałem się zagłuszyć wewnętrzny protest. Moja wyobraźnia... moja estetyka... etyka czy po prostu moje nerwy nie dały się przekonać sofizmatom praktycznej tolerancji. W nowym tumanie dymu — ach 1 ta kawa I... ta czarna kawa!... — garbus powrócił, aby przed memi oczyma porwać w objęcia żonę. Wielko-
Erotykl.

— 289 —

głowa zmora z widm tyfusowych, jak krab, jak olbrzymi pajak z potworną maską ludzkiego szkieletu, rzucił się na to czarujące dziewicze ciało, porwał ten kwiat w swe chciwe szpony, wbił się wśród konwulsyjnych drgawek guzem garbu w liliowe pączki jej piersi i mięł, plamił, targał jej rozkwit swoją małpią szpetnością, jej zdrowie swoim półtrupim rozkładem, w tryumfalnym akcie poślubnego uścisku zaznaczając swe prawa drogo nabyte. A ona nie odczuwa szkarady!... nie może, nie chce odepchnąć jego wstrętnych ust, zgnilizną ziejących, bo ją zasypał klejnotami, bo ją kupił zapisem kamienicy, a całe miasto, wszystkie bezmyślne nałożnice i kandydatki na nie, trzy czwarte tych, które tam spacerują, strojąc miny aniołów przy akompaniamencie muzyki — z zazdrością na nią patrzą i każda z tych samic, gotowa jak zniewagę, z świętem oburzeniem odtrącić pocałunek mężczyzny, któryby dla niej nie miał nic prócz miłości, odda się jednak za cenę dwa i trzy razy niższą niż Józia kalece, starcowi, wiedząc z góry, że całe stada jej sióstr pochwalą jej krok i zazdrościć jej będą „karyery”. Czy fakt ten jaskrawy, powtarzający się codzień po tysiąc razy w mniej lub więcej zamaskowanej formie, nie czyni na tobie żadnego wrażenia?...

...I co się może urodzić — powiedz mi — z pocałunku dogorywającego potworka, zastępującego połyskiem biżuterij porywającą wymowę miłosnego szeptu, z tą lalką czystą a bezwstydną, głupią a wyrachowaną, co — jeżeli nie kretyn albo szubrawiec, nieunikniony płód prosty tucyi?

...Bo panna Józia jest kokotą! tak jest! i gorszą od notowanych. Tamte, sprzedając się za bezcen całemu światu, z szyldem upadku na jaskrawo malowanych twarzach, cierpią za swój bezwstyd całe życie, kopane przez wszystkich na każdym kroku. Ta — wysoko podniesie swe czoło wszeteczne, używać będzie ogólnego szacunku i sympatii, ponieważ umiała sprzedać się sto razy wyżej swej wartości — jednemu. A zgnilizna jej ludzkiej duszy — jeżeli'wolno w niej duszę ludzką przypuścić — nie kończy się na niej samej, ogarnia i utrwała się we wszystkich, którzy pomagali jej w tym czynie, którzy patrzyli nań, wiedzieli o nim, aprobowali go i głosić będą jako szczyt dążeń życiowych... Choroba nie ogranicza się do miejsca usadowie

nia wrzodu, wchodzi ona w krew, przenika cały organizm i szerzy się na inne — ponieważ na jady moralne nie rozciągnięto lekarskiej opieki, pozwalając je rozpowszechniać swobodnie pro- stytucji wolno praktykującej.

...Sądysz, że przesadzam? nieprawdaż?... Przesadą wydaje się nam wszystko, co sięga po za promień naszych powszednich spostrzeżeń i refleksyj.

„Nie potępiam ich jednak bezwzględnie. Czyż one temu winne, że są takimi? Urobiły je wieki, myśmy je pchnęli na tę drogę i nie pozwalamy z niej zejść. Cóż dziwnego, że ulegając przemocy, poszły nią. Większość ludzi — jak kula — leci w kierunku pierwszego impulsu.

...Tak jest, uderzmy się w piersi. W krwiożerczej walce samolubstw o pieniądz, tę cywilizacyjną formę żeru, — zaprząwszy się fanatycznie w psi kult złota, my, my sami zdeprawowaliśmy kobietę, wyzuwszy ją z wszystkiego, ażeby za cenę udzielanych łask zmusić niewolnicę do oddania się temu, który ją kupi, a nie temu, dla którego sama czuje skłonność. Niewolnica zemściła się stokrotnie na władcy. Z chwilą kiedy jej powiedziano: miłość lub śmierć — oddała się cała silniejszej z obu żądzy życia i poczęła zapewniać je sobie kłamstwem, haraczem obłudnych sprzedajnych pieszczot, ponieważ ją do nich zmuszono, ponieważ nie dano jej swobody wyboru ale kazano kochać tego, co na nią rzucić raczy sułtańską chustkę swej żądzy. Tak, jeśli ogromna ilość kobiet jest złą — my sami je takimi uczyniliśmy. Hurysa i kokota jest dziełem mężczyzny, dziełem pięści, za pomocą której urządzamy życie i rozwiązujemy subtelne zagadki.

— Jak możesz je potępić, usprawiedliwiając zarazem.

— Bo te refleksje, dobre dla starca, kończące na zimno rachunki z życiem, nie wynagrodzą mi mej krzywdy. Co mnie obchodzi kto i dlaczego je przedemną popsuł — ja chcę, ja potrzebuję, ja muszę je kochać... kochać bez granic i bez pamięci! jak owad, płaz, ptak, zwierzę swoją samicę wszystkimi instynktami istoty mego gatunku. Ja marzyłem o nich, zanim jeszcze wiedziałem, domyślałem się, czym jest miłość. Czyż wreszcie do czego innego rozwija nas i kształtuje natura jak nie do spełnienia świętego misterium miłości? Ja dziś jeszcze,

zwątpiwszy dawno o tem, abym kiedykolwiek mógł spotkać i pozyskać kobietę, oddającą się z tak czystych pobudek, z jakich ja jej pragnę, odnajduję z gniewem na dnie mej pogardy dla nich rwącą się ku nim ze wszystkich sił tęsknotę i w każdym uderzeniu serca mego powtarzający się okrzyk odwiecznego szału: kochać!... kochać!... kochać!...

...Kochać?!... Co za fantazye!!... One chcą żyć — jak ta Hala z listu, jak panna Józia moich poczciwych ciotek. I do którejkolwiek się zwrócisz, wszędzie spotykasz to samo: anielską minkę przedślubną, po za którą kryje się pragnienie bezczynnej egzystencyi i namiętność do szmat.

...Czy jednak kwestyę miłości nie najrozumniej rozwiązali turcy, kupując sobie kobiety jak konie na jarmarku, chowając je pod kluczem i za pomocą bata regulując swoje małżeńskie stosunki. Ci przynajmniej są konsekwentni. Przyjąwszy otwarcie, że kobieta jest tylko miłą zabawką, ją i siebie ochronili raz na zawsze od wszelkich nieporozumień.

B